KRASICKI.

ŻYCIE I DZIEŁA.

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.

Trembecki. Gość w Heilsbergu.

Wśród dość licznego szeregu pastelowych wizerunków znakomitości dworu Stanisława Augusta, któremi Marteau unieśmiertelnił gości obiadów czwartkowych, zwraca uwagę piękna twarz, wypogodzona, lekko uśmiechnięta, z oczyma iskrzącemi dowcipem, rysów regularnych i arystokratycznych. Suknia, krzyż na łańcuchu u piersi zwieszony, każą nam wierzyć, że to jest wysoki dostojnik w hierarchii kościoła, twarz się niemal wyrazem swym z powagą ubioru kłóci. Stworzoną się być zdaje do wytwornego stroju XVIII wieku, do szytych fraków i koronkowych mankietów, do igrania słowy brylantowemi przy toaletach pięknych pań. Lecz jest w niéj zarazem jakaś poważna, spokojna rezygnacya potomka wielkiego rodu, który wszędzie się na miejscu czuje i z każdém położeniem pogodzić umié.

Ten bystro patrzący duchowny, przy którego oblicza blasku gasną pospolitsze otaczające go twarze, to pisarz co czas swój uosa-

bia, co przoduje epoce, co ją, mimowoli, w tém co ona najlepszego miała, wyraża, to książę Biskup Warmiński, Ignacy hr. Krasicki.

Wyjąwszy jednego króla, wszyscy współbiesiadnicy ks. Biskupa zdają się pochodzić i istotnie wyszli z innéj towarzyskiéj sfery, krwią i duchem do innego świata należą, są tu gośćmi, Krasicki na królewskich pokojach jest w domu. Tu jego miejsce.

W Trembeckim wyżytym, skwaszonym, chmurnym, którego twarz nie obudza współczucia, a rysy wyrażają energią wyczerpaną, zmienioną w tetryczność dworaczą, widać człowieka co żyć nie umiał a życie nad wszystko przenosił, czuć w nim szambelana co przyrósł do jarzma dworskiego dla jego wygódek i, dotrwawszy wiernym karmicielowi do ostatniéj godziny, poszedł potém do największego nieprzyjaciela królewskiego szukać ciepłego kąta i schronienia okupionego bodaj poematem.

W Naruszewiczu widać leśną naturę litwina, co na żubra leśnego z oszczepem stanąć gotów z równą odwagą, jak z piórem na zagmatwane dzieje, dzielną krew nieostudzoną fioletami, zburzoną naciskiem sukni za ciasnéj, jest w nim cóś wykapturzonego mnicha. W Węgierskim widać francuza XVIII w., sceptyka co przestawszy wierzyć chciałby się śmiać a nudzi się i gniéwa, chwali cynizmem i pobrzękuje cnotą, a dla zwrócenia oczu do krwi szczypie i kąsa. Samolub to, dla którego poezya schodkami do znaczenia i dostatku.

Poczciwa zasępiona, rozlana twarz Bohomolca nie mówi wiele, choć nie jest pozbawioną wyrazu. W Karpińskim domyślamy się biednéj ofiary, co z duszą wrażliwą wpadła w świat, po którego ślizkim gruncie chodzić nie umiała i wyjść z niego musiała prędko w głuchą lasów ciszę, nie wiedząc co zrobić z życiem. Śpiew jego tęskny, jak krzyk czajki, wiecznym żalem przejęty się rozlega. Kniaźnin, poeta namiętniejszy niż jego pieśni, zafrasowany, zda się sobą, zrzucił i on kaptur mniszy, a w sukni nowéj chodzi jak w płonącéj szacie. W Zabłockim znać dowcipnego człowieka, który własném słowem karmi się i jest sytym. Piramowicz, spokojny pedagog i proboszcz, nie patrzy wyżéj nad granice powszedniego obowiązku, cicha i szczęśliwa natura człowieka do plebanii stworzonego.

Na wszystkich niemal tych czołach myśl jest jakby w walce z sobą; nie wié jak z pod nich wynijść, jak się ubrać, czém wypowiedzieć, skryć czy objawić, okazać całą czy cząstkową;—u jednego Krasickiego zupełna panuje zgoda wewnętrznéj myśli ze słowem, które ją w świat poniesie. Znać to na obliczu gładkiém i uspokojoném, wesołém i pewném siebie.

Z twarzy okalających odgadywać można, że prawie każdy z tych ludzi skończy gdzieś rozbitkiem, narzekaniem, zawodem, nic potrafiwszy życiu sterować i pragnień pogodzić z siłą. Siły zużyć w sferze dla niéj dostępnéj. Trembecki zemrze w brudnéj izbie oficyny Tulczynieckiego pałacu na łasce magnata, chowając wróble, a zapomniawszy własnych pieśni; Karpiński—na nudném wygnaniu w białowieżskiéj puszczy; Węgierski, zwiędły przed czasem,—na spalonem Marsylskiém wybrzeżu; Kniaźnin—w obłąkaniu miłosném; Naruszewicz—zdziczały z grabiami na Sianożęciach Janowskich. W Krasickiego twarzy czytasz, że potrafi wśród najcięższych czasów wyjść cało, czysto i nie straciwszy na szacunku, zyskując na sławie, nie poślubiając namiętności, godząc się zawsze z nieuniknionem—wesoło dogadzając fantazyom serca, ducha i pańskiego obyczaju. Zna on swe posłannictwo, wie co mu powierzoném było, pomija wszystko coby mu przeszkodzić mogło do spełnienia go — idzie do celu z pewném lekceważeniem tego co ludzie powiedzą. Potrzebuje wczasu i ciszy, okupuje ją odosobnieniem. Mógłżeby tyle uczynić, wypowiedzieć tyle, gdyby sobie nie usłał na uboczu wygodnego gniazda? Twarz ta mówi, że go nie uniesie ani namiętność gwałtowna, ani złamie wielkie cierpienie, że potrafi być panem siebie, zastosować się do warunków, które mu niepokonana siła czasu narzuci, i dokona dzieła poczętego bajkami i Monitorem w 1776 roku,—prymasowskiém „Co tydzień“ 1798 roku.

Tego mało zblizka, a szeroko i rozgłośnie z dzieł znanego człowieka, chcemy dać poznać bliżéj jako człowieka, jako postać wybitną téj epoki, jako moralistę i pisarza.

Nie nadaremnie przyznano mu, że był najznakomitszym przedstawicielem swojego czasu; był nim z wielu i ze wszystkich względów, jako człowiek, jako duchowny, jako pisarz nadewszystko. Jako Biskup koronował obrazy, bierzmował tysiące w dniu jednym, był chrześcianinem, ale nie wzdragał się przyjaźnić z człowiekiem co suknią duchowną zrzucił a wziął żonę, napisał Monachomachyą i szydził z zawiłych sporów teologicznych; jako człowiek był najlepszym bratem, najserdeczniejszym rodziny opiekunem, najprzyjemniejszym współbiesiadnikiem, najmilszym gospodarzem domu, najdowcipniejszym gościem w salonach.

Jako pisarz z niezmiernym taktem, z wielką miarą rozbijał co obalać było potrzeba, co zachowania godném osłaniał troskliwie, językowi przywrócił choć część życia i blasku, które mu poprzednie pokolenia wydarły.

Instynkt ogółu, *vox Dei*, nie myli się nigdy. Krytyka może słabe wykazać strony; czas smak i pojęcia odmienia; lecz siła, jaką

pisarz na współczesnych działał, świadczy o sobie że istniała. Tak samo dziwimy się prostym narzędziom z jakiemi Egypt kuł olbrzymie obeliski. Tę siłę potężną co działa na masy miał Krasicki, i dlatego wśród licznego zastępu współczesnych mu pracowników, on głównie zwraca na siebie oczy.

Po długich wiekach, w których nie mieliśmy żadnego popularnego pisarza, którego głosu słuchałyby chciwie tłumy, on był u nas pierwszym, ukochanym i uznanym. Przy nim inni nikną i maleją.

Ze wszystkich okrésów piśmiennictwa naszego, nie ma na pozór żadnego, którybyśmy lepiéj znali i jaśniéj widzieli nad epokę Stanisławowską.

Mówię, na pozór, gdyż, jak cała historya literatury, była ona dotąd powierzchownie ujętą, pozostała głębiéj niebadana, jako moment dziejowy nierozjaśnioną. Oznaczono fakty, postawiono słupy, rozmierzono miejsca, które zajmują gruzy i pozostałości zrzucone na nich, wszystko to czeka badacza i archeologa.

Przyczyną tego zaniedbania, niedostateczności studyów, jest w ogóle niejasne pojęcie zadania, jakie ma przed sobą wszelka historya literatury.

Chociaż powszechnie przyjęto wszędzie, na określenie dziejów ducha ludzkiego nazwę historyi literatury, która jest działalności tego ducha najostateczniejszym i najwybitniejszym wyrazem — właśnie może w téj definicyi leży powód, dla którego ściśle się jéj trzymając, pisarze pracujący nad tym przedmiotem nie wyszli po za ciasne szranki krytyki ułamkowéj i sprawozdań bibliograficznych.

Odziedziczyliśmy nazwanie literatury i jéj dziejów po wiekach, które w mniéj więcéj systematycznem wydzielaniu szukały ułatwienia dla pracy około historyi.

Jako metoda przygotowawcza to wydzielanie dogodném było, ale dziś, czas wielki wejrzéć w to, że literatura życia oddzielnego nie ma i oddzielnéj téż historyi miéć nie może.

Jest ona w nierozerwanym związku z całym żywotem narodu, idzie z nim w parze, odbija go wiernie i tłómaczy się fenomenami częstokroć po za obrębem właściwéj literatury leżącemi.

Literatura jest tylko częścią życia duchowego narodu, jednym ze zjawisk jego, ale nie jedynym. Po za tém, co jest pisane i spisane, leży to, co równém prawem do historyi ducha należy, co myślaném, mówioném i działaném było z ducha.

Do dziejów nietylko te zaschłe kwiaty piśmiennictwa należą, ale i to z czego one rosły i żyły. Poznanie kwiatów bez znajomości gruntu, tła i otoczenia, atmosfery w któréj żyły, jest wprost niemożliwém. Stworzyć można zielnik zeschłych prób i zblakłych, ułamkowych życia egzemplarzy, ale one zestawione razem pełnego obrazu życia nie dadzą.

Z tych zasad wychodząc, choćby ogólny chcąc skréślić obraz odradzającéj się literatury przez jednego z głównych jéj przedstawicieli, sięgnąć musimy najprzód stanu społeczeństwa, którego ona była wyrazem....

Chociaż zadaniem historyczném Polski zdaje się być zlanie w niéj dwu światów i dwu wpływów zachodu i wschodu, a przejednanie ich z sobą, choć widoczne są ślady, iż pojmowano to posłannictwo i usiłowano je spełnić w różnych życia sferach — niemniéj wpływ zachodu od początku dziejów naszych przemaga.

Ze krwi słowian pochodząc, których przeważna część uległa wschodniemu wpływowi i nie dopuściła do siebie szybciéj rozwijającéj się cywilizacyi zachodniéj, Polska należy od X-go wieku do grupy narodów zostającéj pod wpływem kultury latyńskiéj. Jéj ona winna całe swe rozwinięcie się, wszystkie światło i ukształtowanie się społeczne. Ani się godzi żadnemu narodowi wyrzucać tego, że z ogólnéj skarbnicy ludzkiéj czerpał, pokarm ten na własną krew przerabiając i soki.

Resztkami cywilizacyi Grecyi i Rzymu zasiliło się i na nich wszczepiło, przyswajając je sobie chrześciaństwo. Ci co najbliżéj byli źródła czerpali zeń najobficiéj, od nich brali z drugiéj ręki ci co sami doń sięgnąć nie mogli. W średnich wiekach najprzód cała Europa chrześciańska miała jednę wspólną literaturę. Różnice narodowości odbijały się może w sposobie obrobienia materyału, nawet w skażeniu powszechnie używanego łacińskiego języka—ale literatura była jedną dla wszystkich. Z klasztorów Irlandyi, Anglii, Francyi, Włoch, Niemiec, Szwajcaryi rozpływały się po Europie poemata, rozprawy, pieśni i traktaty i rozchodziły po świecie całym, zostającym pod wpływem cywilizacyi latyńskiéj. Kościół był tą wielką spójnią żywota duchowego, która w swém łonie łączyła wszystkie narody. Jedyną szkołą była naówczas szkoła biskupia i kościelna, jedynym nauczycielem—duchowieństwo. Można téż powiedzieć, że długo w zaciszu klasztorném całe się życie duchowe skupiało.

Drugim jego żywiołem było to, co narody same zachowały ze swych prastarych podań, co o własnéj sile wyrobiły z nich przed

przyjęciem chrześciaństwa. Jak w pierwszém tak w drugiém z tych ognisk łączyły się religijne pojęcia, nierozdzielne od innych objawów ducha, których dźwignią były. — Podaniami religijnemi przesiąkły: pieśń, powieść, przysłowie, zagadka.

Chrześciaństwo, jak wszędzie tak i u nas, chcąc odrodzić i nawracać, nie mogło zużytkować żywiołu dawnego, chyba w części bardzo skromnéj -- musiało z nim walczyć, tępić i zaciérać.

Zadaniem jego było zniszczyć co stworzyły narody same przez się, a dać w miejscu téj spuścizny wieków jednę naukę wspólną, mającą świat cały uczynić jakby jedną rodziną Chrystusową.

Dwa prądy, z których jeden potajemnie przebiega najniższe warstwy i ścieka podziemnemi szpary, drugi bieżący górą, nie łączyły się prawie z sobą. Kościół w ostateczności Światowida przerabiał na Świętego Wita, święta pogańskie chrzcił imiony chrześciańskiemi, zatykał krzyże, gdzie stały bałwany, a obrzędom nadawał nowy charakter i znaczenie.

Oświata szła bardzo powoli, a zadaniem jéj w średnich wiekach nie było wcale rozlewać się na masy. Duchowieństwo wyznaczone było do kierowania duchowym rozwojem społeczności, i w jego rękach szafarstwo światła zostać miało. Dzielić się niém ani chciało ni widziało potrzeby. Kto przejrzał jaśniéj, ten suknią mniszą wdziewał i społeczeństwa, z którego wyszedł, się wyrzekał.

Jak w Rzymie koncentrowała się władza duchowna, tak w podległéj mu milicyi Chrystusowéj, zlewało się światło świata. Szkoły przez czas bardzo długi widzimy wyłącznie dla stanu duchownego przeznaczone, o ludowych nie ma mowy: lub w nich wydziela się szczupło co konieczném jest dla posługi kościoła. Masom starczy żywe słowo.

Pomimo tak ścisłéj kontroli nad światłem, te same klasztory i szkoły, które służyły kościołowi, pierwsze są nasiennikami herezyi i reform. Od XIII w. lub wcześniéj jeszcze w pisemkach klasztornych widzimy zarody krytyki, zamachy na władzę, karność i dogmata kościoła, różnice zdań, dzielenie się ogółu na grupy i odcienia. Ruch ten zawcześnie rozbudzony szerzy się powoli i, jak wszelka fermentacya nowego życia, tworzy zawiązki.

W Polsce, któréj pierwsi nauczyciele, duchowieństwo przychodziło z Czech, z Niemiec, Włoch i Francyi, stosunki z zachodem były tak nieprzerwane, iż się tu odbija każde drgnięcie, jakie wstrząsło Europą zachodnią. Nie pozostaje ona nigdy, aż do XVII wieku, obcą wpływom i nieczułą na nie; ulega im do zbytku, ale przez to łączy się jak najściśléj z życiem narodów cywilizowanych; odbija

je najwierniéj w sobie, dając mu tylko często pewien właściwy wyraz swój, domowy.

O literaturze polskiéj własnéj aż do XVI w. mowy nie ma, jeśli jéj tylko na papierze szukać będziemy. Język się kształci i przerabia pod wpływem łaciny na przekładach pisma świętego i pisarzy łacińskich, zawczasu też do religijnych obrzędów będąc używanym. Lud, pomimo surowych zakazów, zachowuje swe trådycyjne pieśni, swe baśnie rodzime, zagadki odwieczne, przysłowia prastare. Pierwiastek ten zepchnięty, odcięty, osaczony, opadły na dno, w mrokach spoczywa, ale się zachowuje, przetrawia w sobie, zdzicza nie mogąc rosnąć. Warunków życia mu brak, powietrza, światła, jawności, rozgłosu, uznania—wszystko to mianuje się jako nacechowane barbarzyństwem i zakazane.

Wyższe życie wyraża się powszechnym językiem świata—łaciną. Łacinę tę polską zabarwia czasem żywioł rodzimy, lecz zmuszona się z nim stykać stara się zetrzéć jego ślady. Z łaciną, jako narzędziem jedynėm do wyspowiadania się z wyższych myśli, dochodzimy do początku XVI w.

Chwila, w któréj długo gromadzące się idee reformy religijnéj miały do nowego życia powołać narody, dla całéj Europy i dla nas nadchodzi jednocześnie.

Umysły są wszędzie zarówno przygotowane, rola uprawna jednako—rzucone nasiona wschodzą. Tłómaczono zawczasu pieśni o Wiklefie po polsku, tak samo w XVI w. zrodzony w Niemczech prąd reformatorski, u nas natychmiast odbił się i przebiegł umysły.

Że w pierwszéj chwili nikt nie myślał zrywać i oddzielać się od powszechnego kościoła, a wszyscy pragnęli tylko jego poprawy, któréj granic i zadania nikt ściśle określić nie umiał—nie ulega wątpliwości. Kościół rzymski, nie mogąc czy niechcąc czynić ustępstw, zmusił reformatorów do stworzenia osobnego społeczeństwa kacerskiego. Jedność kościoła powszechnego, już rozdziałem wschodniego nadwerężona, przez reformę silniéj jeszcze została dotkniętą. Reforma mimowolnie stała się przyczyną emancypacyi i równouprawnienia języków, zerwania z łaciną jak zerwano z Rzymem. Centralizacya w stolicy świata miejsca ustąpiła rozdzieleniu narodów i piśmiennictw. Z językami, które z łaciną wystąpiły do walki, wchodził żywioł nowy, narzędzia myślenia, mające ideom nieznane trzebić drogi.

Wszystko, co języki te dochowały w sobie, co z sobą z przeszłości niesie słowo, co zawiéra pieśń, zwolna poczęło przyswajać się piśmiennictwu i dorabiać samopoznania. Co było dotąd zdręt-

wiałém, jakby nie żywém, w skarbcu zakopaném, wyszło na światło dzienne.

Z jednéj ogólnéj literatury europejskiéj, poczęły się tworzyć liczne narodowe, odrębne, każda nacechowana krwią własną.

Znane są dzieje tego cudownego rozkwitu polskiego języka i piśmiennictwa, któremu przodują Rej i Kochanowski, pierwszy z mową całą z żywego życia ujętą, drugi z klasycznêm ukształceniem ogładzoną.

Kochanowskiemu należy najwyższa cześć za to, że doskonale pisząc po łacinie i mogąc zarobić na europejską sławę, czuł się w obowiązku śpiewać domowi i ludowi własnemu „słowieńskim muzom.“

Rodzi się pod jego piórem język, jak Minerwa z głowy Jowisza wychodząc zbrojnym od stóp do głowy, zdolnym wyrazić wszystko, wspaniałym, poważnym, świetnym, dźwięcznym, klasycznie pięknych rysów oblicza.

Nie potrzebuje się on już mozolnie dorabiać przyszłości—cały jest skończony, pełny. Poeta genialném dotknięciem nadaje mu od razu to, co innym zwolna przynosiły wieki, mozolnie je kształtując do potrzeb i pojęć swoich. Współcześni Kochanowskiemu poeci francuscy, nierównie daléj językiem swym stoją od dzisiejszych, niż my od Kochanowskiego.

Język, otrzymawszy prawo obywatelstwa, używa go i staje do walki z łaciną. Niełacno jednak sprostać powadze nauczyciela i srebrnéj jego siwiźnie.

Polska zamiast jednéj ma razem dwie literatury, nie licząc mieszańca, który się z nich zrodził, już w wierszu makaronicznym Kochanowskiego wyśmianego. Spotęgowują się siły żywotne, bo język każdy niewidomie przynosi je z sobą. Każdy przesiąkły jest myślami, które tylko w nim mogły urosnąć, którémi nabrzękł gdy jeszcze pełzał po ziemi.

Świetny okrés literatury polskiéj zaczyna się z wiekiem XVI, trwa do pierwszéj ćwierci XVII w.

Łacina, wyrugowana chwilowo, usiłuje odzyskać swe prawa, zapanowuje znowu, razem z nowym systemem wychowania i szkołami, które kościół broniący się reformie zaprowadza, milicyą Lojoli rozsyłając po świecie.

Od średnich wieków do téj epoki walki i zgniecenia u nas reformy, światło się rozszerzyło, raczéj naturą swą, drogi mimowolnemi, niż wolą tych co je w ręku mieli. Szkoła już nie służy dla samych duchownych, ale i dla rycerstwa, dla szlachty idącéj posłusznie pod sztandarami kościoła. Od w. XVI, szlachta u nas w ogóle

umié już pisać i czytać, oświéca się więcéj praktycznie, lecz oświatę pojmuje nie celem dla siebie samé, ale środkiem pomocniczym do różnych wiodącym pożytków.

Dla ludu szkoła jest jeszcze albo zamkniętą lub wielce ograniczoną. Nie mając samoistnego życia lud, wedle pojęć ówczesnych, światła nie potrzebuje, inni go prowadzą. Oświeconemi klasami narodu są wyższe duchowieństwo, magnaci i zamożniejsza szlachta. Światło udzielane spływa na pewne sfery tylko; krzewi się poznaniem rzymskiego świata starożytnych, praw, instytucyi, kościelnéj literatury popularnéj, trochą poezyi łacińskiéj i polskiéj. Nauki przyrodzone, matematyka są albo zaniedbane i pominięte, lub ograniczają się zastarzałemi pojęciami, powtarzanemi bez krytyki. Bazyliszek istnieje do końca XVIII w.

Uprawa nauk filozoficznych, zamknięta w ściśle oznaczonych orthodoksią granicach, nie mogła rozwijać się swobodnie. Reforma na chwilę rozkiełznała ducha, tak że u nas posunięto się do krańcowéj krytyki i doktryn takich jak anabaptystów i antytrinitaryuszów; ale już w XVII w. wielki ten ruch umysłowy stłumiony został i sparaliżowany. Tak zwani „bracia polscy" do Czech, do Holandyi wynieśli swą naukę i księgi.

Pewna suma wiedzy jednak, przez wieki sącząc się zwolna z góry na dół, przeniknęła aż do warstw najniższych. Cywilizacya ta co się obcowaniem szczepi, światło co się z żywem rozchodzi słowem, rozlały się u nas szeroko. Duchowieństwo było liczne, żyło ono ciągle w najściślejszym stosunku ze społecznością i mimowoli dzieliło się tém co miało. Rodziły się z tych kradzionych promyków i fałszywe idee, lecz pobudzały do myślenia, siały ziarno.

Szlachta niemal cała oświecała się raczéj życia praktyką, niż nauką szkolną. Pisano źle, niepoprawnie, a z kobiét mało która pisać umiała, lecz pojęć i wiadomości w obiegu było bardzo wiele, a dwory szlacheckie, przy swéj oryginalności i formach dziwnych, nie mogły się nazywać zbyt zacofanemi, gdy je porównamy ze współczesnemi w Niemczech i Francyi.

Rozwinięciu się bujniejszemu języka i literatury narodowéj, brakło głównie ogniska, dworu królów jak we Francyi. Począwszy od Walezyusza i Batorego, królowie w większéj części byli cudzoziemcy, językiem dworu była łacina lub obce, w stolicy też panowali cudzoziemcy, a ukochaliśmy ich do zbytku, słuchali nadto, korzyli się im z pokorą przesadzoną.

Za Zygmuntów, obok powagi łaciny łączącéj z Europą, polski język panował, dwór przeważnie z Polaków się składał, myślano i mówiono po swojemu, zą Batorego musiano się posługiwać łaciną,

na dworze Zygmunta III krzewiła się niemczyzna, Władysław IV miał słabość do niéj a Kaźmierz otaczał się cudzoziemcami. Za Wazów, kancelarya była łacińska, teatr włoski, rozmowa często niemiecka, czasem francuska, polski język ledwie z ambony się dał słyszéć.

Dwory panów kształtowały się na wzór królewskich. Język też wprędce psuć się zaczął i koszlawić, szpikowano go łaciną, wyręczając się nią, popisując z umiejętnością jéj ze szkół wyniesioną.

Same dzieje narodu otwartego najazdom, zajętego wojnami, mieniającego stolice, a najczęściéj w obozie je mieścić zmuszonego, tłómaczą stan piśmiennictwa, które się tylko czasu pokoju i bezpieczeństwa rozwijać może dzielniéj, nie było spoczynku nigdzie i częściéj płacz się niż śpiew rozlegał.

W zapasach z nieprzyjaciółmi wyrosło owo rycerstwo, szlachta, które sądzić potrzeba jako żołnierzy z pobłażaniem. Psuły je i uczyły próżniactwa obozy, ciągnienia, stacye, życie nieregularne, które ziemianina w ruchu, w zwadzie trzymało, spocząć mu nie dając. Nawykłszy do téj walki, gdy się rąbać nie mógł, szlachcic się procesował, aby wojnę prowadzić.

Od Wazów, obcych nam, choć przyswojonych, idziemy tak kolejami dla kraju coraz smutniejszemi aż do Sasów.

Nie obwiniajmy instytucyj, choć i w nich tkwi wiele przyczyn upadku, daleko silniejszą ruiny dźwignią było obyczajów zepsucie, które wypłynęło z samego życia rodzaju. Wojna i obóz były stanem normalnym, nikt bezkarnie nie odrywa się od domu i rodziny, nie może wytrwać długo w tym ukropie, który się szkołą rycerską nazywa. Poczobut, autor świéżo wydanego pamiętnika, w siedmnastym roku idzie do wojska, cały żywot mu upływa pomiędzy wioską a obozem, na służbie targającéj nim, która rodzi potém niepokój o mienie i prywatę.

Bić się i procesować umié tylko szlachcic. Wołają go na potrzebę nieustannie, powraca z niéj bronić własnego zagonu i zajazdy sąsiadów odbijać. W tym stanie szlacheckim skupia się całe życie narodowe, on nadaje charakter całości.

Rycerstwo to, butne a bujne, jest wszędzie sobą, na Sejmiku, na sejmie, na naradach, w domu. Gorączka go trawi nieustanna, dom niepokoi, ratuje się jak może.

W tak ciągle zagrożonym kraju, gdzie i władza królewska ulegać musiała tym, którymi się posługiwała, co dziwnego że każdy myślał o sobie, pragnął się zabezpieczyć. Instynkt zachowawczy zrodził prywatę, do poczwarnych potém rozrosłą rozmiarów. Nikł z oczów interes ogółu, zapomniano o owém porównaniu Skargi—pań-

stwa do okrętu, każdy myślał o własnych manatkach. Zakrólowała prywata już za Sobieskiego, nią wszystko zjedzone jak rdzą zostało, pod jéj naciskiem pękły instytucye.

Historycy zwykli, nie bez przyczyny, zapewne, szczególną zwracać uwagę na instytucye, prawa, organizacyą społeczeństwa i formy jego martwe; mniéj na obyczaj i usposobienia, które jednak instytucye wypaczają, wynaturzają je, burzą lub podgryzają nieznacznie. W Polsce z temi samemi instytucyami, pod innemi wpływy, z ludźmi innymi, cale różnieby się działo.

Wyszpocano prawa dla prywaty, nadawano im znaczenie fałszywe, martwém zostawiano w nich co zawadzało, inne artykuły naciągano gwałtownie, aby z nich korzystać.

Idea swobody, najfałszywiéj pojęta, królowała ponad wszystkiém. Pojmowano ją tak ciasno, że jéj chciano jako przywileju dla jednéj klassy, a tak szeroko z drugiéj strony, że niczém ograniczyć jéj nie dopuszczano. Swoboda wybujała w samowolę a kończyła się prawem silniejszego, który dokazywał co chciał.

Stan ten społeczny odbijał się w literaturze. Na uprawę jéj nikt nie miał czasu i swobody oprócz duchowieństwa, które, karmiąc się na łacinie a żyjąc z panów i szlachty, im panegiryki pisało. Szlachcic potrzebował wymowy tylko na Sejmiku, na godach, w obozie, przy kielichu, w palestrze a więc się Retoryki uczył przedewszystkiém, statutów i prawa, które z praktyki i rozmowy studyował. Prejudykaty zastępowały samo prawo. Literaturą szlachecką była Swada, głos w sądzie, domowa pieśń pobożna jéjmości, obozowa śpiewka swawolna, którą czasem w tańcu podchmielony i przy niewiastach zanucił.

Osamotnione w domu żony czytały książki pobożne, śpiewały pieśni najczęściéj także kantyczkowe, na folwarku tylko rozlegała się stara wieśniacza.

W księgę pamiątek, Silva rerum, wpisywano akta publiczne, listy uszczypliwe panów Senatorów, mowy zręczne sławnych oratorów, rzadko wierszyk jaki lub złośliwe epigramma. Na rozkoszowanie się dłuższemi utworami nie było ni czasu, ni myśli wolnéj.

Poeci, garstka maluczka, albo opiewali czyny wojenne lub świętych żywoty, niekiedy ból natchnął satyrą, naśladownictwo starożytnych sielanką z niebywałego świata. Pod wiecznym strachem najazdu i burzy cóż więcéj zrodzić się mogło?

Z tém dochodzimy do panowania dwu sasów, Augusta drugiego i trzeciego. Wszystko złe, które dotąd nieśmiało kiełkowało, teraz się pod wpływem wypadków bujno rozrasta. Są to królowie dla siebie nie dla narodu, którym wcale nie idzie o losy kraju, ale o wyzyskanie go we własnych widokach. Nie mówiąc o wpływie ich na polityczne znaczenie Rzeczypospolitéj, stosunki jéj i potęgę; samę społeczność polską już nadpsutą dwa te panowania przetworzyły ostatecznie, popychając ją do rozkładu, do rozstroju, do wewnętrznego samożarcia.

Rzeczpospolitę tworzyły długie wieki, wpływy zachodu i wschodu, które się tu zbiegały, walczyły i w części jednały. Społeczeństwo nie było jednolite. Między Litwą, Rusią, Wielkopolską, Ukrainą, Mazowszem i Krakowskiém zachodziły wielkie różnice charakteru i fiziognomii. Życie ziemianina—żołnierza, miast, stolic, zamków pańskich, dworu królów, składały żywioły różne, z których pod działaniem sejmów, obozów, kół i zjazdów zwolna się coś jednolitego wytwarzało. To zjednoczenie Sasi znaleźli już o tyle dokonaném o ile się ono spełnić mogło. Duchowieństwo, wyjąwszy ruskie, wszędzie było jedno, panowie nieco kosmopolici podobni byli do siebie, szlachta, z małemi odcieniami miejscowości, na jedno się wyrobiła kopyto. Wspólne życie jedne wady, o których mówiliśmy, zrodziło. Prywata już za Sobieskiego o niczém myśleć nie dawała oprócz krescytywy dla siebie i dla rodziny. Na to usposobienie ogólne do ciągnienia korzyści samolubnych ze wszystkiego dla siebie, przyszli Sasi. Tym szło tylko o własną sprawę; gotowych do sprzedania się znaleźli, a kupując ich do reszty upodlili.

Zepsuta społeczność popsutą żywiła się literaturą, w któréj się odbija co ją kalało. Z ostatnich lat panowania Sasów mamy już tylko pamflety, panegiryki, na obrzydliwéj bibule szkaradne druki, których zewnętrzna szata ubóstwu myśli odpowiada.

Gdzie się życie skupiało całe?

Było ono czynem nie słowem, a czyn polegał na salwowaniu siebie i rodziny, zużytkowaniu instytucyi i konjunktur dla siebie. Rwał każdy w swą stronę i chwytał co było można. Cośmy mówili o braku ogniska dla literatury, za Sasów jeszcze ściślejsze znajduje zastosowanie. Miasta uniwersyteckie ogniskami temi nie były. Tu średniowieczna, sztywna, martwa nauk forma panowała, na któréj kwitł panegiryk niesmaczny. Piśmiennictwo tego czasu fotograficznie odźwierciedla stan ducha. W Wilnie, Krakowie, Zamościu wychodzą teologiczne dzieła, najczęściéj przedruki, kalendarze z prognostykami, pochwalne hymny na cześć magnatów, protektorów i dobroczyńców.

Łacina znowu idzie górą a staje się coraz strószniejszą, już nie kuchenna, ale ze śmiecisk zda się zbiérana. Po Kochanowskich, Janickich, Sarbiewskich, Acernach, nieznani centoniści i plagjatory.

Po klasztorach, po dworach nie miała przytułku literatura, biblioteki stare butwiały, nowych zbiérać nie było czasu, któż zresztą mógł ją uprawiać?

Za Augusta drugiego wojny i burze domowe nie dały tchnąć,—miasto innych zabaw przywożono do Warszawy operę włoską, miłostki francuskie i opilstwo niemieckie. Szlachta popuszczała pasa. Za Augusta trzeciego zostały święcie poszanowane tradycye ojca dworu, z tą różnicą, że kosztowne metresy zastąpiły łowy, samopas, urwij podaj szło wszystko pod rządami Brühla, każdy w swą stronę rwał i dla siebie. Sprzedawano się—kto da więcéj?

Znikczemnienie dochodziło do ostatniego krésu. Mamy doskonały obraz tego wszetecznego gospodarstwa, skréślony w całéj jego okropności, naiwném piórem współczesnego Matusewicza.

Nic dodać, nic ująć. Autor nie był jednym z najgorszych, *ab uno disce omnes.*

Rozprzężenie obyczajów nigdy na korzyść życia duchowego nie wychodzi. Gdy społeczność straci z oczów wszelki cel wyższy a prywatą się po nocy kieruje, umysł téż jéj drętwieje i staje się bezpłodnym. Cały z niego użytek, aby dobrze obrachował co się lepiéj opłaci: trzymać z Brühlem czy z Czartoryskimi?

Między takim dworem jakim był Augusta trzeciego a krajem, jakiż mógł być węzeł, jaka spójnia? interes tylko. Miłości nawet nie było, zjadano się wzajemnie. Monarcha wyzyskiwał poddanych, oni jego, oboje razem ssał Brühl. Na taki stan kraju przypada wybór Stanisława Augusta.

Wśród tego zepsucia ogólnego, zepsucie smaku było nieuchronném następstwem zgnilizny, pojęcie piękna wszelkiego było spaczone i krzywe. W wymowie szukano go w stylu nadętym, niezrozumiałym, w konceptach niedołężnych, w smażonych a zapożyczanych frazesach, w mnogich cytatach, które mozaiką czyniły robotę. Natchnienie w niéj zastępowała łatanina, erudycyą pokrywano czczość myśli, a skarbczyki gotowe uczoność każdemu czyniły dostępną.

Widzimy to zarówno na ambonie w kazaniach, na Sejmach, w mowach, których nadużywano w życiu prywatném, przy wszelkich okolicznościach, assumpt do nich podać mogących.

Ex promptu powiedzieć mówkę, należało do towarzyskich przymiotów dobrze wychowanego młodzieniaszka, prawiono je przy kielichu, powitaniu, żegnaniu, winszując, z kondolencyą na pogrzebie, na weselu przy oddawaniu marcepanów, darów, wprowadzaniu do łożnicy, ze strony rodziców, od pana młodego, od przyjaciół itp. Szukano zręczności do tego słów wylewu, popisywano się chętnie ze Swadą, wpisywano do ksiąg domowych osobliwe tego rodzaju elukubracye. Już za czasów Paska widzimy rozkwitłą tę manią oratorską, która późniéj wybujała jeszcze, prawdziwie poczwarne wydając owoce.

Główną literatury ówczesnéj część stanowi Swada, tak czcza, tak bezmyślna, tak bezbarwna, ani z głowy ni z serca płynąca, iż ubolewać przychodzi nad społecznością co się tém próchnem żywić musiała.

Kazanie jest w tymże rodzaju, całe z cytat, wymuszone, bez prostoty i natchnienia. Umysły zdają się uśpione, wyczerpane, nic ich do żywszego poruszenia się obudzić nie może.

W tém życiu rozprzężoném, obozowém, w którém ognisk brakło, narodowy teatr nawet zrodzić się nie mógł. W kolegiach jezuickich grywano dyalogi alegoryczne po łacinie, po dworach nieśmiało próbowano francuskich przekładów niektórych sztuk, lud się bawił w jasełka, rodzaj komedii *del'arte*, improwizowanéj na tle podań dawnych.

Przy takich szkołach i uniwersytetach, jakie za sasów istniały, mogłoż być inaczéj? Sąto zastygłe i wygasłe ogniska, od których wychodzą ludzie z kilką schematami wyuczonemi, nierozbudzeni do życia, przytępieni, chwyciwszy ledwo tyle co niezbędnie potrzebne do palestry, kancelaryi pańskiéj lub gospodarstwa i Sejmiku.

Najuczeńsi nawet są tylko erudytami, myśl ich spowita boi się skrzydeł rozwinąć, aby ją po za sfery orthodoxyi nie uniosły.

Nauczono ich, że ona niewszędzie sięgać ma prawo, z obawy przekroczenia woli się trzymać u poziomu. Sparaliżowanie to ducha widoczne we wszystkiém, w walce o życie i byt dobry całe zachody i troski. Jéjmość bieduje z dziećmi i włodarzem domu, szlachcic gościem u ogniska swego, a gdy przybędzie to nie sam, wiodąc gości i wrzawę z sobą.

Znajdują się obrońcy i zakonu Lojoli i wychowania, które on u nas prowadził; lecz jakże obronić się przeciwko faktom? Ze strachu herezyi zabito życie, było to:

Propter vitam vivendi perdere causas.

Jak ci doktorowie, co ujmując życia chcą osłabić chorobę, wychowanie jezuickie wycieńczyło naród, zdrętwiło w nim ducha.

Szlachta, to jest większość w pół ukształcona, miała tylko tyle co z ich szkół wyniosła. Panowie, których wychowanie było nieco różném, mieli coś więcéj. Tu już od Sobieskiego czasów, a raczéj od Jana Kazimierza, stosunki z Francyą wniosły jéj język, zamiłowanie obyczaju i literatury francuskiéj. Panowie wszyscy obok łaciny umieli dobrze po francusku, język ten oddziaływał na nich, bo nikt bezkarnie z żadnym się językiem nie żeni, a nawet czasowo z nim nie braci.

U góry wpływ był dwoisty i farba téż inna. Co umiało i mówiło po francusku miało się za cóś wyższego i lepszego, a było w istocie więcéj ogładzoném i mocniéj popsutém.

Tak ci, co się kształcili na łacinie, jak drudzy, co ssali piersi francuskie, języka własnego nie uczyli się prawidłowo. *Vernaculo sermone* mówiono i pisano jak Bóg dał, jak niańka nauczyła, jak łacina wskazała, z potrzeby go używając nie z zamiłowania.

W początku XVIII w. język już tak został zaniedbany, połamany, popsuty, iż z niego zostały tylko szczęty. Nie tyle go makaronizmy nadwerężały, bo to były wstawki nieprzyrastające doń, zawsze się dające wydzielić, jak raczéj utrata poczucia natury mowy własnéj. W ustach ludu język ten był żywym jeszcze, u innych klas wykształceńszych martwemi tylko jego członkami się posługiwano.

Najdobitniéj się to w stylu czuć daje, a najwyraźniéj tam, gdzie myśl znałogowana do form francuskich posługiwała się wyrazy polskiemi. W użyciu języka, czuć że żywa tradycya jego zatracona została, że to, co z nim wiązało, pękło. Układają się wyrazy dziwnie, niezgodnie z duchem jego, opacznie, koszlawo, poczwarnie. Częstokroć nawet użycie ich zdradza nieświadomość prawdziwego znaczenia, ktokolwiek się wychował w francuszczyznie przez całe życie nosi od niéj znaki jak od ospy.

Zgoła język polski kona za Sasów, zdaje się blizkim zupełnego zniedołężnienia.

To co do formy, treść téż wszystkiego co wydaje piśmiennictwo ówczesne, uboga, biédna. Myśl wybiedz nie pragnie, boi się— za płotem stoi herezya i czyha na nią. Ciekawość pierwszym stopniem do piekła, toć szkolna maxyma.

Tymczasem na zachodzie, w Anglii, we Francyi, duch krytyki i sceptycyzmu budzi się na nowo. Tam życie, stosunkowo swobodniejsze, dozwoliło się rozwinąć filozofii, Locke, Hume Bayle; Shaftes-

bury i Bolingbroke, Condillac przygotowują zwrót nowy. epokę Rousseau i Voltaire'a.

Nie idzie tu już, jak w XVI w. o reformę kościoła, ale o wyzwolenie się ze wszelkiego dogmatu z góry narzuconego, o swobodę myśli, jak niegdy o swobodę sumienia. Szkoła ta nowa nie ma siły, aby coś nowego zbudowała, ale ma burzącą potęgę, tém większą, że kościół stoi jak opoka i na opoce, która opiéra się wszelkiemu nowemu jéj ukształtowaniu.

Prąd ten nowy nie rychło dochodzi do nas, ale wielkiego wpływu jego na późniejsze losy piśmiennictwa i kraju zaprzeć niepodobna.

Długo od wszelkiego zetknięcia się z nim osłonięci, obwarowani odosobnieniem, zamknięci w sobie, ulegamy mu tém silniéj, iż na odłogującą długo rolę przychodzi.

Spójrzmy jeszcze choć pobieżnie na organizm tego społeczeństwa, które nam w spuściźnie, po dwu panowaniach Sasów zostało.

Składało się ono, wedle ówczesnéj klasyfikacyi, naprzód z duchowieństwa, w którém dwie warstwy odróżnić potrzeba, wyższe i niższe.

Do tego prawie całe zakonne się wlicza. Za niém idą możni, senatorskie rody i szlachta z niemi skoligacona, rozpadająca się na młodszą i starszą, na zamożniejszą i zubożałą a służebną. Naostatek, stoi po za niemi lud bezwolny i zbiédzony.

Nie zaliczamy tu mieszczan, gdyż ci stanowili odrębną jakąś masę, w większéj części z obcych żywiołów złożoną, nie spójną, nie dorosłą do życia, prawami do niego nie obdarzoną, nie liczym wojska, bo tego ze szlachty wydzielać nie ma potrzeby.

Dwór obu królów saskich, przebywających tylko chwilowo w Polsce, był francusko-niemiecko-kosmopolitycznym. Nic tam narodowego rozwinąć się przy nim nie mogło. Cierpiano kontusze, ale w żywym związku nikt nie był z niemi. Szlachta do panów swych potrzebowała drogmana. Co bliżéj z królmi zjednoczyć się chciało, musiało się wynarodowić i przybrać ton francuski, dworu Ludwika XIV, który saska dynastya przyswoić sobie chciała.

Wyższego duchowieństwa część najznaczniejsza kończyła swe wychowanie w Rzymie. Przeznaczeni na stolice biskupie potomkowie rodzin możniejszych w domowém wychowaniu, przygotowującém do peregrynacyi za góry, już cechy rodowe zaciérali, stając się kosmopolitami.

Mało biskupów dochodziło dostojeństw prawem zdolności i talentów, większość szła do stanu duchownego z rodów znacznych dla mitr i dostatków, jakie do nich były przywiązane. Z biskupstwem krakowskiém szło księztwo Siewierskie i milionowe dochody, prymasowstwo wyposażone było równie bogato, Warmia dawała tytuł książęcy i książęce proventa. Duchowni w Senacie Rzeczypospolitéj, w Radzie króla, u jego boku zajmowali stanowisko przeważne. Ubogie pacholę cudem chyba mogło się tam docisnąć.

Na takich dworach biskupich, choć wspaniale było i gwarno, język narodowy w przedpokoju się tylko słyszéć dawał, cudzoziemskiemi mówiono na sali. U Sołtyka na teatrze grywano tylko francuskie sztuki, kancelarye pisały po łacinie i po francusku. Polski język służył do zbliżenia się z niższém duchowieństwem. Jeżeli Biskup uczonym był i lubił uczonych, otaczał się jak Załuski niemcami, a pisał po łacinie.

Niższe parafialne duchowieństwo, proboszcze i wikaryusze, jak świadczą zgodnie pomniki współczesne, wielkiego wykształcenia nie mieli. Żyli z ludem, często jak ten lud, ubogo. A że znaczna część probostw miała grunta i gospodarstwa, byli zarazem rolnikami i to ich zaprzątało. Z klas niższych rekrutujący się ten żołnierz prosty, niespodziewający się awansu, bo kanonie i beneficya brała szlachta tylko; przychodził z seminarjum tyle umiejąc, aby skromnym wymaganiom mniéj jeszcze oświeconych parafian mógł zadość uczynić.

Z zakonów dwa stały na czele. Jezuicki, którego celem głównym było, od założenia go, walka z herezyą i zapobieganie emancypacyi ducha i Pijarski. *Scholarum piarum*, który od razu opozycyjne zajął stanowisko. Nadto znaném jest co charakteryzuje zakon Jezuitów, abyśmy to powtarzać potrzebowali. Spełnili oni powierzone sobie posłannictwo, przechodząc zakrés jego, ze ślepem posłuszeństwem żołnierzy, z ofiarnością niezrównaną, z obawy pożaru gasili wszelkie światło. Świecili natomiast próchnem i przy tém słabém światełku uczyli żyć, skromnie się niém obchodząc.

Zakon szkół pobożnych od razu sobie założył rzecz do wykonania niemożliwą, choć na ów okrés i w danéj chwili, w części urzeczywistnioną, i już wielce pożyteczną. Pomiędzy nauką szkół jezuickich a żywym światem nie było związku; pijarowie chcieli religią przejednać z postępem, naukę chrześciańską połączyć z praktyką życia. Do szkół swych wprowadzili nowe formy w nauczaniu, pozbywając się przestarzałych, w plan nauk wciągnęli nauki doświadczalne, w rachunek nawet szły talenta towarzyskie i co tylko do życia przygotowywać mogło. W duchu ich szkół była reforma

a postęp razem z wiekiem. To zadanie właśnie szkopułem było, bo kościół ustępstw światu czynić nie chciał, a ścisła logika orthodoxyi była przy Jezuitach. Rodzaj odstępstwa tkwił w zadaniu szkół pobożnych, chciały iść naprzód, gdy kościoła dogmatem była nieruchomość. Walka dwu zakonów stawała się nieuchronną; pijarowie mieli za sobą ducha wieku, z kościołem jednak na téj drodze zwolna rozbratać się musieli. W samym ich zakonie, z wyjątkiem niewielu ludzi znakomitszych, wyższych umysłem, godzących wiarę z nauką—walka przeciw excessom fanatyzmu i zastałości przerodziła się w indyferentyzm i sceptyczność. Raz na pochyłość rzucone umysły, w dalszym pochodzie zatrzymać się nie mogły.

Obok tych dwu zakonów postawmy i najpopularniejsze w kraju zakony żebracze, reguły ś. Franciszka, które nie jaśniały nauką, ale z życiem się zrosły, pojmowały je i praktyką skromną cnót chrześciańskich, zastosowaniem się do obyczajów, przejęciem moralnością ewangelii, tolerancyą nareście się odznaczały. Prostoduszny braciszek, jeżdżący po kweście, z opłatkami, z obrazkami dla dzieci, znajdował w sobie natchnione słowa, w których go żaden kaznodzieja ani najsławniejszy teolog nie prześcignął. Z ludu powstałe zakony te ubogie, z ludem i szlachtą w najściślejszym były związku. Wyrozumieli, łagodni, pobłażający, nawracali więcéj sercem niż wymową. Bernardyn, z którego się czasem śmiano, odcinał się zręcznie, był wszędzie miłym gościem domu, ale światła doń nie przyniósł wiele, bo go nie miał.

O możnych rozszerzać się nie potrzebujemy. Na tych wyżynach społecznych zwykle i wszędzie wykwita i co ma najświetniejszego naród i co ma najzepsutszego. Drzewa i narody usychają od wierzchołków, a od pni nowe puszczają wyrosty.

Zachowały się w końcu XVIII w. idealne, patriarchalne pańskie dwory w Polsce, ale wyjątkowo. Pod wpływem saskiego dworu, który z nich wybiérał haracz Denhofowych, Lubomirskich, Pociejowych i tylu innych, kobiéty się popsuły, a przez matki pokolenia. Faworyty i przyjaciółki Augusta mocnego nie mogły dzieci na Spartanów wychować. Żądza używania, błyszczenia, panowania oślepiały na wszystko.

Polor francuski z obyczaju narodowego pozostawiał tyle tylko ile było potrzeba, aby szlachtą Sejmikową módz pociągnąć ku sobie. Każdy niemal panicz odbywał podróż na zachód dla dokończenia wychowania i powracał do domu znudzonym kosmopolitą, pogardzającym barbarzyńskim krajem własnym. Wielkie panie żyć nie mogły w domu, musiały jeździć choć odetchnąć za granicę.

Magnaci stykali się ze szlachtą tylko, gdy dla swych widoków potrzebowali się nią posłużyć. Mało kto wyżył na wsi, a zmuszony, jak stary Hetman Branicki męczyć się w Białymstoku, tworzył sobie sztuczną atmosferę wersalską, aby módz oddychać.

Jeden z Sapiehów, za Augusta III starą bibliotekę polsko-łacińską wyrzucić kazał precz, aby miejsce po niéj francuskiemi romansami i teatrem zapełnić. Panie przechodziły w tém mężów.

Pod wpływem rozmaitych żargonów wyuczonych w podróżach, po polsku mówiło się i pisało poczwarnie.

Dość spojrzéć w listy, francuzczyzną przetykane i bez ortografii. W ortografii zresztą nie był mocnym i polyglotta Poniatowski, ni żadna z pań co doń listy pisywały. Nie troszczono się o nią wiele.

O polskiéj literaturze u panów ówczesnych, ani słychu nie było. Jeżeli się co z niéj zawieruszyło w domu, poszło do fraucymeru, na folwark, do plebanii.

Szlachta zamożna, spokojniejsza, zwłaszcza po niektórych kraju zakątach, dawała właściwie z całego tego organizmu, jedyny przytułek narodowym tradycyom i piśmiennym pamiątkom. Tu nic nie wsiąkało oprócz łaciny, a ta tak bardzo szkodliwą nie była, bo duch jéj dawno z naturą języka się spoił. Tu żyła miłość rzeczy własnych, wspomnień, podań, tu się spisywały silwy, dyaryusze, zachowywały kroniki i śpiewały pieśni stare. Zamożniejszy szlachcic posuwał wyżéj syna w naukowych zakładach, choćby dla krescytywy. Chciał żeby on coś umiał, i wykształcenie możnéj szlachty często gruntowniejszém było niż paniczów co zbyt wcześnie żyć zaczynali. Z tych sfer zasilała się palestra, w któréj, bądź co bądź, słowo miało swą wartość, myśl szacunek.

Poniżéj wśród tłumów rozdrobionéj, ubogiéj, ocierającéj się już o lud szlachty, nie ma co szukać oprócz widoku upadku i demoralizacyi. Ciżba to posłuszna panom, pragnąca chleba, gotowa siec i zabijać byle coś zarobić, biédna, ślepa, zepsuta, upadła a dumna przywilejem, który na sejmikach sprzedawała. Być może, iż i tu znajdowały się typy piękne, szlachetne, nieposzlakowane, ale wiemy jakim był ogół. Pamiętniki współczesne świadczą.

Stan ludu, włościan był smutny. Rycerstwo, wedle dawnych pojęć, posługiwało się nimi, aby samo mogło się dla obrony kraju poświęcać. Były wsie gdzie lud niemal do rodziny pańskiéj należał, będąc z nią w związku serca i ducha, ale była i niewola uprawniona zwyczajem, nałogiem wiekowym. O oświacie tego ludu nikt nie myślał, owszem uważano ją za zgubną, odwracającą od pracy, zasiewającą nasiona nieposłuszeństwa i buntu. Był to domo-

wy zwierz roboczy niestety, z którym się obchodzono po ludzku, ale praw ludzkich przyznać mu nie chciano.

W chacie literaturę stanowiła baśń prastara, pieśń dziewicza, śpiew pobożny, modlitwa, co się odziedziczyło po dziadach i wzięło z kruchty kościelnéj.

Spadek, który XVIII wiekowi z przeszłości pozostał, dość był liczbowo obfity, ale wśród niego to, co było, że się tak wyrazimy, assymilacyjném, mogącém przejść w krew i życie, ogranicza się szczupłą dzieł ilością. Piśmiennictwo nasze, jak każde inne, na mnogie rozpada się działy i rodzaje, lecz *per excellentiam*, to głównie wchodzi w rachubę historyi ducha, co dla jak największéj liczby było dostępném.

Książka, któréj nikt nie czyta, jest jakby w niezrozumiałym pisana języku. W samych początkach, Rej, Kochanowski, Bielski, Górnicki, późniejsi nawet poeci i popularniejsi pisarze, Grochowski, Klonowicz, Twardowski, Kochowski mówili do ogółu; czytało ich co czytać umiało, karmiono się nimi. Co oni wyśpiewali i wypowiedzieli rozumiał każdy, odczuwał i łatwo przyswajał.

Wszyscy nasi pisarze łacińscy już dla wybranych tylko byli przeznaczeni. Górnicki swe dzieje, Bielski kronikę spisują przystępnie, jakby opowiadali, Sulikowski swój komentarz, Kochowski klimaktery układają po łacinie.

Z całéj téj przeszłości zostaje trochę dziejów i wiele pieśni, które naród spożył i nakarmił się niemi, popularnych prozaików prawie nie mamy. Szukać ich chyba w broszurach i pisemkach urywkowych, a i tych większość rymuje i w poezyą stroić się rada. Obok dziejów wpływowymi są pisarze duchowni, Skarga w żywotach swych i kazaniach, i inni idący w jego ślady.

Do pewnego stopnia popularność i wpływ książek mierzyć się może dzisiejszą ich rzadkością, książki nabożnéj całéj dziś nie znajdziesz, kronik zostały karty odarte, broszur, poematów, fraszek tylko strzępki. Niektóre pisma dawne znamy tylko z tytułów. Pierwsze wydania Kochanowskiego są nie do znalezienia. Grochowski nawet i Kochowski są stosunkowo rzadzcy, gdy uczone foljanty, teologiczne traktaty, łacińskie kroniki łatwiéj się trafiają.

Kochanowskiego pieśni przepisywano do XVIII w., psalmy śpiewano po kościołach, pieśni po domach.

Nie było nad niego z dawnych popularniejszego poety. Ten twórca języka trafił do serca narodu i zamieszkał w nim.

Z końca panowania Augusta III-go, przebiérając owe Silvy, w których się mieści niemal cała literatura ówczesna, śladu w nich już prawie nie ma prastarych pozostałości—oprócz pieśni Kochanowskiego.

To co je zastąpiło nędzne i liche. Smutniejsza jeszcze rzecz, że tacy poeci jak Morsztyn, Kochowski, Potocki, w których było poczucie piękna, pewien kunszt słowa, czasem myśl piękna i natchnienie prawdziwe, przebrzmieli bez uznania i rozgłosu.

Oratorska swada zabijała poezyą, w końcu trafił się li wiersz co szerzéj się rozchodził, była to Satyra, epigramat złośliwy, niezręczny opis wypadku, lub piosenka i powiastka swawolna.

Wacława Potockiego, ostatniego wielkiego poety, wspaniały poemat o chocimskiéj wojnie, nawet druku się nie doczekał.

Polska więc literatura w połowie XVIII w. cała była w spuściznie przeszłości. Utrzymywała też kraj w pojęciach wieków poprzedzających i przyczyniała się do zastałości. Gdy nic nowego nie podsycało życia, nie karmiło go sokami żywotnemi; duch zapasami staremi żywiony musiał nabiérać ich charakteru. U nas też prowincye, odleglejsze zwłaszcza, w tym czasie jeszcze były bez żadnéj niemal zmiany takiemi, jakiemi je stworzyło ruchawsze panowanie Jana Kazimierza. Ani w nich postępu, ni przetwarzania koniecznego tam, gdzie jest życie normalne, nie widać.

Powtarzało się wszystko stare, idee, formy, pojęcia teraźniejszości, na sejmach, w kościele, po domach. Nic nie przybywało, nic się nie tworzyło, a że prawem jest że co nie rośnie to niszczeje, więc i pojmowanie przeszłości ścieśniało się, paczyło, tradycye wietrzały, suche z nich pozostawały formy.

Przez ciąg panowania Sasów skazani jesteśmy na to wyjadanie spiżarni staréj, w któréj zapasy coraz maleją, albo ludzie nie wiedzą już jak z nich korzystać.

Znany jest Stan Rzeczypospolitéj w chwili zgonu Augusta III-go. Nie władała ona już sobą, anarchia ją obezwładniła; coraz silniejsze były wpływy dworów obcych. August II-gi marzył już o podziale jéj i przyłączeniu pozostałéj części do dziedzicznego swego państwa.

Za słabym był tylko by się ważyć na to, nawet z pomocą zapłaconego brandeburgczyka. Dotąd współzawodnictwo ościennych dworów żadnemu z nich wyłączniéj zawładnąć Rzeczpospolitą nie dopuszczało. Od chwili, gdy jeden z nich uzyskał w Polsce przewagę, mógł już marzyć o jéj opanowaniu. Mówiono jeszcze, że Polska bezrządem stała, gdy właśnie nim upaść miała.

W téj chwili groźnéj już dla staréj, nadwątlonéj budowy, nieumiejącéj odrodzić się o własnych siłach, wstąpić miał na tron Stanisław Poniatowski, wsparty opieką najsilniejszego z sąsiadów.

Poniatowski pochodził sam z rodziny świéżo dopiéro przez ojca jego, niepospolitych zdolności człowieka, wychodzącéj z łona drobnéj i nieznanéj szlachty, ale matkę miał ks. Czartoryską, kobiétę wielkiego charakteru i wykształcenia, a po za nim stali dwaj ks. Czartoryscy, wujowie jego, którzy pod opieką Rossyi, odrodzić Rzeczpospolitę i zreformować ją, do życia zdolną uczynić pragnęli.

Stolnik litewski wychowany jak nadzieja rodziny ze staraniem największém, od dzieciństwa już kształcił się trybem kosmopolity i panicza. Natura dała mu zdolności wielkie, niezmierną łatwość pojęcia i władzę odczuwania wszystkiego, dowcip, dar przypodobania się ludziom i zastosowania do nich, pewien rodzaj zalotności niemal niewieściéj i żądzę zyskania sobie serc wielu, ale odmówiła mu energii, siły, charakteru i surowszego pojęcia życia. Przez cały ciąg ponowania Poniatowski takim pozostał, wrażliwym, usiłującym podobać się, uniknąć walki, przejednać ze wszystkimi, kupić sobie pokój, bodaj poświęcając mu godność własną.

Nigdy nie rozumiał potrzeby oporu, śmiałego wystąpienia, walki z opinią, bo czuł, że mu na sile do niéj zbywało.

Dorobkowicz z talentem, cudownie utorowawszy sobie drogę do tronu, chciał nią iść daléj, jednając serca. Ukształcenie odebrał w znacznéj części francuskie, otoczenie w którém żył, podróże dały mu poznać świetny stan innych krajów, ich dobrobyt i rozwinięcie szczęśliwe. W porównaniu do nich własny kraj wydawać mu się musiał dzikim i barbarzyńskim. Wielbiciel wszystkiego co było modne, co miało cechę postępu, co uderzało i świeciło; bałwochwalca dowcipu, był także czcicielem Voltair'a. Wchodząc na tron miał na sercu, jako najważniejsze zadanie, kraj zacofany, opóźniony, zdziczały, na zupełnie nowe wprowadzić drogi.

Cywilizować chciał, chociaż naówczas ani on, ani może nikt nie zdawał sobie sprawy jasno z tego, co od wieków zwało się „naprawą" Rzeczypospolitéj.

Ile w téj naprawie miało i mogło pozostać starego obyczaju, spuścizny przeszłości, co wejść nowego—nikt nie określał, pragniono instynktowo światła, wiedzy, ogłady, sztuki jako środka łagodzącego obyczaje; pozbycia się tego co zwano ogólném mianem przesądów,—reform politycznych, społecznych, zatém i piśmiennictwa jako dźwigni co pobudzać miała.

Od czasów Sobieskiego, którego dwór acz polski, nie miał zadania naprawy innéj jak rycerskiéj, a w narodowym duchu szedł raczéj z musu niż woli i rozmysłu, poraz pierwszy na tronie zjawiał się Piast, ziomek, na którego dworze polskie mogło zakwitnąć życie.

Poniatowski rozumiał dobrze jaką siłą było piśmiennictwo, jakim cywilizacyjnym środkiem była cześć piękna, sam z natury swéj artysta, miłośnik sztuki, po troszę literat, *bel esprit*, czuł co z pomocą ludzi utalentowanych dokonać może.

Wszystko było do zrobienia; gotowego nie znalazł nic, musiał wyszukać te narzędzia, tworzyć szkoły, rozbudzać uśpione siły, reformować akademie, zachęcać do nauk, nad wszystko pragnienie światła i ruchu rozkrzewić.

W pierwszych latach panowania widzimy go pojmującego gorąco to zadanie, zdobywającego ludzi, starającego się ich łaskami przywiązać do siebie, dobiérającego po swéj myśli tych apostołów, mających krzewić wiarę nową. Ta wiara nowa nie mogła być inną jak najświeższéj francuskiéj fabryki.

W kraju katolickim do szpiku kości, król szanować musiał religią, do któréj naród był przywiązany, z którą od wieków się zrósł i żywotem całym ją przejął. Król więc tylko, jak pijarowie szkoły, mógł kraj oczyszczać i na sposób najnowszy przerabiać, nie tykając świętości jego. Nie rozumiano dobrze granicy gdzie się przesąd kończył a dogmat zaczynał, trochę na oślep stąpano po ciemku, mówiąc sobie, iż praktyka nauczy miary.

Kontusze, wygolone głowy, stary obyczaj rycersko-szlachecki, liczył się na dworze Stanisława Augusta do oznak zastałości i zacofania. Na gwałt zrzucano odzieże stare i uczono francuzczyzny, aby się stać podobnemi do reszty Europy.

Dla tych co po francusku nie umieli, potrzeba było ludzi, którzyby cywilizacyą przekładali na język polski. Ztąd konieczność zastępu literatów, który król powoli około siebie gromadzić począł. Widzimy z mów i listów króla, że jego znajomość języka polskiego była bardzo słabą. Władał nim zupełnie tak jak innemi, któremi mówił, jak na króla, gładko i dosyć poprawnie. Najlepiéj jednak i najłatwiéj wyrażał się i pisał najchętniéj po francusku. Równie pra-

wie dobrze mówił po angielsku, po włosku i po niemiecku. Nie była mu obcą łacina, ale téż nie zbyt poufałą.

W polskich jego pismach czuć myśl francuską, zwroty obce, użycie wyrazów często nieśmiałe i opaczne, brak wprawy i obeznania z pięknemi wzory XVI wieku. Wszyscy poeci i literaci jego czasu, co się więcéj na łacinie ukształcili, jak Naruszewicz i Trembecki, przez nią bliżsi byli ducha XVI w., inni jak Krasicki, Węgierski, Niemcewicz wyrażali się z pewnego rodzaju nieśmiałym i mniéj więcéj szczęśliwym neologizmem.

Chciał król dla narodu oświaty, tak jak warunki jéj pojąć umiał, w gruncie raczéj ogłady dla ogółu, a wyjątkowo uczonych ku potrzebie reform gospodarstwa państwowego, wojskowości, przemysłu, wszystkich niemal gałęzi życia. Sprowadzano cudzoziemców na nauczycieli.

Aż do r. 1772, to jest do zniesienia zakonu jezuitów, plany i programmata są nie jasne, zawichrzenia téż krajowe nie dozwalają się zająć czynnie ich urzeczywistnieniem. Konfederacya barska, wskrzeszająca uczucia religijne i rycerskie, ma też swą literaturę, zaprawdę ciekawą i charakterystyczną. Śpiéwa ona językiem Sasów, w którego stare stężałe członki nowe soki wpłynęły. Pieśni jéj mają uczucia wiele a zbywa im na formie.

Znać w nich, że ci co je śpiewają tyle tylko umieją co ich przestarzała domowa tradycya nauczyła. Język to palestry i jezuickiéj szkoły. Poetom nie zbywa na talencie, na polocie, ale język ich ma związane skrzydła.

Od koronacyi Stanisława Augusta do smutnego końca konfederacyi barskiéj i pierwszego rozbioru, nie ma jeszcze mowy o odrodzeniu się literatury.

Kraj pokonany, musi odzyskać życia warunki, nim rozpocznie się przetwarzać. Z pierwszym rozbiorem schodzi się fakt niezmiernéj wagi, zniesienie zakonu jezuitów, na którego bogatą spuściznę rzuca się łakoma, chciwa łupu prywata. Z cynizmem strasznym padają krucy na pastwę, ale kraj téż dopomina się o spadek i udział w dziedzictwie. Ogromne dobra i fundusze pojezuickie, nadane instytucyom naukowym dla szerzenia oświaty, przechodzą pod zarząd komisyi edukacyjnéj.

Pierwsza podobno w Europie Rzeczpospolita, odbiéra w swe ręce z rąk duchowieństwa, wysekularyzowane wychowanie publiczne, krok to w duchu wieku, śmiały i stanowczy. Duchowieństwo zostaje przypuszczoném do oświecania, lecz kierunek jego odbiéra państwo, ono bierze na siebie organizacyą nową uniwersytetów, szkół i szkółek, całą oświatę narodu. W najsmutniejszéj dziejów godzinie

jestto największa zdobycz, która wiele strat nagrodzić może. Rzeczpospolita, raz poświęciwszy część swych prowincyj dla uzyskania pokoju do wewnętrznego odrodzenia się niezbędnego, rozpoczyna jakby życie nowe. Po téj ofierze bolesnéj, zdaje się wszystkim, iż to co pozostało, co rychléj z choroby wieków leczyć należy. Rozumié to król, pojmuje doskonale komisya edukacyjna, a choć w jéj łonie zasiadają ludzie charakterów wielce niepewnych, niedostępni poczuciu obowiązków—wstyd nie dopuszcza im źle czynić.

Lecz od tych uwag ogólnych, które nas zbyt daleko uniosły, zwróćmy się jeszcze nazad ku czasom, panowanie to poprzedzającym.

Śledząc genezę tego ruchu reformatorskiego, którego stér dostaje się w ręce Stanisława Augusta, musielibyśmy znijść aż do XVII wieku, w którym pierwsze się głosy odezwały, domagające naprawy Rzeczypospolitéj. Skarga, Modrzewski, Starowolski widzą złe, czują że się wszystko rozprzęga, wołają o ład i nową organizacyą, ale to są głosy rozlegające się na pustyni. Za Sasów, gdy już zło uwydatniło się tak, iż reforma radykalna instytucyi, stała się życia warunkiem, odezwał się za nią nieśmiało król Wygnaniec Stanisław Leszczyński.

Za nim, kreśląc obraz jaskrawy stanu nieszczęśliwego kraju, wystąpił pokrewny mu z ciała i ducha Jabłonowski w swym Skrupule bez skrupułu.

W téj szkole Leszczyńskiego pierwszą myśl reform powziął Konarski, jest jéj uczniem i spadkobiercą.

Krasicki napisał Konarskiemu na grobie:

Ten co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił

Na medalu na cześć jego wybitym, napisano:

S a p e r e a u s o.

Medal i nagrobek zarówno świadczą jak zasługi Konarskiego „w odkryciu ścieżek wiekami zarosłych“ cenić umiano.

Dziś, gdyśmy skutkiem zwykłego w przekonaniach ludzkich obrotu, przyszli znowu do rehabilitacyi zakonu jezuitów i zaparcia się postępu, dlatego, że zapalone umysły za daleko się, szukając go, zapędziły—dziś, nietylko zasługi Konarskiego zmniejszyć usiłują, ale chcą im zaprzeczyć. Jestto moment słabości ludzkiéj, który nas od

bezstronnego osądzenia dzieła, które Konarski rozpoczął, nie może powstrzymać.

Potomek możnéj i znacznéj rodziny, z powołania wdziawszy suknię zakonną, Konarski odbył dla wykształcenia się podróż po Europie i mógł najlepiéj ocenić przez porównanie, jak stan oświaty w Polsce był opłakanym.

Byłoto za panowania jeszcze Augusta III. Prawdopodobnie całéj rozciągłosci tych reform, do których miał z kolei dać pobudkę, nie rozmierzył od razu. Począł w r. 1741 od wydania po łacinie dzieła, o naprawie błędów wymowy. (De emendandis eloquentiae vitijs). Instynktowo rozpoczynał od reformy napuszonego, bezmyślnego oratorstwa, dlaczego? Cudowne poczucie go wiodło. Czuł w tych słowach, gromadzonych dziwacznie, symptom czczości, znikczemnienia, wygniwania ducha i życia.

Słowo nie jest nigdy przypadkowém, forma nigdy obojętną i bez znaczenia, w nich bije puls życia. Czuć w stylu każdéj epoki gorączkę lub osłabienie, wyżycie się lub zdrowie, a wad wymowy inaczéj poprawić nie można, jak zmieniając, przetwarzając całą naturę człowieka.

Jaka mowa taka myśl; niedołężne jedno, zniedołężniałe i drugie, jaka myśl taka dusza, z któréj się ona wylewa, jaka społeczność takie wychowanie, co tę duszę wykształciło.

Słowo jest ostatnim wyrazem i wypadkiem życia.

Naprawić chcąc wymowę, nie dosyć było wykazać jéj śmieszności i bezmyślność, należało sięgnąć do tego z czego się rodziły chwasty. To téż, po pierwszym tym wysiłku oddziałania na słowo, wykazaniem jego wad i czczości, w 1755 Konarski przedsiębierze dzieło, mające społeczność samę odżywić, rozbudzić, zmienić—poczyna wielką reformę wychowania.

Szkoły martwe, według dawnéj urządzone metody, wszystko zasadzającéj na gimnastyce filologicznéj łacińskiéj, ciasno pojętéj, Konarski usiłuje z gruntu przetworzyć, wprowadzając do nich, obok łacińskiego języka, naukę nowożytnych, i nauki przygotowawcze do poznania otaczającéj natury, a żywego świata. Widzi reformator, iż ruch i postęp jest niezbędnym, że nauka stanęła nie rachując się z ogólnym pochodem ku światłu, że życie jest w niezgodzie ze szkołą, a ona tamuje je nie przygotowując do niego. Szkołę więc nową zamierza uczynić istotną propedeutyką żywota i wlać w nią siły nowe.

Cel postawiony dość jasno—nie tak środki i drogi. Gdzie tylko burzyć potrzeba aby budować, istnieje zawsze niebezpieczeństwo obalenia za wiele. Gorączka reformatorska tak jest niebezpieczną

jak zapał wojenny; w bitwie ślepnie i głuchnie człowiek. W walce z zakonem reprezentującym orthodoxyą i nieruchomość, łatwo było popaść w radykalizm i indyferentyzm religijny. Nie poszedł tak daleko Konarski, ale następcy jego nieraz u skraju stanęli.

W walce z łaciną średniowieczną, do innych źródeł potrzeba było się udać dla zdobycia nowych zasobów, Konarski nie miał innych nad francuskie, a wpływ ducha francuskiego raz ustalony wiódł do poślubienia wszystkich jego aberracyi krańcowych, szczególniéj w kraju tak ślepo ulegającym urokowi zachodu, jak my zawsze byliśmy.

Oprócz reformy wychowania i dzieła o poprawie wymowy, zasłużył się wielce Konarski wydaniem całkowitego zbioru rozpierzchłych praw Rzeczypospolitéj, a tegoż zgromadzenia zakonnik Dogiel rozpoczął druk pierwszego kodeksu dyplomatycznego. I to nie było bez znaczenia głębokiego, bo poznanie krytyczne dziejów i instytucyj musiało być bodźcem do reform w samym organizmie państwowym.

Wpływu jednak i znaczenia Konarskiego nie w samych pismach jego szukać należy, zawierają one tylko cząstkę działalności, świadectwo jéj. Konarski przez stosunki swe, wychowanie, osobiste wpływy działał słowem, przykładem, czynem, więcéj niż wydanemi dziełami.

Szkoły pijarskie były reform jego machiną główną, przez nie dźwignął się zakon. Widzimy, że pod koniec panowania Augusta III, z Konarskim i jego wpływem, polityka się liczyć musi. Czartoryscy w swych planach ulepszeń i odmian schodzą się z nim.

W r. 1760 Konarski wydaje pismo wielkiéj politycznéj doniosłości, targa się na owę źrenicę wolności polskiéj, na *liberum veto*; zapowiada nowy początek obrad sejmowych i wskazuje już jak je należy urządzić, aby owoc wydać mogły. Jestto dzieło „O skutecznym rad sposobie“, które w kraju ogromne uczyniło wrażenie. Potrzeba było odwagi wielkiéj, aby się targnąć na to, co za najdroższe uważano, a co najzgubniejszém było. Usprawiedliwił reformatora cały szereg pozrywanych marnie sejmów, niedoszłych praw, owych opłacanych przez różne partye „nie pozwalam“ i manifestów, odbierających *activitatem* izbom, dla fantazyi jednego przekupionego człowieka.

Nie można się było ani spodziéwać, aby to pierwsze słowo skuteczném być miało, ale byłto wyłom w twierdzy, byłto jakby gwałtownie oderwany plaster, okrywający ranę krwawą. Widzieli ją teraz wszyscy, przyszłość leczyć miała.

Wydał jeszcze Konarski, rzecz o religii poczciwych ludzi (1767), pismo przeciwko deistom, które szerzącemu się indeferentyzmowi religijnemu zapobiedz miało, lecz mniéj zyskało rozgłosu. Oprócz tego w rękopismach po nim zostały, piękną polszczyzną pisane dramatyczne próby, które wyższą wartość mają niż współczesne.

Cała działalność Konarskiego, dla nas dziś niejasna, gdy same pisma na wagę weźmiemy, uznaniem powszechném za panowania Stanisława Augusta potwierdza się i wyświeca. Był to mąż czynu, a skutki prac jego świadczą o nich najlepiéj.

Zdało się nam niezbędném tym wstępem i ogólnym obrazem poprzedzić życiorys naszego pisarza, który przychodzi razem z królem Stanisławem Augustem, posiłkując swém piórem i dowcipem do wielkiego reformy dzieła.

Zbliżmy się teraz do niego.

Stara szlachecka rodzina Siecińskich Rogalów, która obyczajem naszym, od Krasic później pisać się poczęła Krasickimi, już wXVI w. u Paprockiego rozrod .ona i wielkiego znaczenia się okazuje.

Jak wiele innych szlachecko-pańskich rodów, wyrosła, rozrodziła się, służyła krwią i mieniem krajowi, aż ofiarami i podziałem majętności z dawnego swojego stanowiska, które ją na równi z pierwszemi w Polsce domami kładło, schodzić poczęła w XVIII w.

Rogale z Siecina, Murzynowa i Krasic, wielkich majętności na Rusi posiadacze, zawczasu koligacyami połączyli się z najznaczniejszemi domami w Polsce. Znajdujemy w ich genealogii Sanguszków, Fredrów, Ossolińskich, Lipskich, Czartoryskich, Sapiehów, Rzewuskich, Cetnerów, Czetwertyńskich, a członków rodziny na senatorskich krzesłach wojewodami i kasztelanami, w poselstwach do obcych dworów, czynnych w sprawach Rzeczypospolitéj.

Marcin wojewoda podolski, syn kasztelana przemyślskiego, na dworze Arcy książęcia Karola Austryackiego spędziwszy młodość, w poselstwie za Zygmunta III do Ferdynanda II Cesarza wysłany, tytuł hrabiego państwa rzymskiego uzyskał. Ten, choć zszedł bezpotomnie, na drugą linią został przelany. Że ród swój sam Biskup Warmiński stawił wysoko, widać to z ustępu w czwartéj pieśni Monachomachii, gdzie pisze:

> Ostrogskich książąt, Pinczowskich margrabiów,
> Górków, Tarnowskich i Krasickich hrabiów.

Z tym obcym tytułem hrabiowskim, który w Polsce raczéj tolerowanym był niż uznanym, bo równości szlacheckiéj stał solą w oku;

młody kanonik miał przybyć do Warszawy i jawnie go głosił. Było-to za Augusta III, gdy z niemieckim obyczajem tytuły u nas zagęszczać się zaczęły, a Niemcy niemi każdego bogatego szlachcica obdarzali, nic więc dziwnego, że nosił go Krasicki.

Adama z ks. Sanguszkównéj syn, Karol kasztelan chełmski, z dwu żon, Czetwertyńskiéj i Rzewuskiéj, liczne zostawił potomstwo, na które znaczne się majętności rozpadły. Z dzieci jego Jan kasztelan chełmski (z Rzewuskiéj) żonaty z Anną Starzechowską (1), rodziny swéj ostatnią, był ojcem Ignacego, najstarszego z potomstwa. Urodzony d. 3 Lutego 1735 roku w Dubiecku, ochrzczonym był przez ks. Gabryela Drzewickiego imionami Ignacego, Franciszka i Błażeja.

Znaczne jeszcze dobra były w posiadaniu téj latorośli domu, ale już uszczuplone rozrodzeniem, podziałami i w ostatnich czasach, wśród powszechnego nieładu, obciążone długami. To zapewne spowodowało matkę, troskliwą o przyszłość rodziny, że widząc w najstarszym synu objawiające się zdolności wielkie do stanu duchownego go przeznaczyła.

Imię, stosunki i dary umysłu zapewniały Krasickiemu w duchownéj hierarchii wysokie stanowisko, wielkie beneficya. Majętności więc nietylko uszczuplić nie mógł, ale mu łatwo ich było przyczynić i ród stary podnieść do dawnego znaczenia. Tak naówczas postępowały i inne rodziny, dbałe o to, ażeby się na stanowisku swém w Rzeczypospolitéj utrzymać mogły.

Solidarność wszystkich członków jednego rodu była jeszcze nienaruszoną, i członkowie ich poświęcali się chętnie dla utrzymania znaczenia—*domu*. Rody te i domy powiązane z sobą koligacyami, przymierzami odpornemi i zaczepnemi, władały Rzeczpospolitą. Z téj solidarności rosła siła, nieraz może szkodliwa, ale wiele-

---

(1) Anna Starzechowska, herbu Nieczuja, Stolnikówna Żydaczewska.

Synowie: Ignacy Arcyb. Gnieźnieński, Marcin, Karol, Xawery, wszyscy trzej kanonicy Warmińscy, i Antoni, dziedzic na Dubiecku żonaty z Różą Charczewską.

Córki: Marya, za Rościszewskim, Brygida za Starzeńskim, potém za Morskim kasztel. lwowskim.

Ojciec chrzestny Ignacego Załuski był kasztel. Wojnickim, potém Wojewodą Czerniechowskim.

Matką chrzestna Teofila Wapowska, cioteczna siostra Anny ze Starzechowskich Krasickiéj, za mężem naprzód Kopciem, 2° Rosnowska. 3° Załuska Wdz. Płocka, 4° Podoska Wdz. Płocka.

Obraz w kościele w Dubiecku wyobraża matkę z siedmiorgiem potomstwa. Młody Ignacy uderza na obrazie żywą i pełną inteligencyi twarzyczką.

kroć też pożyteczną dźwignią będąca, siła—któréj jednostki rozbite, samopas chodząc, mieć nie mogły.

Ród stanowił potęgę, która najmniejszą jego cząstkę czyniła pożyteczną i znaczącą; maleńcy rośli przez to, nie odpadało nic, wszystko było zużytkowane. Najuboższym krewniakiem opiekował się dom, ale się nim wysługiwał. Nieposłuszny tylko od téj jedności odpadał.

Dla utrzymania znaczenia rodu, jednostki szły na ofiarę. Ztąd układane zawczasu małżeństwa jak przymierza państw, ztąd do stanu duchownego wydzielanie córek i synów, innych do wojska itp. Dom był za owych czasów stowarzyszeniem, na członków swych wkładającém obowiązek ślepego posłuszeństwa.

Najstarszy lub najzdolniejszy wyznaczonym bywał głową i wodzem rodziny, ten szeregowemi swemi rozporządzał, śląc jednych bodaj na stracenie, drugich, gdzie ich zdolności różne powoływały. Szły do klasztorów ofiary z niewiast, aby ocalić dobra od obciążenia i podziałów, szli młodzi do nowicyatów, aby starszemu dać majętności i utrzymać jego znaczenie, trzymano się za ręce. W wielkich wypadkach, zwykle kilka razy do roku, do głowy rodu zjeżdżała się familia cała, na radę, po rozkazy. Słano młodzież do upatrzonych dziedziczek, pannom starano się o mężów dla przymierza i wpływu potrzebnych, łączono się do spraw wspólnych, pilnowano u dworu, a stojący u stéru odbiérał raporta o wszystkiém co się tyczyło domu. W złym razie pomagali wszyscy, zdobytym wpływem dzieliła się rodzina.

Brak majoratów i ordynacyj, które u nas wyjątkowo tylko i z trudnością się utrzymywały, zmuszał rodziny do pamiętania o sobie i salwowania bytu swojego dobrowolnemi ofiary. A zaprawdę, patrząc jak instytucya majoratów oddziaływała wszędzie na zmuszenie młodszych, wydziedziczonych do pracy, do szukania chleba o własnéj sile, dziś niemal żałować przychodzi, iż dla sprawiedliwszego pozornie podziału własności, u nas się ich wyrzeczono. Ocaliłyby one wiele pamiątek, majętności, tradycyj, a w szeregi pracowników popchnęły młodzież wykształceńszą, zmuszając do szukania drogi, chleba i miejsca w społeczeństwie.

Że przeznaczenie do stanu duchownego najstarszego z synów, młodzieńca nadzwyczaj pięknéj i sympatycznéj powierzchowności, już od dzieciństwa dającego poznać zdolności niezwykłe, dowcip, pojętność, bystrość—nie było dziełem powołania ale rodzicielskiéj rachuby, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Chciano na głowie jednego skupić rozpadające się mienie domu, przywrócić mu dawną świetność. Do podniesienia go w znaczeniu i majątkowo, nikt

nad młodzieńca tak szczęśliwie obdarzonego zdolniejszym nie był. Z tych samych powodów później kilku młodych Krasickich obrało także stan duchowny, nie z powołania również, ale dla rodziny karyery i krescytywy. Na duchownego nie miał młody Ignacy Krasicki tych przymiotów, które tworzą apostołów, ascetów, filary kościoła, ale jako Senator duchowny Rzeczypospolitéj mógł się spodziéwać tego do czego doszedł, to jest, choćby najwyższéj Prymasowskiéj godności. Że to było gwiazdą przewodnią dla wchodzącego na drogę, dowodzić nie potrzebujemy.

Rozumna matka, przeciwko temu obyczajowi (o którym mówi Ks. Biskup w Podstolim) że panu Bogu ułomnych i krzywych na usługę oddawano, wybrała właśnie najzdolniejszego do duchownego stanu, do senatorskiego krzesła, które go minąć nie mogło. Spokojniejszego ducha, brat Antoni wyznaczony był na głowę rodziny i wiejskiego gospodarza. Jemu się miało dostać stare Dubieckie zamczysko.

Pisze Bartoszewicz (Encyklop.), iż w siedmiu lecieeh już młody Ignaś pobożne pieśni składał dla matki. Wiemy, iż nauki pierwiastkowo odbył w Collegium Jezuitów we Lwowie, zapewne nie bez pomocy prywatnych nauczycieli, bo znajomość obcych języków i władanie swobodne francuskim, wątpimy by (1) szkołom publicznym mógł zawdzięczać.

W r. 1750, na rok przed śmiercią ojca, młodziuchny, piętnastoletni Ks. Ignacy już będąc kanonikiem kijowskim (co musiał Załuskiemu zawdzięczać) d. 7 Stycznia mianowany był kanonikiem przemyślskim (2).

Po śmierci ojca, w r. 1751 przypadłéj, opiekować się młodzieńcem miał Ks. Biskup Kunicki, który był krewnym Krasickich (3). Rychło więc potém mógł się spodziéwać znaczniejszych promocyj, zawczasu dając się poznać z ambony jako kaznodzieja, a w towarzystwach lwowskich, krakowskich i warszawskich jako jeden z najmilszych i najdowcipniejszych ludzi—wszycy się nim zachwycali. Młody kanonik słynął już naówczas z łatwéj wymowy, i widzimy

(1) Razem z Ignacym chodzili do szkół bracia jego Antoni, przeznaczony na gospodarza i Karol późniéj kanonik Warmiński.

(2) Bartoszewicz mówi oprócz tego o najwcześniéj nadanéj Kanonii Poznańskiej przez Ks. Bisk. Czartoryskiego, o któréj zkąd inąd nie wiemy.

(3) Ks. Michał Kunicki, Biskup Arsynoeński Sufragan Krakowski, był bratem przyrodnim babki Ignacego. Jeździł on do Rzymu z oznajmieniem urzędowém o śmierci Augusta II. Zmarł w r. 1751.

go aż do r. 1766 wzywanego do kazań i przemówień przy różnych uroczystościach.

W Białéj w dzień Ś. Józefata, przy wielkim natłoku i zjeździe „*eruditissimo sermone*“ daje się słyszéć, mówi od Collegium Nobilium Pijarów uproszony przy katafalku Marszałkowéj Bielińskiéj itp. Jedna sobie uznanie wszystkich i wszystkim podobać umié.

Dar ten podobania się posiadał Krasicki w najwyższym stopniu, czarował nim i zyskiwał kogo chciał. Zobaczymy późniéj jak nim zachwycony był poważny Jan Śniadecki i jakie na nim uczynił wrażenie. W złośliwych pamfletach późniejszych przezywano go „Umizgalskim“ i nie sądzimy, ażeby epitet ten koniecznie miał oznaczać chęć podobania się płci pięknéj. Było w charakterze Krasickiego chciéć sobie zjednać miłość wszystkich, mało téż miał nieprzyjaciół a wielkie grono wielbicieli. Bardzo pięknéj twarzy, jak z młodego portretu jego widziéć można, rysów pełnych życia i intelligencyi, temperamentu żywego, pojęcia bystrego, galant, dowcipny, wymówny, pozyskiwał sobie łatwo ludzi. W tym rysie jego charakteru wielkie widzimy podobieństwo do Stanisława Augusta, ale ściślejsza analiza wskazuje téż różnice. Król chwilowo dawał się ogarnąć wrażeniom, wylewał się cały i łatwo mógł być ujętym przez każdego, choć najgorętsza sympatya jego nigdy nie ręczyła za jutro. Krasicki miłym był dla wszystkich, ale się nie poddawał nikomu i wewnętrzne jego przekonania o ludziach wcale się nie zmieniały. W królu była wrażliwość i słabość, w biskupie filozoficzna wyrozumiałość i pobłażanie.

Temi przymiotami zapewne młody Krasicki zjednać sobie musiał przychylność Biskupa Kijowskiego Załuskiego i obdarzony przez niego został koadjutorstwem Opactwa Wąchockiego. Oprócz tego w r. 1758 już w czasie pobytu zagranicą za prezentą Stanisława Augusta Poniatowskiego Starosty Przemyślskiego, Wodzicki Biskup Przemyślski dał mu probostwo przemyślskie (1).

Na wszystkie strony, jak widzimy, rodzina starała się otworzyć mu wrota do dalszych i wyższych stopni w hierarchii duchownéj, nie marząc jeszcze by znajomość ze Stolnikiem litewskim pchnęła od razu Proboszcza Przemyślskiego na księstwo Warmińskie, ode Lwowa do Heilsberga.

---

(1) Probostwo Przemyślskie wedle Bartoszewicza miał otrzymać po śmierci Stadnicklego Proboszcza Wojnickiego, kan. krak., nadane sobie przez Sierakowskiego, d. 24 Września 1758 r.

Młody Opat Wąchocki nie wyrzekł się, jak widać, przypadającego nań działu z dóbr ojczystych, z których dostał Lubowicze, Zumle w polesiu kijowskiém, z trzecią wsią i dopłatą od brata około czterech tysięcy złotych wynoszącą. Za wysoko jednak obliczają jego dochód ówczesny na 30.000 złotych. Majątki nań z działu przypadłe były najmniéj intratne, a w czasie pobytu zagranicą widzimy go ciągle w kłopotach pieniężnych, zmuszonego uciekać się o pomoc do brata.

W najpierwszym z listów jego do matki pisanych, jakie się nam dostały (1) z r. 1757 r. w Grudniu, widać już w dwudziestokilkoletnim kanoniku człowieka wyemancypowanego, zajętego sprawami domowemi i publicznemi bardzo żywo.

W liście nie brak nowin politycznych. Wspomnienie w nim o Stolniku litewskim Poniatowskim, posle do Moskwy, właśnie nazad rewokowanym, przekonywa że stosunki z nim nie były jeszcze zawiązane. „Feldmarszałek Apraxyn, pisze Krasicki, ma odebraną komendę, która dana jest jenerałowi Fermerowi (Apraxyna obwiniano o niedbałość). Wiadomości z Petersburga otrzymano zapewniające o czynném utrzymaniu aljansu z królem polskim przeciw Prusom.“

Kanonik, jak widzimy, już jest wtajemniczony w sprawy krajowe.

W parę lat późniéj Krasicki jest już w Rzymie.

Podróż ta z góry na lat parę obrachowana mogła też być pomysłem matki, troskliwéj o to, aby przyszły dygnitarz nabrał poloru zagranicą. Mógł też doradzać ją zmarły Biskup Kunicki, który Rzym znał i wpływ stosunków zawiązanych w Watykanie ocenić umiał. Wszyscy młodzi panowie kończyli wychowanie swe taką peregrynacyą, która w kraju nadawała powagę, a kto obcych państw i obyczajów nie znał, niełatwo zyskiwał posłuch między swymi.

W Rzymie też zawarte stosunki jeżeli wprost beneficjów nie dawały tak zwanym dawniéj „corteggianom“ wielce dopomódz mogły do ich pozyskania. Niezbędną była ta podróż dla przyszłego dostojnika kościoła, potrzebną dla człowieka, nie zbyteczną dla pisarza,

(1) Cytowaną przez nas korespondencyą, któréj do téj pracy użyliśmy, winniśmy nieźrównanéj uprzejmości Alek. hr. Krasickiego z Dubiecka, który po Biskupie nietylko jego rękopisma, ale cały dowcip i ujmujący charakter odziedziczył. Składamy mu najserdeczniejsze dzięki za jego uczynność.

choć w tych czasach w żadnym z listów swych Krasicki nie zdradza najmniejszéj chętki do pióra i autorstwa.

W liście z r. 1760 (Maj) pisanym z Rzymu do brata Antoniego, kapitana wojsk polskich, powtarza Krasicki, że nad lat dwa bawić nie zamyśla i że wracając zamierza podróż na Paryż obrócić. Powietrze włoskie niebardzo mu służyło.

Nie zbywało na pieniężnych kłopotach. Na expedycyą koadiutoryi Opactwa Wąchockiego, o któréj wspomnieliśmy, potrzeba było dwieście czerwonych złotych, a w ogóle najmniéj trzysta, o te prosił brata, aby w sekrecie dług dlań zaciągnąwszy, przesłał mu je co najrychléj przez Ks. Orłowskiego, asystenta polskiego do Rzymu.

Z listu widać przyjazne stosunki z Wojewodą Kijowskim Franc. Salezym Potockim, królikiem Rusi, Krasicki na niego rachował.

W tym roku właśnie brat Antoni ożenił się z panną Różą Charczewską, Kasztelanką Słońską, czego mu Opat winszował. Pisze żartobliwie do niego:

„Niech mi Jejmość będzie zdrowa a skrzętna i gospodarna, to ją moją gospodynią za czasem mogę zrobić i tak idąc po stopniach może i Wąchockiego piwa zakosztuje. Kucharza dobrego przyjąć, żeby Jejmość smacznie jadła, wygody jéj wszystkie były. Kawę dobrą kazać gotować, bo to damy lubią. O kawiarce téż pomyśleć żeby była nie koczkodan. Kareta niech lekko nosi dla wygody przyszłych synowców i synowic. Zabawki dla Jejmości wymyślać żeby nie tęskniła. W czasie prezentować Imci żeby się z swojemi poznawała i z niemi cieszyła. Ja tu pokupuję dla Imci fraszek białogłowskich, kwiatów, bukietów. Niech napisze czego chce i wiele. Jeśli macie skrzypka w domu, tém lepiéj kiedy państwo nie stare, na końcu téż o mnie pamiętać i mnie kochać.“

Daléj w poufnym tym liście do brata, w pół żartem, pół seryo kreśli podział pracy w familii, która cała myśléć powinna i starać się o utrzymanie *domu* świetności, jakeśmy to wyżéj określili.

„Najpewniejszego chwytać się trzeba, pisze, tak jednak, żeby też nie zakopywać się zupełnie. Nadto byłoby dla nas, gdybyśmy obydwa exponować się na dworszczyznę mieli. A tak dobry będzie podział, gdy W. Pan za ekonomikę pieniędzy przysposobisz, ja—szarletaństwem damskiém, o promocyi myśléć będę, i choć się jedna z dwóch dróg uda, może *dom* uszczęśliwić. Jedną zaś idąc może nic nie zyskawszy wielebyśmy stracili.“

Myśl ta *o domu* i *rodzinie* nigdy potém Biskupa nie opuszczała, starał się nawet dla najdalszych krewnych i powinowatych być po-

żytecznym. Tymczasem brat Antoni potrzebne na miejscu utrzymywał stosunki, o których wzmiankę w listach znajdujemy, z Wojewodą Kijowskim, z Antonim Starzeńskim Podstolim Sanockim, który z siostrą Krasickiego Brygitą był żonaty, z Wacławem Duninem Wąsowiczem, Starostą Kislackim (żonatym ze Starzechowską) z ks. Michałem Witosławskim proboszczem Dubieckim, (który zmarł 1769 r. jako Sufragan Przemyślski Biskup Belineński) itp.

Przykrzył się już pobyt w Rzymie, i w Lipcu (6) nalegał na brata o przysłanie pieniędzy, by mógł wyjechać. „Nie tak, żeby mi się tu znudzić miało, jako pragnąc *patrios salutare paenates.*

W Październiku wyrywał się już koniecznie do Polski, domagając sukursu na podróż i na gościńce. Nie wiadomo kto, może pan Starosta Kiślacki zażądał dziwacznéj rzeczy, aby z Włoch psy przywiózł, na co odpowiada: „Piesków ztąd wywozić trudno, gdyż mało pięknych a drogie bardzo i w podróży nieskończona z nich niewygoda. Za czém tego rodzaju gościńców, lub nie lub mało wywiozę, bez tego sam *niebardzo* jestem myśliwy.“

Trochę nim jednak był przyszły Biskup i, choć sam za strzelbę nie bierał, czasu polowania chętnie się mu w lesie przysłuchiwał i przypatrywał.

W tym tonie ciągną się i daléj listy Rzymskie, wesołe zawsze, choć pod nią tęsknota za domem zawsze się czuć daje mocno. O zajęciach swoich w Rzymie, o kraju, ludziach, stosunkach w nich cicho. Człowiek ten wesół, serdeczny, otwarty na pozór, z wydaniem najskrytszych swych myśli jest wielce oględnym. O pracach swych, o zajęciach, o tém jak czas spędzał nie mówi wcale.

Widać tylko, że na dni kilka (11 Lipca) wyjeżdżał gdzieś z Rzymu, nie pisze dokąd.

W témże piśmie cieszy się z wesela brata i dziękuje mu za opisanie jego: „Proszę kontynuować te miłe do mnie odezwy, ile mi tu są z nieskończoną satysfakcyą, jako oddalonemu.

Wyrazić W. Panu trudno, co to jest oddalenie od kraju swojego, i mimo wszelkie tych krajów pieszczoty, których u nas nie masz, *milszy polski niedostatek niż włoska obfitość.*“

Do bratowéj przypisek. „Niech szczęśliwie płodzi, a ja będę chrzcił, i tak oboje będziemy do usług W. Pana.“

W mnóstwie listów z téj epoki kończącego się panowania Augusta III, które mieliśmy w ręku, Krasickiego są jedyne może pisane czysto po polsku, bez francuskich dodatków i z pewném o styl staraniem. Wyróżnia to je i jest uderzającém tembardziéj, że Biskup, jak wiemy, pięknie i łatwo mówił po francusku.

Kończy się list zaleceniem, aby go przypomniano w Krystynopolu, gdyż wówczas jeszcze wiele rachowano na stosunki z Potockimi.

Powrót do kraju i dla tęsknoty, która go trapiła i z powodu odebranego listu i wezwania „od mojego księcia“ Józefa Załuskiego, Biskupa Kijowskiego, Opata Wąchockiego (przy którym był koadjutorem)—stawał się koniecznością.

Biskup żądał powrotu śpiesznego, „Biskup każe mi jak najprędzéj rozłączać są z tym najprzewielebniejszym Rzymem. Nie wiem jeśli który rozkaz w świecie lepiéj przyjęty był i punktualniéj wypełniony będzie.“

Biskup Załuski polecał wyjechać w Październiku, Krasicki rad by był wyruszyć we Wrześniu, a około Bożego Narodzenia być już w domu. Ale szło o pieniądze, o pieniądze, których przesyłka z kraju, przy ówczesnych stosunkach nie łatwą była.

„Ale że i w filozofii, pisze, po kwestyi: *Cur*, *quomodo*, *quando*, przykładają, *quibus auxilis*, piszę do W. Pana Dobr., prosząc o sposób ruszenia się z miejsca.“ Długu nie chciał robić, a subsidja nie przychodziły. Nowy list wyprawił przez ks. Orłowskiego pijara, tym czasem dla familii odpusty wyrabiał w Rzymie (Dla stryjenki Teressy z Drohojowskich, żony Jaska na Koszarach i Boratynie Krasickiéj). Z domowych wiadomości cieszył się znów powtórnem zamęźciem siostry Brygity, która wyszła za Antoniego Morskiego Kasztelana Lwowskiego.

Napróżno wołając o wyzwolenie, w Sierpniu jeszcze (16), gdyż koniecznie chciał zdążyć na Trzy Króle na kapitułę do Przemyśla, siedział przykuty ruszyć nie mogąc.

„Rok w Rzymie żyć samą industryą, na mnie dosyć“ dodaje nagląc aby pieniądze przez Teppera wysłano. Był już zmuszony z powodu Wąchockiéj expedycyi dwieście czerwonych złotych zaciągnąć. Męczyło go to widocznie.

Mimo ciągłego wybiérania się rok ten 1760 miał skończyć w Rzymie i dopiéro w Styczniu lub Lutym na pewno się powrócić spodziéwał (List 25 Paźdz. 1760).

W tym czasie odbył wycieczkę do Neapolu, o któréj tyle tylko wzmiankuje, że mu się tam „dosyć dobrze zabawić przyszło.“

W Listopadzie widział (2 Listop. 1760), iż rezydencya mimowoli miała się przeciągnąć do Marca.

Naglił ciągle brata Antoniego o pieniądze, które z funduszów Prikuckich (zapewne z dóbr na niego przypadłych) miał zwrócić.

Ale doczekał w Rzymie i roku 1761: Marca (28) „siódmy list porzucając na los poczty“ a nagląc jeszcze o wyzwolenie.

W tym też roku powrócił do kraju, a w 1762 już go znajdujemy w Warszawie.

Nietylko listy poufne pisane z Rzymu, ale pisma Krasickiego przerzucając i szukając w nich śladów wrażeń, jakie na nim stolica świata uczyniła, znajdujemy ich bardzo mało. Ze wszystkiego widać, że pobyt nie był dlań przyjemnym i wspomnień po sobie miłych nie zostawił.

W jednym tylko późniejszym znacznie liście do G. K.—nieco obszerniéj mówi o Rzymie:

„Przez czas bytności mojéj w Rzymie najulubieńszą przechadzką moją było to miejsce, które teraz zowią polem krów, a było Forum Romanum. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię śladami Katonów upoważnioną. Zdawało mi się widziéć ową mównicę na Rostrach, z których dawały się słyszéć Gracchy, Hortensjusze, Cycerony. Posiadających plac owéj świątnicy Jowisza Kapitolińskiego Bernardynów, rozżarzona imaginacya stawiła mi Augurami. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypominała mi sławną karę winowajców i gęsi nawet zdawały się być płodem owych, które krzykiem swoim Gallów odegnały. Zgoła każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl gdy czuła, w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza.“

To były wrażenia starego Rzymu, o nowym, o współczesnym zupełne milczenie.

W r. 1762 odbywał się Sejm ten w Warszawie, w czasie którego nieprzyjaciele ministra Brühla, na synu jego generale artyleryi pomścić chcieli za wakanse, które Czartoryskich ominęły. Wystąpił przeciwko młodemu Brühlowi, między innemi Stolnik litewski Poniatowski i w izbie poselskiéj o mało do krwi rozlewu nie przyszło.

Krasicki w czasie tych burzliwych zajść znajdował się w Warszawie, prawdopodobnie jestto chwila poznania się i zbliżenia do Stolnika litewskiego, lecz z listów do matki wyrozumiéć nie można, z kim trzymał i w jakich się kołach obracał.

W roku tym, 7 Października pisze do matki. „Sejm niezmiernie liczny, dla partykularnych domów zawziętości rozszedł się, i dziś były Marszałek staréj laski posłów pożegnał. Co najgorsza, do niesłychanego przyszło przypadku, iż w izbie poselskiéj do szabel się porwano“ tegoż samego dnia, pisze do brata: „Bądź zdrów, wyrywa mi się pióro, gala urodzin królewskich i opera. Sejm zerwany i nieszczęśliw e intrygi.“

W innym liście do matki, pisanym już w Listopadzie (23) powtarza, że „intrygi te warszawskie“ zatrzymywały go w stolicy. O Stolniku litewskim, do którego niewątpliwie zbliżyć się musiał, nie wspomina. Mylą się ci, co utrzymują, że z Poniatowskim spotkał się Krasicki czasu pobytu zagranicą, jestto niepodobieństwem. Zeszli się po raz zapewne pierwszy w Warszawie, czasu Sejmu 1762 r.

W następnym roku, Krasicki czynnym był bardzo. Z przypisku do jednego listu jego do brata, widzimy jeszcze ścisłe stosunki z Wojewodą Kijowskim, zatém i z Brühlem i ze dworem, a ze stronnictwem Poniatowskim i Czartoryskim przeciwnym.

Na Św. Franciszek, Krasicki był na nabożeństwie w Kazimierzu a u księcia Miecznika w Jarowcu na imieninach, zapewne Franciszka brata jego, Chorążego W. Koronnego.

Na ten czas przypada zapewne i pobyt w Kielcach u Biskupa Sołtyka, którego pański tryb życia, dwór, ogrody, teatr, zabawy, odbijają się w późniéjszém życiu na zamku Heilsbergskim. Bawił tu młody kanonik czas jakiś i znowu piękną swą wymową miał zręczność pozyskać sobie aplauz, przemawiając w czasie urodzin marszałka Mniszcha (1).

W tym roku był i w Goraju, zkąd jeden list do brata jest datowany.

W rok potém, 1763 r. 13 Paźdz. list wysyła z Błonia.

„Za wszystkie nowiny ta stanie, która jest najnieszczęśliwsza dla naszéj ojczyzny—król umarł. Piątego dnia Oktobra w Dreznie o drugiéj z południa. Apopleksyą tknięty godziny nie doczekał, mimo wszelkie, które tylko lekarze wymyślać mogli sposoby. Trybunał na tém się rozszedł, że nic tam po ramieniu, gdzie głowy nie masz. Nowina zaś w wigilją reassumpcyi przyszła. Nie masz się jeszcze czego bać w tych czasach, ile że zwyczajnie aż w czasie Sejmików, konwokacyi rozruchy się wszczynać zwykły. Dziś na noc staniemy w Warszawie, gdzie jest książę Prymas i rady zgromadzających się Senatorów zaczną.“

W Grudniu przesyła Krasicki z Warszawy list zupełnie niezrozumiały, który zapewne przez okienka tylko mógł być czytany, a przeznaczony był prawdopodobnie dla Wojewody Kijowskiego? Dajemy go tu jak jest, nie siląc się na odgadnięcie co zawierał. Obawiano się widać pisać inaczéj, aby treść profanów nie doszła:

Brzmi on.

(1) Bartoszewicz.

(D. 7 Grudnia 1763 r.)

„Najjaśniejszy miłościwy królu! Panie! a panie miłościwy?

W. Pan masz mi wdzięczność, ja zaś Wmci i to dwie wdzięczności.

Że konfederacya pańska beczkom sługi zaszkodzi; bardzo go to obchodzi.

Dziatki Boga prosić będą, ale im trzeba króla trzeźwego.

Najjaśniejsza pani kiedy się rozpruszy? Delphinem czy Infantką?

Że chorowali to źle, że zdrowi, to dobrze. Milsze dobro gdy po złém.

Król pracowity ma być? a roskosznie, słudze czas by wytchnąć, a w pracy. (Tu odcięto dwa wiersze).

Umarł Referendarz, bo człowiek. Dał administracyą Podskarbi, bo mógł—Kasztelanowi Przemyślskiemu, bo chciał.

Panu do sługi pisać, nie dąsa... a poczta jest do Warszawy.

Monarchowie im bardziéj łaskawi, tym dwu letniéj znają się na sobie.

Poddani ośmielając się otwierać monarchom oczy, bardziéj są obywatelami ojczyzny niż poddanemi królów.

Odrzuciwszy na bok charakter, starszeństwo, i to co myślę ścielę mnie pod stopy pańskie, to jest adoruję fortunę.“

Tajemnicza ta korespondencya, w któréj między okienkami przegląda we wstawkach dowcip, wątpię by komu całkowicie zrozumiałą być mogła.

Zbliża się rok 1764, listów nie wiele, a w tych co są nie wypowiada się ostrożny kanonik z niczém. Pisze o rzeczach obojętnych, nie rad dotyka polityki i stosunków. Pomiędzy listami z Rzymu, a temi które teraz posyła, różnica stylu, obrotów, języka wielka i uderzająca. Znać tu już i czuć przyszłego pisarza, który szuka i dobiéra wyrazów, układa je, myśl swą jak najładniej stara się ubrać do ludzi.

Tak naprzyklad, dowiedziawszy się o urodzeniu synowca Jana (1), bratu winszuje i życzenia przesyła:

„Przyrodzenie zdarzyło cię człowiekiem, hazard Krasickim, szczęście polakiem, łaska Boska katolikiem. Piastuj zatém, ale ostrożnie te przymioty, ażebyś w współkowaniu pamiętał żeś człowiek, w przystojności podściwego życia pokazał się Krasickim, w miłości oj-

(1) Jan Major W. Pols. zmarły w Styczniu 1831, mając lat 67, ozdobiony krzyżem Virtuti.

czyzny Polakiem, w całém życiu skutkiem nie powierzchownością, katolikiem prawowiernym. Jeżeli pójdzie temi drogami, współbliźnich wesprze, *dom* swój przyozdobi, ojczyznę zachowa i siebie uszczęśliwi. A możeż być co pożądańszego? Mówmy wszyscy: Daj to Boże, Amen. Bodajeśmy to w dobrą godzinę wymówili, a to dziecię rosło nam na pociechę.“

Życzenie było w dobrą wyrzeczone godzinę i ziściło się szczęśliwie. (Na rok ten przypada nominacya kustoszem lwowskim). Stosunki młodego kanonika z przyszłym królem, naówczas Stolnikiem Poniatowskim, gdzie i jak się po raz pierwszy zawiązały, pozostało tajemnicą. Jakeśmy napomknęli wyżej, Krasicki przez dawne familijne stosunki i związki *domu* bliżéj stał królika Rusi, Brühlów, dworu, niż Czartoryskich i Poniatowskiego.

Zbliżyć musiało nadewszystko dwóch młodych podobieństwo charakterów, osobista sympatya, mniéj więcéj jedne na świat poglądy i idee. Powróciwszy z Rzymu i Paryża, młody Krasicki niósł z sobą też same pragnienia reform, ogłady, które Poniatowski w sercu nosił. Potrzebował przyszły król ludzi, pomocników, przyjaciół, coby z nim szli razem, podpiérali go i posiłkowali. Zdolności Krasickiego czyniły go dlań narzędziem nieoszacowaném. Świetny dowcip ze wszystkich przymiotów pewnie największe na stolniku uczynił wrażenie. Byłoto za panowania Voltaire'a, a ktoś co się polskim Voltaire'm być obiecywał, musiał być pochwyconym i ujętym. W epoce téj jaką u nas był w. XVIII, w chwili, któréj zadaniem było wedle wyrażenia Poniatowskiego, aby kraj z barbarzyństwa wyprowadzić, oczyścić go ze rdzy i pleśni, poobcinać poły kontuszom, fryzowanemi perukami zastąpić wygolone głowy, szable zamienić na szpady a buty na trzewiki i rubaszność dosadną na elegancką dworszczyznę—bronią jedyną jaka się do téj wojny użyć dawała, do walki z tém co przesądami zwano—mógł być tylko dowcip.

Rola to dla niego była właściwa, świéżo tego dowiódł ów wielki mistrz, który dokonał dowcipem i śmiechem czego najmędrzejsi nie potrafili filozofowie.

Polskiego Voltaira czuł Poniatowski w Krasickim, o ile fiolety być nim dozwalały.

Miał nadzieję przyszły król, że przywiązując go do siebie węzłami wdzięczności i przyjaźni pociągnie z sobą na krucyatę przeciw ciemnocie, zabobonowi, zacofaniu i starym obyczajom, któremi się brzydził.

Zadanie jakie sobie stolnik zakreślał, niejasno musiało się w jego umyśle przedstawiać.

Co do kontuszów, peruki, butów i szpady nie było wątpliwości, ale gdzie się kończył głupi przesąd a rozpoczynała tradycya szanowna, gdzie barbarzyństwo graniczyło ze czci godnym obyczajem narodowym—z tego sobie nie zdawano sprawy.

Poniatowski, który później w bibliotece swéj wystawił posąg Voltairowi z nader dziecinnym podpisem, nie myślał iść za wielbionym mistrzem zbyt daleko, kraj katolicki nie pozwalał na to, ale gdzie się trzeba było zatrzymać?

Zdawało się reformatorom przyszłym, że dużo poobcinawszy, coś dodawszy, trochę zostawiwszy, ze starego i nowego stworzy się coś, co będzie mogło żyć i żywić. Nie zastanawiano się nad nieubłaganą logiką reformy każdéj, która granic znać nie chce, obala co napadnie, aby plac oczyścić na nową budowę. Nie spodziéwał się też Poniatowski w pierwszych leciech znaleść tak żywego oporu w ludziach i wypadkach.

Stosunki przyjazne, które już w roku 1763 łączyły przyszłego króla z Krasickim, musiały być powszechnie znane, gdy Matusewicz w pamiętnikach (zwąc Krasickiego nie wiem dlaczego proboszczem Krakowskim) pisze, iż mając na sercu, aby w pacta conventa królowi przyszłemu włożono warunek, nie brania żony tylko katoliczki, uznał pomodliwszy się wprzód na tę intencyą, za słuszne, udać się z tém do niego.

...„Oddawszy się panu Bogu, poszedłem do ks. Krasickiego, *faworyta przyszłego króla*, a na mnie łaskawego i mówiłem mu, że i przez skrupuł i przez wierność moją dla przyszłego króla, przyszedłem przestrzedz, że to bardzo oddali afekt Polaków od króla, jeżeli nie będzie *in pactis conventis* dołożono, aby przyszła królowa była czy z urodzenia, czy z wokacyi rzymska katoliczka—przyznałem się téż ks. Krasickiemu, że tę remonstracyą z wielką bojaźnią czynię. Pochwalił mi ks. Krasicki tę remonstracyą, ubezpieczył mnie, abym się nie bał i upewnił, że to w paktach konwentach poprawiono będzie.“

Był więc już naówczas ks. Krasicki jawnym i znanym wybrańcem króla, i gdy nadeszła chwila koronacyi r 1764, dnia 25 Listopada, jemu król zlecił przemówienie do siebie.

Przy téj uroczystości występował téż Krasicki z deputacyą od kościoła Ś. Krzyża, zapraszającą króla, wspólnie z innemi Biskupami i duchownymi, i przy ubieraniu króla podawał koronacyjne trzewiki.

Kazanie koronacyjne z textu: „Wziął Samuel naczynie oleju i namaścił Dawida w pośrodku braci jego“, drukowane w Dyaryuszu, wyszło powtórnie z innemi późniejszemi w dodatkowych tomach Dmochowskiego. Przemówienie to „o poszanowaniu władzy

królewskiéj“ nie nosi na sobie piętna wyższéj kaznodziejskiéj zdolności, nawet w porównaniu do innych kazań Krasickiego homiletycznych słabém się wydaje.

Korespondencya Krasickiego z rodziną rzadszą się staje w tych latach; przypisać to należy zajęciom jego publicznym. Na sejmie koronacyjnym postanowiony był rozdział Trybunału Koronnego na dwa, Wielkopolski i Małopolski. Deputatem ze Lwowa od kapituły miał być Krasicki, bo go król chciał mieć prezesem. Na to potrzeba było najprzód w kapitule zasiąść, a że wakansu nie było, Jezierski Biskup Bakoński złożył swą prelaturę, aby Krasickiemu miejsca ustąpić, który prałatem kustoszem i deputatem od kapituły został wybrany.

Za staraniem króla prezesem go wybrano i Krasicki wystąpił po raz pierwszy na świetnym trybunale w Lublinie, wysokie to zajmując stanowisko. Tu niewątpliwie przypatrzéć się musiał zblizka pieniactwu, trybunalskim intrygom i obyczajom, które z taką trafnością w Doświadczyńskim odmalował. Wrażenie tego pobytu w Lublinie i Lwowie odbija się póżniéj i w Podstolim i w Pieniaczu. Czasu trybunału spotkał się kanonik z przyjacielem młodości i pokrewnym sobie Ignacym Cetnerem, człowiekiem dziwnéj dobroci serca, z którym do zgonu stosunki ścisłe zachował, Cetner bowiem był deputatem.

Do Kwietnia 1765 Trybunał się sądził w Lublinie, a od przewodów do wilii Ś. Tomasza we Lwowie, gdzie Krasicki był na własnym gruncie, wśród swoich.

W tymże roku zjeżdżał Krasicki do Berdyczowa na koronacyą cudownego obrazu Matki Boskiéj, gdzie miał kazanie, drukowane w wydanym opisie téj uroczystości przez ks. Grzegorza od Św. Ducha.

Literackie téż prace nie musiały być zaniedbane, gdyż w roku 1766 ukazuje się Monitor, który ma zawierać pierwsze Krasickiego drukowane prace.

Oprócz Krasickiego, współpracownikami jego byli: Albertrandi, Bohomolec i Minasowicz.

Jeśli się nie mylimy, znajdą się z Monitora urywki w wydaniu Dmochowskiego w zbiorze „Uwag“. W nich jeszcze występując jako moralista, Krasicki, broni sobie najwłaściwszéj, dowcipu użyć nie śmie, nie jest jeszcze sobą.

W Maju (15) pisze do matki, donosząc, że: „okoliczności festynu królewskiego (Ś. Stanisława) były przyczyną wielkiego zjazdu,

tak dalece, że w sam dzień, czterdziestu kilku Senatorów przytomnych rachowaliśmy, którzy order Ś. Stanisława odebrali".

Posłał przytém na pamiątkę pierwszy odbity talar królewski. Byłto ostatni list do matki, która pierwszych dni Czerwca (7) życie skończyła. Dowiedziawszy się o tém, pisze kanonik do brata: „Po takiém życiu jakie wiodła bardziéj się podobno do niéj niż za nią modlić należy."

Interesa własne, brata, rodziny zaprzątały go wielce, po śmierci matki więcéj niż przedtém, lecz zjechać na miejsce dla urządzenia ich nie mógł, tak przy królu był zajęty.

Brat Antoni wybiérał się posłować na sejm przyszły z Sanockiego (co się późniéj zmieniło, bo był wybranym z przemyślskiego).

Dnia 3 Września słał mu kanonik już jako posłowi rady i powinszowania. Radził się go też p. Antoni o jezuitę francuza, którego chciał wziąć do dzieci, na co odpowiada: „Byleby tylko skrupułami żonie WPana i może jemu głowy nie zawrócił, nie źle by było trzymać w domu dla edukacyi dzieci i ćwiczenia się w języku francuskim."

Brata najmłodszego Karola, który późniéj był Archiprezbyterem Heilsbergskim i kanonikiem Warmińskim, wysłano naówczas do Rzymu. Wyposażano poczciwie stare sługi matki.

W tymże czasie (1766) król, pragnąc Krasickiego niezależnym uczynić i przywiązać go do siebie, korzystał z przybycia do Warszawy staruszka Biskupa Warmińskiego, Stanisława Grabowskiego, aby koadjutoria cum futura successione dla swego ulubieńca pozyskać. Warmińskie biskupstwo, stolica Dantyszków i Hozyuszów, było naówczas jedném z najlepiéj wyposażonych w Polsce, przynosiło pono do 400.000 złł. dochodu, senatorskie krzesło i tytuł książęcy, więcéj niż młody Krasicki, przy pierwszym kroku na świat, mógł się spodziéwać.

Lecz królowi był nietylko ukochanym, był mu potrzebnym, rachowano nań wiele w przyszłości. Piórem, słowem, wpływem, jako pisarz, dyplomata, jako człowiek niewypowiedzianie zręczny i miły, był dla króla nieocenionym sprzymierzeńcem. Był on już ulubieńcem tego grona familii i poufałych przyjaciół i przyjaciółek, które młodego króla otaczało.

Obyczajem francuskim owych czasów, dano mu nawet pieszczone nazwisko *Minet'a*, pod którém znali go wtajemniczeni.

Zapewne z téj epoki być musi owa złośliwa karykatura, która po Warszawie obiegała, wystawująca Krasickiego celebrującego mszę przy ołtarzu i służące mu do niéj piękne panie w robronach.

Tego ulubieńca króla i płci pięknej za koadjutora narzucić staremu, surowemu, dawnego autoramentu pasterzowi nie było łatwo nawet samemu królowi; tém bardziéj, że zręczny, zabiegły, chytry, umiejący się ułożyć i przypochlebić Młodziejowski także się o to starał.

Krasicki prezydował jeszcze Trybunałowi, gdy król pierwsze uczynił starania, na które Grabowski niełatwo, ani chętnie odpowiedział przyrzeczeniem.

Odmalowano mu widać następcę zbyt płochym i światowym. Biskup miał skrupuły. Ale król nalegał i w końcu uledz mu było potrzeba.

Młodziejowski też zapewne, nie chcąc się królowi narażać, cofnąć się musiał.

Oprócz tego potrzeba było na jeneralném zgromadzeniu stanów ziem pruskich, wyrobić indigenat, o który się król postarał, nаostatek zjednać kapitułę, która przybyszowi obcemu przychylną być nie mogła.

Król, mając w tém swe widoki, silnie popiérał Krasickiego. Po otrzymaniu indigenatu, skłoniono kanonika prałata kustosza ks. Ludwika Lodron, iż za pensyą dożywotnią 400 czerw. złotych zrzekł się kanonii dla Krasickiego. Król sam zalecał go kapitule i w tym celu, jadącemu do Frauenburga, dodał mu Szambelana Dębskiego, z listem do kapituły. Srożono się w początku, lecz gdy d. 16 Października poseł królewski przybył razem z kanonikiem, zmiękli jakoś członkowie kapituły.

Po zapowiedzianego legata króla, wysłano nazajutrz cztery karety poszóstne. Dębski z Krasickim przybyli naprzód do kościoła, potém w kapitule Szambelan mowę łacińską, list pański oddając, powiedział i po krótkim namyśle, kapituła jednomyślnie młodego kandydata koadjutorem wybrała. Po czém, gdy go bliżéj poznano, nastąpiły serdeczne przyjęcia i przez trzy dni spełniano vivaty za zdrowie króla i przyszłego pasterza.

Ztąd udał się koadiutor do Heilsberga, do sędziwego Biskupa, który go znowu przy dźwięku trąb, kotłów, dzwonów i huku dział uroczyście przyjmował.

Przez cały tydzień pozostał przy nim Krasicki, a to pewnie starczyło na pozyskanie sobie jego serca. D. 23 Października byli już napowrót w drodze do Warszawy. Król, jak widać z korespondencyj współczesnych, dyplomatyczną karyerę gotował przyszłemu Bisk. Warmińskiemu. Miał on towarzyszyć Franciszkowi Rzewuskiemu posłowi do Petersburga, bez żadnego charakteru urzędowego, dla obeznania się ze stosunkami miejscowemi. Mówiono o tém jako o

wstępnym szczeblu do pieczęci. Zachodziły jednak trudności jakieś, które planu królewskiego urzeczywistnienie wstrzymały.

Koadjutor wracał pośpiesznie z Heilsberga, aby czasu sejmu być pomocą królowi.

W Październiku 1766 r., w chwili gdy się sejm miał rozpocząć, który króla zajmował mocno, pisał do przyjaciółki swéj, sławnéj pani Geoffrin (d. 5 Paźdz.) „Jutro się sejm zaczyna, piszę do was list ten z pożegnaniem. Przez tych sześć tygodni niepodobieństwem mi będzie do niéj pisywać. *Minet* od czasu do czasu pisać będzie.“

Na co (22 t. m.) odpowiada pani Geoffrin: „W. Król Mość nie zapomni rozkazać Minetowi, aby do mnie czasem pisywał.“ W Grudniu król powtarza (d. 10) i zapewnia: „Minet z mojego rozkazu pisać będzie do was w czasie sejmu.“

Na nieszczęście korespondencya ta w papiérach po pani Geoffrin zaginęła.

Właśnie w tym czasie Krasicki ważną wiadomość odebrał zWarmii i (d. 10 Grudnia) pisze do brata: „Odebrałem dnia onegdajszego przez umyślną sztafetę wiadomość z Warmii, że książę Biskup coraz słabszy, krótkiego życia czyni nadzieję. Muszę się zatém zawczasu przysposabiać na wszelkie przypadki, do czego pieniędzy trzeba.“

Co przewidywano to się stało, d. 15 Grudnia, zmarł w istocie Biskup Grabowski, a 24 t. m. Krasicki donosił bratu z Warszawy: „W przyszłą niedzielę będę konsekrowany u Theatynów (przy ulicy Długiéj) przez ks. Nuncyusza.“ Bulla Papieża Klemensa XIII na czas przybyła i d. 28 Grudnia Nuncyusz Visconti w asystencyi Biskupów, Kujawskiego, Ostrowskiego i Płockiego Szeptyckiego, konsekrował Warmińskiego Biskupa; przy wielkim natłoku przyjaciół jego i arystokracyi. Baryły z winem nieśli Wojewodowie Inowrocławski i Podlaski, chleby W. Marszałek Koronny Książe Lubomirski i Kanclerz Zamoyski. Na obiad, który dawał Nuncyusz, król jadący na polowanie do Kozienic wstąpił, aby nowo poświęconemu powinszować.

Ostatniego dnia roku odprawiono (Bisk. Załuski) żałobne nabożeństwo za duszę Bisk. Grabowskiego u Ś. Jana.

D. 2 Stycznia złożył Krasicki przysięgę senatorską na zamku i zasiadł krzesło na sejmie. Rok to był (1767) dla księcia Biskupa ciągłych podróży i wielkiego ruchu. Naprzód potrzeba było przedstawić się w Skierniewicach Prymasowi Łubieńskiemu, jako głowie kościoła Rzeczypospolitéj, w Lutym zaproszony został do Radzynia przez Jenerała artyleryi Eustachego Potockiego, który córkę wydawał za księcia Sanguszkę Star. Czerkaskiego. Tu przy ogromnym zjeździe familii i skolligowanych domów, zarazem obchodzono i uro-

dziny księcia Biskupa i nazajutrz wesele, po którém zaraz wyjechał Krasicki na Lubartów z powrotem do Warszawy, po drodze odwiedzając czcigodną matronę Barbarę z Duninów kżnę Sanguszkową.

D. 14 Lutego już poświęcał chorągwie kompanii Pontonierów w pałacu Rzeczypospolitéj, a wkrótce potém dawał ślub pannie Kunickiéj, wychodzącéj za adjutanta królewskiego Szwejkowskiego. On też w kaplicy zamkowéj głowy posypywał popiołem, on neofitów chrzcić musiał i nowych biskupów konsekrować, porywano go na wszystkie strony.

Po Wielkiéj nocy jednak wybiérał się do Warmii nareszcie „Myślę," pisze do brata, „wjazd mój do katedry w sam dzień Ś. Stanisława odprawić." Była to atencya dla króla, który podobnież koronować się chciał w dzień Ś. Katarzyny. Brat Antoni wybiérał się na wjazd uroczysty przybyć także do Heilsberga, na co Biskup odpowiada z Warszawy (d. 29 Marca).

„Jakom zaś dawniéj prosił, tak i teraz powtarzam, abyś WPan tylko chciał zjechać sam bez wszelkiéj zgrai. Gdyby był pan Rościszewski chciał przyjechać, przyjąłbym go z radością, ale wreszcie najlepiéj sam WPan przyjeżdżaj, wziąwszy z sobą Boznańskiego tylko. Wjazd mój cokolwiek się przewlecze, albowiem na galę królewską tu się zostać muszę, po któréj jednak nie bawiąc wyjeżdżam."

Z tegoż listu dowiadujemy się, że Krasicki stał przy królu na zamku, gdyż po pożarze przypadkowym, który się obszedł bez szkody, dla niego, oprócz drobnych rzeczy przy przenoszeniu, Krasicki się wyniósł.

„Że zaś skrzydło całe spaliło się, przeniosłem się do mego pałacu, dla téj przyczyny żebym drugim pogorzelcom moim apartamentem łagodził." Do tegoż listu (Marzec) przyłączał dla brata deklaracyą dworu rosyjskiego, świéżo podaną, jako i list Panina do Repnina „z których skryptów, dodaje uznać WPan potrafisz, jakich rzeczy pretendują."

D. 4 Kwietnia powtarza bratu: „Ztąd (Warszawy) ruszam się zapewne 9 Maja, nazajutrz po święcie królewskiém. Że zaś Senatus Consilium na dzień 25 miesiąca Maja jest naznaczone, więc tylko tydzień zabawiwszy w Heilsbergu, znowu do Warszawy."

Takie widać było wymaganie króla, który go chciał zaprządz do swéj polityki. Po Radzie Senatu miał pierwszych dni Czerwca wracać do swéj stolicy, ale nie dozwolono mu tam bawić tylko do sejmu. (Brata prosił, ażeby mu przywiózł z sobą ze cztery tysiące dukatów w złocie).

W istocie wyjazd w Maju nastąpił, lecz zobaczmy co o tém król donosi do swéj mamy, pani Geoffrin; już przewidując pono, że Krasicki dlań nie będzie tak posłuszném jak chciał narzędziem.

W pięć dni po złożeniu senatorskiéj przysięgi, pisze król (d. 7 Stycznia) „Minet jest Biskupem i pełnym Senatorem (en plein); stary jego (poprzednik) umarł w sam czas gdy bulle na koadjutoryą z Rzymu nadeszły. Jest dziś człowiekiem bogatym, a szczęściu jego publiczność aplauduje. Wiecie, że twarz ma piękną, twarz ta radość wyraża, a ja go uczyniłem szczęśliwym. Sądźcie czy mi na niego spoglądać miło.“

W miesiąc potém (d. 7 Luty) odpisuje p. Geoffrin „Wierzę bardzo, że Minet szczęśliwy być musi i piękniejszy niż kiedy. Bóg stwarzając ludzi wielu uczynił nieszczęśliwych, a wy, królu mój, dając mitrę Minetowi, zrobiłeś go szczęśliwszym niż sam jesteś.“

Na co król, zaraz po odjeździe Krasickiego odpowiada (d. 13 Maja) „Minet wczoraj pojechał jak szczur odbywać rekollekcye w sérze swoim. Bardzo się lękam, ażeby ten Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny, a który mi winien tyle, nie stał się próżniakiem (fainéant) niedbającym o nic i o nikogo tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. Przykro mi, że mam pewne poszlaki które zdają się to zwiastować.“

Temi mniemanemi poszlakami były wstręty Krasickiego do spraw publicznych, w których on stale wytrwał do końca, czując, że na inném polu skuteczniéj czynnym być może.

Pani Geoffrin, prawie zawsze myśl każdą króla potwierdzająca pobłażliwie, odpisuje na to w Czerwcu (d. 7). „W. Król. Mość piszesz mi o Minecie w sposób, któremu się wcale nie dziwię. Ja go w ciągu ośmiu dni widziałam już takim jakim go W. Kr. Mość dziś poznajesz. Gdyby moje portrety więcéj znalazły szczęścia u W. Kr. Mości byłabym odmalowała jego wizerunek, taki jakim go dziś W. Kr. Mość widzisz. Powiedziałam kiedyś o kobiécie bardzo miłéj, wielce dowcipnéj, mającéj w towarzystwie wiele wdzięku, ale niedbającéj wcale o nic i o nikogo, że była dochodem dożywotnim (rente viagère), który życie czyni wygodniejszém, ale kapitał od niego stracony. Powiedziałam to jéj w oczy, rozśmiała się z tego, znajdując porównanie bardzo ładném. Obojętność jéj aż tak daleko sięga, chociaż Minet'a mam téż za dochód dożywotni, nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek uchybił W. Król. Mości. Na pracę jego nie sądzę by wiele można rachować. Towarzystwo jego będzie W. Kr. M. zawsze bardzo przyjemném, i wiém nawet, że myślą jest jego, mieć bardzo dobry dom otwarty, którym W. Król. Mość rozporządzać będziesz.“

List ten z wielu względów ciekawy, dowiadujemy się z niego, że p. Geoffrin przez ośm dni Krasickiego widywała (gdzie? w powrocie z Włoch?); potwierdza on cośmy mówili, iż Biskup chciał służyć królowi swoim wpływem na społeczeństwo, swym domem, ale się od polityki usuwał.

W Lipcu (12) Pani Geoffrin donosi królowi: „odebrałam list od Mineta, z którego jestem bardzo kontenta. Minet ostrożny, słowa nie mówi w nim o sprawach teraźniejszych.“

Widzieliśmy to już z listów do brata, że Biskup w ogóle o rzeczach drażliwych rozpisywać się nie lubił.

Do kroniki tego roku tak czynnego, dodać trzeba, po konsekracyi (29 Marca) ks. Sosnowskiego na Sufragana Inflant (u Ś-go Krzyża); wycieczkę wielkanocną do Prymasa, razem z Młodziejowskim; d. 8 Maja obchód Ś. Stanisława w Warszawie, w Maju wyjazd do Warmii (d. 11) i powrót na Radę, która się d. 28 t. m. zamknęła.

Wkrótce potém, po nastąpionéj śmierci Prymasa (Czerwiec), Krasicki z Młodziejowskim i Załuski, zwłoki jego przeprowadzali do Łowicza. Na chwilę nie miał spoczynku.

Jak było postanowionėm, Krasicki w Czerwcu powrócił z Heilsberga, i widzimy go już w tym miesiącu pełniącym swe biskupie obowiązki. Zaproszony przez księżnę Barbarę z Duninów Sanguszkową Marszałkową W. L., koronował cudowny obraz w Miedniewicach. Miedniewice (powiat Mszczonowski) słynęły nim od r. 1675. Przy kościele osiedli późniéj reformaci, nową świątynię w r. 1755 poświęcał prymas Komorowski, a w r. 1767 d. 7 Czerwca, Krasicki za zezwoleniem z Rzymu, w asystencyi ks. Józefa Jędrzeja Załuskiego Biskupa Kijowskiego, włożył koronę.

Wnosić należy, iż przyjazna mu ks. Sunguszkowa sama go o to uprosiła.

Jestto ta sama pani do któréj Krasicki napisał wiersz:

Prababko, jednak miła, płci niewieściéj cudzie,
Racz powiedzieć zkąd takie powaby i wdzięki?
Urodziłaś się jednak tak jak inni ludzie—i t. d.

Kończy się ten wdzięczny wierszyk na pochwałę staruszki, świadcząc że umiała:

Ująć serca przykładem, wdziękiem oczy pieścić.

Pomiędzy Królem a Biskupem były nieporozumienia jakieś, wymagania z jednéj strony, opór z drugiéj. W Sierpniu pisał król (26) do przyjaciółki swéj: „Przypadek mi nastręczył zręczność powiedzieć kazanie (ale nie ostre) Minetowi. Zrobiło ono pewne wrażenie, bo się przekonał zarazem, że głos publiczny był *przeciwko niemu*?

Czém mógł Biskup zawinić? nie omylimy się, sądząc z późniejszego jego postępowania, iż szło o pewnego rodzaju indyferentyzm polityczny. Poniatowski żądał go widzieć czynniejszym w ówczesnych intrygach, a Krasicki się wzdragał, być bardzo może i dlatego, że go dawne stosunki z króla przeciwnikami łączyły, które pewne obowiązki wkładały. Dosyć tu wspomnieć Krystynopol i Wojewodę Kijowskiego. To tłómaczy wszystko.

Pani Geoffrin odpisuje królowi na to kazanie (14 Września): „Bardzo jestem rada, że W. Kr. Mość miałeś maleńką rozprawę z Minetem. Ma on wiele dowcipu i dowcip nader miły; kocha W. Kr. Mość i wié co jéj jest winien, ale czasem nie czuje tego dosyć mocno. Czynności naszych pobudką nie jest to co wiemy, ale to co czujem. Wadą Mineta jest, że nadto w sobie żyje (personnel), ale powtarzam to, kocha głęboko W. Kr. Mość. Wyrazy W. Kr. M. łagodne, ale nieco osolone, rozbudzą w nim uczucia i dadzą mu poznać jego winy."

O tém wszystkiém listy Biskupa milczą, stają się rzadsze, nie tykają prawie spraw publicznych. W Październiku krótko donosi: „(d. 8) Sejm lubo miał być zalimitowany wkrótce, podobno jednak dłużéj niż spodziéwamy się przewleczony będzie."

W Sejmie 1767 pod hasłem konfederacyi Radomskiéj, zasiadł Krasicki jako Senator, nie występując jednak czynnie. Było zwyczajem kapituły, że Biskupom na sejm jadącym ofiarowała *subsidium charitativum*, które się nazywało, podarkiem na karty. Otrzymał go i Krasicki, ale po książęcemu na swój dwór rozdzielił, bo w istocie więcéj o ludziach niż o sobie pamiętać lubił.

Rola, jaką odegrał Krasicki czasu tego sejmu, z trudnością się daje określić. Widzimy go na pozór bezczynnym i neutralnym, bo się do polityki mięszać nie lubił, król z niego niekontent, starzy formaliści trochę go mają za farmazona, choć świeżuteńko order Ś. Jana Jerozolimskiego otrzymał. Bartoszewicz powiada, że radził opór i zawieszenie sejmu, a Senatorów namawiał, aby się nie schodzili, co oni mieli przyrzec i nie dotrzymali. W końcu dodaje, iż z powodu tych rad dano mu rozkaz (?) opuszczenia sejmu i Warszawy, Dla nas widoczniejszém jest daleko, iż zgodnie z charakterem swym, zachowywał się biernie i umiarkowanie.

Złośliwe paskwile także, choć z przesadą, charakter ten jego podnoszą. W „Cnocie uciemiężonéj" rodzaju pamfletu dramatycznego, Krasicki nazwany „Umizgalskim," przedstawia się blado, jako starający się przypodobać wszystkim, a pamiętający tylko o sobie. Zdradził się autor téj ramoty, z nieznajomością stosunków, bo przypisuje

Krasickiemu zabiegi o biskupstwo Kujawskie po Ostrowskim, który chciał na Krakowskiém Sołtyka zastąpić. Tymczasem Kujawskie gorszém było i w hierarchii od Warmińskiego niżéj stało.

W innéj „Cenzurze polskich biskupów" o Krasickim pisze autor.

Biskup Warmiński, Gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów.
Czyli w téj, czyli w owéj wierze, żyć jest jedno,
Lepiéj zawsze w rozkoszy, niż tam kędy biedno.

Wyjechał w istocie Biskup z Warszawy, przyrzekając na N. Rok powrócić. W Listopadzie obchodził przy huku dział, Te Deum i wspaniałéj uczcie w Heilsbergu, rocznicę koronacyi.

W przejeździe przez Brunsbergę witali go jezuici (1).

W roku 1768 z powrotem przybył Krasicki do stolicy na czas dłuższy i w czasie konfederacyi Barskiéj mieszkał tu ciągle, zajmując dom Wasilewskiego, Rządcy Dworu Króla, na Krakowskiem-Przedmieściu (późniéj S. Orgelbranda).

Spełnił tu co przyrzekał pani Geoffrin, co miał wcześnie na myśli, urządził wspaniale dom, otworzył go, szczególniéj dla uczonych i literatów, dawał wieczory, na których król i mnóstwo osób bywało. Wpływ biskupich salonów na społeczność warszawską mógł i musiał być bardzo wielki, ale na tém ograniczyła się cała działalność Biskupa.

Późniejszy sposób życia Krasickiego dozwala wnosić, iż występował tu okazale i po pańsku. Pieniędzmi szafowano rozrzutnie, nieoględnie, tak że (powiada Bartoszewicz) często ich brakło, mimo ogromnych dochodów, a dwór i otoczenie Biskupa bogaciło się jego nieopatrznością. Na wieczory i wytworne wieczerze, schodziły się tłumy miejskich pasorzytów, których Biskup ostrygami karmić i burgundzkiém winem poić musiał. Gdy w jednym z salonów uczone i dowcipne wiodły się rozmowy, w drugich musiano zastawiać stoliki do gry, wedle ówczesnego zwyczaju. Krasicki sam nie grywał, ale rozrywkę tę, jak widzimy z Podstolego, tolerował.

Z kamienicy Wasilewskiego i tych wieczorów świetnych, rozchodziły się już pierwsze pisma Krasickiego, bajki jego i satyry, które chciwie rozchwytywano i przepisywano Poeta trafił w nich od-

(1) Clarissimo, Ill. Excell. ac Rev. D. Domino Ignatio Comiti a Krasiczyn Krasicki, cum Cathedram suam aditurus, urbem Brunsbergensem transiret, Collegium Bruns. S. I. 1767.

razu na formę dla siebie najwłaściwszą, bo w istocie bajki i satyry są pod względem artystycznym najbardziéj wykończone, najwyższéj wartości. Bajeczki te, króciuchne, pełne dowcipu, pisane tym językiem, który dla nich stworzył Krasicki, którego nikt po nim nie przejął, choć wielu naśladować go chciało, biegały po rękach, podawano je sobie z ust do ust. Wiele z nich do czasów i wypadków zastosowane, zawiérające alluzye do osób znanych, nabiérały przez to większéj jeszcze siły i ostrości, dla nas już dziś niezrozumiałéj. Pomimo to nie straciły i dziś na wdzięku.

W ciągu tych czterech lat pobytu w stolicy, Krasicki, chociaż jeszcze nie drukował pism swoich, popularność już niemi pozyskał. Znano je powszechnie. Towarzyski, miły, umiejący się podobać, łatwo do siebie przypuszczający ludzi, zajmując już stanowisko wybitne, podwójnie zyskiwał serca, talentem i uprzejmością. Otwarty dom pański, wiele się téż do wziętości księcia Biskupa przyczyniał. Kobiéty, które w ówczesném społeczeństwie tak wielką rolę odegrywać zaczynały, były wielkiemi młodego Biskupa wielbicielkami. Dowcipował z równą łatwością po francusku jak po polsku, a dowcip jego miał tę właściwość zawsze, że wszystkim się podobając, nigdy nie zadrasnął nikogo.

Z tych lat wiadomości, listy i ślady życia Krasickiego są bardzo szczupłe.

Stosunki z królem były zawsze naprężone bardzo; uskarżał się na Biskupa Poniatowski, z coraz większą goryczą. Widać, że polityczne ich zapatrywania się coraz bardziéj się rozchodziły.

Niezrozumiałém dla nas jest króciuchne wspomnienie w listach p. Geoffrin, że w r. 1769 (18 Września) „Biskup Warmiński przed trzema dniami wyjechał z Paryża“. O téj bytności zagranicą, która połączoną być by mogła z jakąś misyą polityczną, zkądinąd nic a nic nie wiemy.

W sercu króla żal ciągle się zwiększał. W r. 1771 (15 Września) pisze p. Geoffrin: „W. Kr. Mość, któréj trudno jest w zło uwierzyć, powątpiewasz o tém jakie mu wyrządził Biskup Warmiński. (Już go nie nazywają Minetem). Zaklinam W. Kr. Mość, abyś mi raczył powiedzieć o co chodzi. Interesa jego trudno będzie naprawić, ten co się o to pokusi, bardzo być zręcznym powinien, a Biskup musi się stać bardzo powolnym, aby dojść do tego.“

Widać, że na zaklęcie swéj przyjaciółki, król musiał odpowiedzieć, wyjawiając co miał przeciwko Krasickiemu, gdyż p. Geoffrin odpowiada z oburzeniem: „Niewdzięczność Biskupa Warmińskiego jest równie straszliwa (effroyable) jak Ogińskiego (Hetmana). Czém-

że to był wprzód ksiądz Krasicki? W. Kr. Mość pozwolisz mi sobie powiedziéć, że niewdzięczność jest przywarą bardzo w Polsce pospolitą, a w ogóle w całéj ludzkości. A co ją u was czyni powszechniejszą, to że W. Kr. Mość nie możesz raz wyświadczonych dobrodziejstw cofnąć, ani niewdzięcznych ukarać.“

Po za temi oskarżeniami stoi obojętne i oględne zachowanie się Biskupa czasu konfederacyi Barskiéj. Nie mamy dowodów, że dla niéj okazywał sympatye, lecz jawném jest, że przeciw całemu temu ruchowi, czynnie występować nie chciał.

(c. d. n.)

NOWE MYŚLI O WYCHOWANIU,

PODŁUG

OGÓLNYCH ZASAD PEDAGOGIKI

HERBERTA SPENCERA,

STREŚCIŁ

Adolf Dygasiński.

(*Dokończenie*).

II. Wykształcenie umysłowe.

Po usunięciu jednego błędu następuje zwykle przewaga błędu wprost przeciwnéj natury. Po czasach, których całém usiłowaniem było wychowanie człowieka fizyczne, nastał czas, gdzie troszczono się jedynie o ducha, gdzie trzechletnim dzieciom wkładano w rękę książki i zdobycie nauki uważano jako rzecz jedynie potrzebną. Nareszcie postęp oba te sporne między sobą błędy uznał jako dwie przeciwne strony jednéj prawdy, przez co nabrano przekonania, że zarówno dbać należy o ciało jak i o ducha, aby całości zapewnić właściwy rozwój. System forsowania został przez wielu zaniechany i poczęto się obawiać przedwczesnéj dojrzałości w dzieciach. Ludzie zaczynają pojmować, że pierwszym warunkiem życia jest być zdrowém stworzeniem. Najlepszy mózg okaże się nieużytecznym, jeśli mało ma krewkości życiowéj i nie może pracować.

Używające dawniéj wielkiego powodzenia uczenie się na pamięć dyskredytuje się z dnia na dzień coraz więcéj. Wszyscy potępiają dzisiaj stary mechaniczny sposób nauczania alfabetu, a niemniéj słynne w swoim czasie „raz jeden jest jeden" ustępuje miejsca eksperymentalnéj metodzie. W nauce języka plan szkół łacin-

skich wyparty zostaje przez inne plany, polegające na naturalnym procesie samodzielności, przejawiającym się u dziecka, gdy sobie ono przyswaja język ojczysty. System pamięciowego uczenia, podobnie jak inne systemy swojego czasu, cenił więcéj formy i symbole, aniżeli rzeczy przez nie przedstawione. Powtarzać dokładnie wyrazy, było wszystkiém, rozumiéć ich znaczenie—niczém, a tak poświęcono ducha literom.

Zauważano już dawno, że w tym razie, jako téż we wszystkich innych, podobny rezultat jest koniecznością,—że im większa baczność poświęcona jest symbolom, tém większa niebaczność dla rzeczy symbolizowanych.

Sciśle z pamięciowém nauczaniem połączone nauczanie z reguł chyli się również do upadku. Na to miejsce występuje nowa metoda, obznajmiająca ucznia najprzód z pojedyńczemi faktami, następnie zaś uogólniająca te fakta.

Podawać komuś rezultat badania a pozostawić go w nieświadomości dróg do tego rezultatu wiodących, jest rzecz niewdzięczna i bezpłodna; bo prawdy ogólne, jeśli mają przynieść korzyść należytą i trwałą, muszą być z faktów szczegółowych wydobyte. Przysłowie „jak przyszło, tak poszło“ da się zastosować zarówno do mienia jak i do wiedzy.

Z pomiędzy nowych metod, które powstały na ruinach starych, najważniejszą jest systematyczne wykształcenie obserwacyi. Po długich latach ciemnoty zaczynają ludzie przeglądać i poznawać, że samodzielność oraz rozbudzone władze obserwacyi mają w wychowaniu dzieci swoje znaczenie oraz wartość. To, co dawniéj uważano za czynność bezcelową, za igraszkę,—uznane dziś zostało za ważny proces przyswajania sobie wiedzy, na któréj wspiera się i osadza wszelka późniéj nabyta nauka; stąd mamy dobrze pomyślany, ale często źle wykonywany system poglądowego nauczania (object-lessons).

Bez dokładnéj znajomości widzialnych i dotykalnych przymiotów rzeczy wyobrażenia nasze muszą być błędne, wnioski mylne a badania bez rezultatów. Jeżeli wykształcenie zmysłów zostało zaniedbane, natenczas i całe późniejsze wychowanie będzie niedostateczne. Rozważając rzeczy bliżéj, przekonywamy się, iż w życiu wyczerpująca obserwacya odgrywa wielką rolę. Musi się w nią uzbroić lekarz, bo od niéj zależy dokładność dyagnozy; filozof przy jéj pomocy winien rozpoznać stosunki różnych rzeczy; poeta nawet bez obserwacyi nie mógłby należycie ocenić piękności natury.

Upadła stara metoda przedstawiania prawd in abstracto a powstała nowa przedstawiania ich w konkretnéj formie. Początki sta-

nowiące podstawę umiejętności ścisłych nauczane bywają za pomocą metody poglądowéj. Przy pomocy kart i modeli naucza się geometryi oraz geografii, a najwybitniejszą cechą takiéj metody jest to, iż umysł każdego dziecka przechodzi na małą skalę ten sam proces, który na wielką skalę przechodziła ludzkość. Albowiem prawdy odnoszące się do liczby, formy lub położenia wzięte zostały pierwotnie z rzeczy i podawać je dziecku w sposób zmysłowy znaczy tyle, co nauczać je różnych prawd tak, jak się ich ludzkość nauczyła.

Nabywanie wiedzy dzisiaj stało się przyjemném i pełném wdzięku, wystąpiła dążność podawania nauki rozwijającemu się umysłowi tak, jakby on tego w rozwoju swoim koniecznie potrzebował.

Stąd naukowe plany dla młodzieży odpowiadają coraz więcéj jéj upodobaniom.

Lekcye powinny być zawieszone, zanim dziecię okaże znaki znużenia. Krótkie przerwy podczas nauki, wycieczki w pole, powabne czytania, śpiewy chórem itd. powinny łączyć się z nauką Ascetyzm znika w wychowaniu, jak i w życiu; dążność zaś oraz usilność uszczęśliwienia człowieka, będące probierczym kamieniem wartości państwowego prawodawstwa, zaczynają być w wysokim stopniu zastosowywane do prawodawstwa szkoły. We wszystkich stworzeniach całéj natury wesołe uczucie zadowolnienia towarzyszy spełnieniu koniecznych czynności. Jeżeli zatém szeregujemy w odpowiedniém następstwie różne przedmioty i wybiéramy sposoby nauczania takie, które wychowańca wabią, spełniamy jedno z przykazań natury i postępowanie nasze stosujemy do praw życia.

Jesteśmy tedy na drodze, którą już dawno zapowiedziała nauka Pestalozzi'ego, że wychowanie w całym swoim stopniowym przebiegu oraz i pod względem metody musi być zgodne z naturalnym procesem umysłowego rozwoju; że umysłowe zdolności potrzebują oznaczonego rodzaju wiedzy; że zadaniem wychowawców jest ustalić właściwe następstwo i oznaczyć jakość nauczanéj wiedzy. *Głównym celem wychowania jest doprowadzić wychowańca do takiego stanu, ażeby się sam nauczał.*

Obawiamy się, aby nam kto nie postawił pytania: jeżeli prawdą jest, że umysł podobnie jak ciało ma oznaczony pochód rozwoju; jeżeli się rozwija naturalnie, a pożądanie téj lub owéj nauki budzi się wtedy zawsze, gdy jéj umysłowi jako pokarmu potrzeba; jeżeli w samym umyśle znajduje się taki głos ostrzegawczy wzywający we właściwym czasie do właściwego rodzaju czynności,—to czemuż dzieci nie pozostawić wychowaniu natury?

To pytanie wygląda wcale niebezpiecznie, jednakże nie w takim stopniu, abyśmy się w obec niego mieli zaląknąć. Ogólne prawo życia jest, że każde wyżéj uorganizowane stworzenie, a przedewszystkiém człowiek, otrzymuje wykształcenie całkowite od dorosłych. Nowonarodzone dziecię nie jest wstanie dostarczyć sobie zarówno środków do życia, jako też wykształcić swoich zmysłów, ale w obu razach główném zadaniem rodziców jest, aby na podręczu były wszelkie warunki rozwoju dziecięcia.

Jakkolwiek trudno podać szemat wychowania, wykończony tak pod względem formy jak i treści z powodu małego dotąd zastosowania do życia prawd psychologii racyonalnéj, jednakże możliwą jest rzeczą przynajmniéj zbliżenie się do takiego doskonałego szematu przy pomocy pewnych przewodnich zasad, zdobytych w drodze doświadczenia.

Ażeby drogę dla dalszych badań utorować, postaramy się tu o wyznaczenie niektórych z tych zasad.

1) *Że w wychowaniu powinniśmy zdążać od rzeczy pojedyńczych do złożonych*, jest prawdą, która do pewnego stopnia zastosowaną już została. Umysł w rozwoju swoim kroczy tą samą drogą, wychowanie więc jako zewnętrzny wyraz tego wewnętrzego procesu powinno podobnąż dążność okazywać. Formuła ta ma jeszcze dalsze zastosowanie: nietylko przy nauce pojedyńczéj jakiéjś gałęzi wiedzy postępujemy od rzeczy pojedyńczych do złożonych, ale to samo trzeba mieć na względzie, kiedy chodzi o całość wiedzy ludzkiéj.

Umysł najprzód niektóre tylko swoje zdolności rozwija, następnie powołuje inne do współdziałania, aż wreszcie wszystkie jednocześnie czynnie występują. Nauczanie więc nasze powinno najprzód od niewielu przedmiotów zacząć, do tych przedmiotów powoli przyłączać inne, aż nareszcie wszystkie przedmioty jednocześnie traktować.

2) *Rozwój umysłu postępuje od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych.* Mózg, podobnie jak inne części organizmu, wydoskonala swą budowę dopiéro z dojrzałością człowieka, a w miarę tego jak budowa jest nieudoskonaloną, nie mogą być doskonałemi i czynności mózgu. Jak nieoznaczone są pierwsze ruchy ciała i próbki języka, tak również pierwsze spostrzeżenia i myśli. Niewyćwiczone oko dziecięcia rozeznaje pierwotnie tylko różnicę światła oraz ciemności, ale w miarę postępu w doskonaleniu się oka występuje rozpoznawanie rodzajów i stopniowania barw, jako też szczegółów formy.

Podobnież umysł, jako całość i w każdéj swojéj pojedyńczéj władzy, zaczyna od najgrubszych różnic między przedmiotami i czyn-

nościami a zdąża do różnic coraz delikatniejszych i ściśléj przedmioty oznaczających.

Metoda i cały przebieg wychowania powinny zastosować się do tego ogólnego prawa. Nauczanie dziecka rozpoczyna się od niewykończonych pojęć, które dopiéro zwolna w ciągu czasu będą się jaśniejszemi stawały, w miarę jak zdobycz doświadczenia będą wspiérały to dzieło.

3) *Nauczanie powinno zaczynać od rzeczy zmysłowych (concreta) a kończyć na oderwanych (abstracta).*

4) *Wychowanie dziecka powinno zgadzać się z historyczném wychowaniem ludzkości.* Innemi słowy: Wychowanie ma być powtórzeniem cywilizacyi na małą skalę. Tu bowiem metodę wypracowała już ludzkość przez nieskończoną ilość porównań, obserwacyj, badań, teoryj w dziedzinie każdéj wiedzy i na właściwéj drodze.

5) *Z powyższego wynika, iż w każdéj gałęzi wiedzy powinniśmy zdążać od empiryi do teoryi.* Wszelka bowiem nauka miała swoje czysto empiryczne stadyum, a gdy już na tém polu zgromadzony został odpowiedni kapitał spostrzeżeń, natenczas rozpoczęło się spekulacyjne myślenie.

6) *Wychowaniec w najwyższym stopniu powinien być pobudzanym, aby sam przez się sprowadzał proces własnego rozwoju.* Niechaj dzieci, o ile możności same badają i z badań swoich własne wyprowadzają wnioski; niechaj na własną rękę robią odkrycia i wynalazki. Ludzkość wyrabia postęp w drodze takiego samouctwa. Kto wzrósł w tresowaniu szkolném i zatrzymał je sobie w pamięci, ten może nie będzie zwolennikiem podobnego wychowywania. Ale niech pomyśli, ileż to dzielnych ludzi przebiło się nietylko przez zaklęte misterye szkolnictwa, lecz i przez tysiące wielkich trudności, dlatego tylko, że byli sami nauczycielami samych siebie. Owa urojona potrzeba prawienia dziecku aż do znudzenia o tém, co ono samo wynaleść powinno, jest następstwem nie dziecięcéj, ale naszéj własnéj umysłowéj ograniczoności. Plecie się nieraz koszałki opałki o rzeczach tak skomplikowanych, że one są zupełnie niepowabne dla dziecka. Potém zaś wyprowadza się wniosek, że dziecko nie ma chęci do nauki i następnie stosuje się groźby oraz kary, aby taką głowę raz przecię nagiąć do rozwoju. Głowę się nagnie zaprawdę, ale do wstrętu dla wszelkiéj nauki! Przez taką metodę wychowujemy nieporadność i ta właśnie nieporadność jest podstawą niedołężnéj naszéj metody.

7) Ostatecznym kamieniem probierczym do osądzenia naszego zarysu wychowawczego powinna być odpowiedź na pytanie: „*Czy on wychowańcowi sprawia zadowolnienie?*“ Jeżeli nawet plan nasz ze

stanowiska teoretycznego wydaje nam się znakomitym, ale nie obudza interesu, lub obudza mniejszy interes aniżeli inny jakiś plan, to powinniśmy go zaniechać: albowiem na umysłowy instynkt dziecka więcéj tu liczyć należy, aniżeli na własną naszę rozwagę.

Jak wszystkie w ogóle przewodnie prawdy, tak i te, któreśmy tutaj wyliczyli, niewiele zaważą, jeżeli je pozostawimy w tych abstrakcyjnych formach. Przeto od teoryi wychowania przechodzimy teraz do poparcia jéj praktyką.

Już Pestalozzi wiedział, że wychowanie zaczyna się w kolébce dziecka. Niemowlę szeroko rozwartemi oczyma rozpoznaje zawczasu otaczające je przedmioty, pilnie przysłuchuje się każdemu dźwiękowi, rączkami chwyta różne rzeczy i do ust wkłada. Jest to pierwsze ogniwo w owym łańcuchu rozwoju, który się kończy odkrywaniem niedostrzegalnych planet, wynajdywaniem machin rachunkowych, tworzeniem znakomitych obrazów lub wspaniałych muzycznych kompozycyj.

Otóż nic naturalniejszego jak dostarczać niemowlęciu przedmiotów poznania, aby na nich pierwsze swe zdolności ćwiczyć mogło. W tém miejscu zwracamy uwagę, iż znakomita teorya Pestalozzie'go nie była w tym punkcie zgodna z jego praktyką.

„Książka do pierwszego czytania, mówi on, powinna w sobie zawiérać wszystkie dźwięki języka i tych w każdéj rodzinie należy nauczać od najpierwszego dzieciństwa. Dziecię uczące się głosek niechaj te głoski powtarza przy leżącém w kolebce niemowlęciu, ażeby to ostatnie już zawczasu obznajmiło się z dźwiękami mowy.“

Z tego i z innych jeszcze poglądów słynnego pedagoga odnośnie do imion, liczby, położenia, przymiotów itd. widać, że pojęcia Pestalozzi'ego, co się tyczy pierwszéj umysłowéj edukacyi, były jeszcze znacznie surowe. Natomiast psychologia nam radzi, że ponieważ pierwsze wrażenia umysłu pochodzą od oporu, światła, dźwięku i t. d., przeto powinniśmy dziecięciu przedstawić należytą liczbę przedmiotów, z którychby się ono nauczyło poznawać różne stopnie i własności światła, rozmaite stopnie i rodzaje oporu, jako też dźwięków, które ze względu na swoję siłę, wysokość i barwę dźwiękową stanowią przeciwieństwo. Jak racyonalném jest to apriorystyczne nasze twierdzenie, możemy łatwo sprawdzić przez obserwowanie dziecięcego instynktu. Każde maleńkie dziecko znajduje wielką przyjemność w psuciu swoich zabawek, dotykaniu błyszczącego guzika przy ubraniu lub w chwytaniu bawiącego się z niém ojca za brodę. Pamiętajmy, że to jest pora, w któréj dziecko zdolne jest przyjmować żywsze wrażenia prędzéj, niż w każdym innym peryo-

dzie, że opanowanie najprostszych elemantów musi wymagać czasu, że następnie ten pierwszy stopień dzieciństwa nie jest właściwy, do żadnych innych czynności i że następnie należyte przygotowanie dziecięciu odpowiednich wrażeń i stąd płynące jego zadowolnienie jest korzystném nietylko dla umysłowego rozwoju dziecka, ale i dla jego zdrowia.

W zastosowaniu prawa umysłowego rozwoju, który ma zdążać od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych, przy rozwijaniu każdéj zdolności dziecka tylko mocno kontrastujące wrażenia do rozróżniania przedstawiać należy; np. barwy najbardziéj różniące się między sobą lub dźwięki najprzeciwniejsze sobie ze względu na moc i wysokość oraz przedmioty, które ze względu na twardość albo spójność części jak najmniéj są do siebie podobne.

Przechodzimy do metody poglądowéj, która jest naturalnym dalszym ciągiem tego początkowego ćwiczenia zmysłów. Potrzeba tylko rzucić okiem na codzienne życie dziecięcia, aby się przekonać, iż ono wszelką wiedzę o rzeczach zdobyło sobie samo jeszcze przed wykształceniem języka, że zjawiska połączone z własnościami twardości i ciężkości, przynależność szczególnych barw i form w pewnych przedmiotach, wydawanie pewnych oznaczonych dźwięków przez zwierzęta takiéj a nie innéj postaci ono samo zaobserwowało. Podobnie postępują i ludzie w wieku dojrzałym.

Zachodzi przeto pytanie, czy w latach pomiędzy wiekiem dziecinnym a wiekiem dojrzałym należy inną metodę stosować? Sądzimy, że nie. Sama natura zachęca nas do przyjęcia téj właśnie metody. Dziécię siedzące na kolanach ojca podsuwa mu swoję zabawkę, aby ją obejrzał. Starsze dzieci wbiegają nieraz do pokoju, wołając: „mamo, patrz jakie to ładne!“ A proszę posłuchać, z jaką to żywością mały chłopiec będzie opowiadał o nowości, którą dopiéro co widział, byle tylko znalazł kogoś chętnego do słuchania. Czyż to dla nas niedosyć jasne, żeśmy powinni do tych popędów całe nasze postępowanie zastosować i ten naturalny proces do godności systemu podnieść?

Bierzmy wzór z rozumnéj matki, która umié synkowi swojemu nauki udzielać. Najprzód obznajmia ona go z nazwami prostszych własności ciał, jak twardość, miękkość, barwa, smak, kształt, wielkość. Chłopiec skwapliwie oznacza, że ten a ten przedmiot jest czerwony, inny twardy i t. d., a każdą własność nową stara się ona, o ile możność pozwala, z już znanemi połączyć. Zdarzy się czasem, iż chłopiec jednéj lub kilku znanych mu własności zapomniał wymienić, natenczas matka pyta, czy on o danéj rzeczy nic już nie umié powiedzićć. Jeżeli chłopiec zapomniał lub pytania nie

rozumie, wtedy matka podpowiada, przyczém może się śmieje trochę z jego pomyłki. Za drugim razem, jeśli mu powiedzą, czy jeszcze czegoś nie wie o tym a tym przedmiocie, obudza się jego miłość własna, spogląda na przedmiot uważnie, namyśla się i jeżeli zadanie jest łatwe, wnet znajduje odpowiedź. Ucieszy go to niezmiernie, jak w ogóle każde dziecko, które siły swoje odkrywa. Wtedy pożąda on większych zwycięztw, wyszukuje innych rzeczy i składa z nich przed matką sprawozdania. A w miarę jak się jego zdolności rozwijają, matka dodaje coraz nowe własności ciał, np. od twardości i miękkości przechodzi do chropowatości i gładkości, od barwy do blasku, od ciał prostych do złożonych i w ten sposób robi ona zadanie coraz trudniejszém, stawia coraz wyższe wymagania jego uwadze oraz pamięci, podtrzymuje zainteresowanie się dziecka i stara się o nowe wrażenia, któreby sobie mógł jego umysł przyswoić; zawsze zaś wywołuje zadowolnienie z pokonania trudności takich, jakie umysł dziecinny opanować jest w stanie. Kształcenie samodzielności jest podawaniem umysłowi tego właśnie pokarmu, którego on potrzebuje, jest rozbudzaniem wiary w samego siebie i dążności do uczestniczenia w pracach, których dokonywa ludzkość. Nauka prowadzona podług metody poglądowéj powinna rozciągać się do szerokiego zakresu przedmiotów, należy ją stosować w późniejszych nawet latach dziecka. Niechaj się ona nie kończy z porannym wiekiem dzieciństwa, ale niechaj nieznacznie ginie, gdy się już rozpoczynają badania filozofa i myśliciela. Alboż nam nie jest znanym zachwyt u dzieci przy znalezieniu nowéj muszli, kwiatka lub owadu? A zaprawdę nie wątpimy, iż wtedy łatwo młode umysły obznajmić z różnemi przymiotami i budową tych przedmiotów, zwłaszcza iż dzieci same tego pożądają, zarzucając nas mnóstwem pytań. Jednak dobrze trzeba się trzymać zasady i nie obciążać młodziutkiéj głowy bogactwem materyału; niechaj zwróconą tutaj będzie ich uwaga na rzeczy mniéj złożone; w roślinach na kolor, liczbę i kształt płatków kwiatowych; w owadach na liczbę skrzydeł, nóg, rożków i ich barwę. Gdy to rozpoznają i odkryją, o ile można, same, można się posunąć do dalszych faktów, jak: liczba nitek pyłkowych, zawiązek owocowy, kształt kwiatu, położenie i własności liści, łodyga i t. d.

Gdyby wszyscy ludzie na świecie byli tylko handlarzami, którzy okrom interesu swego nic już więcéj nie widzą; gdyby to było dobrém i szlachetném być zwyczajnym mieszczuchem zbogaconym, jak studenci mówią, filistrem, który cały dzień fajkę pali i ziewa lub pije piwo; albo być wielkim panem, który lasy uważa jako place,

gdzie można strzelać, dla którego rośliny nieogrodowe są tylko chwastem a całe państwo zwierzęce dzieli się na zwierzynę i bydło, wtedy istotnie nie byłoby potrzeby innéj nauki, jak tylko téj, która prowadzi do napełnienia kasy i spiżarni.

Na szczęście leżą przed nami cele wyższe niż być małemi, a w rzeczach nas otaczających leżą inne jeszcze korzyści niż spieniężanie wszystkiego. Na szczęście mamy możność wystąpić do walki z tym prostackim utylitaryzmem, który kontent, że na świat przyszedł i że go opuści bez żadnéj świadomości, co to za rodzaj świata i co się w nim mieści. Mamy niepłonną nadzieję, że ludzkość powoli dojdzie do przekonania, iż prawa życia stanowią umiejętność ważniejszą niż którakolwiekbądź inna, że prawa życia są podstawą nietylko cielesnych i umysłowych procesów, ale wszystkich razem wziętych urządzeń politycznych, moralnych, handlowych i t. d., oraz że bez znajomości tych praw życia nie jest skuteczną żadna działalność osobista lub towarzyska.

Oznaką coraz rozumniejszego poglądu na wykształcenie umysłowe jest i to, że nauka rysunku coraz więcéj znajduje uznania, jako środek wychowawczy. I na tym punkcie także naturalny instynkt dzieci jest wskazówką dla pedagoga. Któż nie zna popędu malców do naśladowania ołówkiem, kredą lub węglem postaci domów, ludzi, zwierząt, drzew. A największém zadowolnieniem dla nich jest przeglądanie książek z rycinami. Ta dążność kopiowania rzeczy w oczy uderzających jest dalszym ciągiem instynktownego ćwiczenia zmysłów, jest środkiem, który sprowadza większą pełność i dokładność obserwacyi.

Widzimy, że dzieci przedewszystkiém usiłują oddać w rysunku rzeczy duże, jaskrawo-barwne lub te, w pobliżu których najczęściéj przebywają; rysują one ludzi, psy, krowy, domy i t. d. W całym tym procesie portretowania najwięcéj chodzi dzieciom nie o rysunek, ale o malowanie; rysują tylko z konieczności ołówkiem, gdy farb nie ma pod ręką; zresztą rysunku potrzebują tylko dlatego, aby sobie kontur zakreślić, głównym zaś celem pragnień jest zawsze malowanie.

Największém szczęściem dzieci jest książka, gdzie są drzeworyty, które farbami kolorować można. Co do nas, uważamy ten popęd dziecka jako bardzo racyonalny. Pierwszeństwo barwy przed formą ma swoją psychologiczną zasadę.

Nieoznaczoność i niepewność w najwyższym stopniu, którémi stosownie do prawa rozwoju nacechowane są te pierwsze próby dziecka, nie powinny być dla nas wcale powodem lekceważenia owéj pracy. Nie o to chodzi, czy kształty są malownicze lub czy farby

dobrze nałożne. Nie dobroć rysunków jest tu kwestyą, ale czy te zajęcia rozwijają zdolności. Sądzimy, iż są one właśnie dla tego celu zupełnie odpowiednie, ponieważ są dobrowolne i powabne. W pierwszém dzieciństwie o żadnéj formalnéj nauce rysunku nie może być mowy. Naukę rysunków podług wzorów wypuszczamy tu z samego planu, a tém bardziéj jeszcze owę metodę prowadzenia najprzód linij prostych, potém krzywych i złożonych, od czego niektórzy nauczyciele zaczynać zwykli. Żałować nam przychodzi pracy tych, którzy podają dzieciom przedewszystkiém definicye, jak np. „*Linia prosta jestto najkrótsza droga pomiędzy dwoma punktami A i B.*“ „*Linia krzywa jestto linia, która nie jest najkrótszą drogą pomiędzy dwo-„ma punktami C i D.*“

Podobnież niektórzy mają zwyczaj zaczynać naukę języka od części mowy i ich funkcyj, co ostatecznie wychodzi na to, iż, aby kogoś nauczyć chodzić, należy naukę rozpocząć szeregiem odczytów o kościach, muszkułach, nerwach, nogach i t. d., a zupełnie to samo musimy zastosować do owego planu, który, mając na względzie naukę przedstawienia przedmiotów, zaczyna od wprowadzenia nomenklatury oraz pojęć linij. Ten aparat techniczny jest zarówno odstręczający jak i zbyteczny. Obudza on na samym wstępie niechęć do nauki, a dalszego znaczenia nie ma, jak tylko nauczenie tego, co w dalszéj praktyce samo przez się przychodzi.

Po różnych licznych, nieudanych zwykle próbkach chińskiego rysunku dziecka, budzi się w niém jakie takie wyobrażenie o tém, co należy robić i powstaje pragnienie, aby to zrobić. Wówczas można przedsięwziąć pierwszą naukę empirycznéj perspektywy. Eksperyment jest zawsze rzeczą przystępną i powabną; otóż można ustawić na stole prostopadle płytę szklaną, a po za nią książki lub inny jaki zwykły przedmiot. Niechajże dziecię, patrząc przez szkło na przedmiot, porobi sobie na tém szkle atramentem punkta odpowiadające kątom widzianego przedmiotu i niech te punkta połączy ze sobą liniami a przekona się, że owe linie stanowią kontur przedmiotu za szkłem umieszczonego. Ten prosty eksperyment objaśni fakt, iż linie pewnéj długości, w pewnych kierunkach na płaszczyznie poprowadzone, mogą przedstawiać linie innéj długości i innych kierunków w przestrzeni. Przez stopniową zmianę położenia przedmiotu za szkłem dziecko dojdzie do spostrzeżenia, że niektóre linie skracają się lub znikają, podczas gdy inne są widzialne i znacznie dłuższe nieraz. Wszystkie w ogóle główniejsze rzeczy z nauki perspektywy można od czasu do czasu w podobny sposób uwydatnić. Późniéj dziecko samo spróbuje od oka ten lub ów przedmiot narysować z większém albo mniejszém powodzeniem.

Co się tyczy pierwszych pojęć z geometryi, przytoczymy tu zdanie Wyse'go, ponieważ rozumniejszéj metody trudno obmyśléć.

„Przy nauczaniu dziecka arytmetyki zastosowaną zwykle bywa kostka sześcienna; tę kostkę zastosujmy także, gdy chodzi o nauczenie pierwszych zasad geometryi. Unika się tu wstrętnych definicyj i złych objaśnień o punkcie, linii, powierzchni, będących abstrakcyami. Kostka przedstawia wiele elementów geometrycznych; znajdujemy w niéj punkta, linie proste, linie równoległe, kąty, równoległoboki i t. d. Kostki tego rodzaju dają się dzielić na rozmaite części, a uczeń już przy liczeniu obznajmił się z takiemi podziałami; teraz przystępuje on do porównywania tych rozmaitych części i do oznaczenia stosunku ich między sobą. Stąd przechodzi łatwo do kuli, co mu dostarcza zasadniczych pojęć o kole, o krzywych w ogóle i t. d. Jeżeli już jako tako obznajmiony jest z ciałami, możemy następnie przystąpić do płaszczyzn. Przejście jest bardzo łatwe. Przetnijmy kostkę na cienkie części i te rozłóżmy na papiérze, a uczeń przekona się, że tyle jest prostokątów, ile części. Kule mogą być podobnież traktowane, przyczém łatwo przedstawić, jak powstają powierzchnie.

„Przechodząc do przedstawienia tego wszystkiego na papiérze, najpierwszém zadaniem będzie obwieść dokoła ołówkiem, prostokąt wzięty z kostki; powtórzywszy to zaś kilkakrotnie, można wymagać od dziecka, aby samo od ręki kształt naśladowało i t. d."

Po zgromadzeniu zapasu takich geometrycznych pojęć można jeszcze dalszy krok zrobić, mianowicie odbyć próbę, czy od oka nakréślone figury są dobre.

Teraz posłuchajmy, co mówi profesor Tyndall w odczycie swoim „*O ważności nauczania fizyki w wychowaniu.*" Sądzimy, iż świadectwo takiego męża ma swoje wielkie znaczenie, przeto przytaczamy tu własne jego słowa.

„Pomiędzy obowiązkami, których spełnienie przyjąłem, było zajęcie się nauczaniem młodzieży matematyki. Przekonałem się w ciągu téj pracy, że Euklides i w ogóle stara geometrya stanowi zawsze dla uczniów nader powabny przedmiot, jeżeli tylko przystępnie przedstawioną im będzie. Zwyczajem moim było zawsze odwracać uczniów od metody podanéj w książce a powierzać ich własnym siłom, ilekroć chodziło o rozwiązanie zadań. Z początku budziła się niechęć do porzucenia już utartéj drogi, nigdy jednak ta niechęć nie utrzymywała się długo. Jeżeli widziałem, że chłopiec zwątpił, natenczas rozbudzałem w nim odwagę przez anegdotę o Newtonie, który różnicę pomiędzy sobą a innymi ludźmi upatrywał jedynie we własnéj cierpliwości. Albo opowiadałem o Mirabeau,

który służącemu swojemu raz na zawsze zabronił używać wyrażenia „nie mogę.“

Tak pocieszony chłopiec brał się znowu do roboty z uśmiechem, który wyrażał coś innego niż zwątpienie, a w każdym razie oznaczał postanowienie spróbowania raz jeszcze. Oczy dziecka błyszczały, a nareszcie zwykle następował wykrzyk radości: „Panie profesorze, znalazłem!“ w obec czego zachwyt Archimedesa zdawał się być małym. Tak pobudzona świadomość własnej siły miała ogromną wartość, bo w ten sposób zachęcana cała klasa robiła zdumiewające postępy. Częstokroć zostawiałem chłopcom wolny wybór opracowania zadań znajdujących się w książce lub próbowania sił swoich na zagadnieniach, których książka nie obejmowała. Książką rzadko się posługiwano równie jak i pomoc moja mało kiedy przyzywaną bywała. Dzieci kosztowały słodyczy, jaką sprawia wszelka umysłowa zdobycz, i pożądały nowych zwycięztw zapewnionych przez własne siły.

Zdarzało mi się widzieć figury po ścianach rysowane, wyrznięte na słupach w miejscu ich zabaw ustawionych oraz inne liczne dowody świadczące o żywym interesie, jaki wychowańcy mieli dla nauczanego przedmiotu. Ja z mojéj strony, co się tyczy doświadczenia w nauczaniu, byłem nowicyuszem: nie miałem znajomości ani jednéj reguły téj nauki, którą Niemcy pedagogiką zowią, ale pamiętałem, że geometrya powinna być środkiem wychowania nie zaś przedmiotem. Próbę moję uwieńczył rezultat dobry.“

Powyższe szkice planu kształcenia zmysłów w pierwszém dzieciństwie, oraz przeprowadzania metody poglądowéj w nauce rysunku i geometryi służą jedynie jako objaśnienia podanych przedtém ogólnych zasad. Metoda ta jest logicznym zbiorowym rezultatem wszystkich ulepszeń nowożytnych w wychowaniu a jednocześnie zastosowaniem do edukacyi systemu naturalnego, bo, jakeśmy to już poprzednio wykazali, idzie ona za skinieniami, których rozwijający się umysł sam przez się udziela. Te zaś powody skłaniają nas do twierdzenia, iż przedstawiona metoda wychowawcza najbardziéj zbliża się do prawdziwéj.

Atoli wychowanie stanowiące proces samouctwa oprócz tego, że przyprowadza nauczanie w naturalnym porządku następstwa, przedstawia jeszcze inne korzyści. Przedewszystkiém zapewnia ono żywość i trwałość wrażeń, czego inne metody dokazać nie są wstanie. Każda bowiem nauka przez samego ucznia zdobyta staje się jego własnością umysłową w wyższym stopniu, aniżeli gdyby mu ją podano z drugiéj ręki. Składają się na to: rozbudzona czynność umy-

słu, skupienie myśli oraz podniesienie moralne, które budzi uczucie tryumfu.

Inną korzyść jeszcze zapewnia podobna edukacya; organizuje ona wszelką zdobytą wiedzę tak, iż ta w umyśle odgrywa rolę przesłanek do następnych wniosków, staje się środkiem warunkującym nabycie dalszéj wiedzy. Rozwiązanie wczorajszego zadania pomaga uczniowi w odpowiedzi na pytanie dzisiaj mu uczynione.

Cóż mówić o korzyściach samouctwa takich, jak: odwaga w pokonywaniu trudności, cierpliwe skupienie uwagi, wytrwałość na niepowodzenia, co stanowi już w dalszém życiu cenne przymioty charakteru.

Co się tyczy uszczęśliwienia, jakie cechować powinno ucznia przez cały przeciąg wychowania, to musimy wyznać, że wesołe usposobienie umysłu dziecka w każdym razie jest bardziéj pożądane, aniżeli obojętność lub niechęć. Stan wesoły jest stanem normalnym, stanem czynnym; usposobienie smutne lub niechętne ma swoje przyczyny: jestto stan bierny. Proszę się zastanowić i sprawdzić, jak idzie przyjmowanie nauki w pierwszym i drugim razie. Proszę porównać postępy dwóch chłopców, z których jeden jest uszczęśliwiony z opanowania różnych zajmujących przedmiotów, drugi zniechęcony do nauki groźbami i karami, unieszczęśliwiony wreszcie swojemi rezultatami pracy. Każdy pozna, że strona moralna pierwszego jest właściwą, drugiego zaś zagrożoną. Co więcéj, każdy, kto obserwował działanie wywierane na umysł przez powodzenie lub niepowodzenie oraz wpływ umysłu na ciało, każdy, mówię, będzie widział jasno, iż w pierwszym razie stan zdrowia i temperamentu jest w zupełnym porządku;—w drugim zaś niebezpieczeństwo trwającéj ponurości i trwającego zwątpienia grozi niezmiernie moralnym i fizycznym upadkiem. Pozostaje nareszcie do zbadania rzecz niemałéj wagi, kwestya stosunku między nauczycielami a uczniami.

Otóż i tu stanowczo zwycięża zasada uszczęśliwiania dzieci. Wszystkim zaś, którzy wystąpią przeciw możliwości przeprowadzania bronionego przez nas systemu, dajemy tę odpowiedź, którą i poprzednio daliśmy, że postępowanie przez nas wskazane zaleca nietylko teorya ale i praktyka. Jeżeli chodzi o powołanie się na powagi, to pomijając świadectwa dane pod tym względem przez różne pedagogiczne znakomitości, przytaczamy tu zdania profesora Pilana:

„Młodzież, jeżeli tylko jest nauczaną tak jak to powinno mieć miejsce, czuje się być równie szczęśliwą w szkole, jak i na miejscu swoich zabaw; powiedzielibyśmy nawet, że w ćwiczeniu prawidłowém swoich umysłowych zdolności znajduje ona zadowolnienie większe aniżeli w ćwiczeniu sił fizycznych."

Ostatnim argumentem, broniącym naszego systemu, jest fakt, iż uczeń samodzielnie kształcony i uczuwający nieustannie przyjemność w odkrywaniu różnych prawd naukowych nie uczyni nigdy rozbratu z pracą umysłową po ukończeniu szkół, ale owszem, zachęcony i zaprawiony do badania na własną rękę, będzie we właściwym kierunku dalej postępował.

III. Wychowanie moralne.

Można powiedzieć, że pod pierwszym względem dosyć jest jeszcze starania i krzątania się nad przygotowaniem dziecka do przyszłéj jego towarzyskiéj i społecznéj pozycyi. Nikt jednakże nie zwraca uwagi na to, iż dziecku temu przyjdzie kiedyś zadosyć uczynić ojcowskim lub macierzyńskim obowiązkom. Każdy pojmuje dobrze sprawę wychowania, o ile ona ma na oku przygotowanie młodzieży do przyzwoitego znalezienia się w towarzystwie, jednocześnie zaś nikt nie uznaje potrzeby przygotowania poprzedniego dla przyszłych kiedyś ojców i matek. Ileż to lat trwoni chłopiec, aby sobie zdobyć tak zwane „dobre wychowanie," ile dziewczyna, aby ją w przyszłości podziwiano na balach i mówiono o niéj, że „jest bardzo dobrze!" Gdy tymczasem nie poświęca się ani jednéj godziny na przygotowanie dopełnienia owych najtrudniejszych ze wszystkich obowiązków rodzinnych.

Nauka o wychowaniu dzieci fizycznem, umysłowém oraz moralném jest ogromnie ważną. Wypielęgnowanie przekonania o téj ważności powinno być tematem ostatniego rozdziału w kursie wychowawczym każdego mężczyzny lub kobiety. Jak oznaką fizycznéj dojrzałości jest zdolność prokreowania dzieci, tak znowu dojrzałość umysłowa daje się oznaczyć istotnie tylko przez zdolność do wychowywania potomstwa. Jeżeli rodzicom zbywa na odpowiedniém przygotowaniu wychowawczém, natenczas kierunek ich dzieci, zwłaszcza téż kierunek moralny, jest pożałowania godny. Albowiem nie będą oni mogli nigdy rozważać tego, co dzieciom ich jest potrzebne, lub téż obiorą drogę pełną sprzeczności. Widzimy nieraz jak rodzicielskie postępowanie, zwłaszcza téż ze strony matek, jest dziełem chwilowego usposobienia, a bynajmniéj nie pochodzi z gruntownego przeświadczenia o tém co może być dla dziecka najzbawienniejsze. A że usposobienia chwilowe są zmienne, więc i działanie rodzicielskie w tym razie nie będzie żadnym stałym systematem wychowania.

Częstokroć cała wiedza wychowawcza matki ma źródło gorsze jeszcze, bo polega na niekrytyczném przyjęciu przekazanych tra-

dycyj przeszłości lub na wspomnieniach z własnego dzieciństwa i na zasiąganiu rad od babek, ciotek, nawet od służących.

Nie należymy do rzędu tych, którzy z lordem Palmerstonem wierzą, że „wszystkie dzieci urodziły się dobremi i dobremi są z natury.“ Zdaje nam się nawet, iż wprost przeciwny dogmat, jakkolwiek również nie da się obronić, leży jednak bliżéj prawdy. I na to się nie zgodzimy także, aby przez właściwe wychowanie ze wszystkich dzieci można było zrobić to, czém one być powinny. Przeciwnie, żywimy przekonanie, iż niedokładności natury mogą być wprawdzie zmiejszone przez roztropne wychowanie, ale nigdy nie dadzą się zupełnie usunąć.

Niemniéj atoli sympatyzujemy szczerze ze wszystkimi, którzy entuzyastycznie podzielają opinią, jakoby przez edukacyą można było wytworzyć pewien ideał ludzkości. Nawet fanatyzm na tym punkcie nie jest szkodliwym, ale działa zbawiennie, albowiem jest on siłą łamiącą obojętność i zastój.

Bieżącém przekonaniem ogółu jest, iż głowy rodzin są cnotliwe a błędy znajdują się jedynie u dzieci, tymczasem obywatele kraju tacy, jakich znamy, są bardzo niedoskonałemi stworzeniami. Kto pomyśli o tysiącznych zajściach skandalicznych, o przeniewierzaniu się przyjaciół, o oszustwach, bankructwach podstępnych, niesnaskach rodzinnych itd., ten nie będzie potrzebował od nas bliższych dowodów. Odziedziczanie przytém, będące prawem natury, sprawia iż błędy dzieci przecięciowo są odzwierciedleniem błędów rodzicielskich. Z tegoby wynikało, iż reforma wychowawcza powinna być poprzedzona przez reformy w rodzinie. Gdyby bowiem można było utworzyć system wychowawczy, który przygotowywałby idealnie dobrych ludzi, to zachodzi jeszcze wątpliwość, czy ten system przysłużyłby się dobrze swoim wychowańcom. Może zbyt uszlachetniona natura nie mogłaby znaleść dla siebie punktu oparcia w tym świecie, jakim on jest, a życie całe stałoby się dla niéj nieznośném i niemożliwém. Z tego jednak nie wynika, aby ulepszenie wychowania było niepożądaném, lub żeby się nie dało przeprowadzić. Ale wynika, że reforma wychowawcza musi postępować równym krokiem z innemi reformami, że ona powinna się dokonywać częściowo a nie na raz, że wreszcie wymagania teoretycznéj ścisłości muszą w praktyce stosować się zarówno do niedoskonałości dzieci jak i rodziców oraz całego społeczeństwa. Powié kto więc, że opracowanie i zalecanie metód, które wyprzedzają chwilę obecną, nie przynosi żadnéj korzyści. Zaprzeczamy temu jak najkategoryczniéj. Albowiem chociaż metoda rzeczona nie dałaby się w danéj chwili ze ścisłością wprowadzić, to przecięż pożądaną jest rzeczą wiedziéć, gdzie leży

prawda, do urzeczywistnienia któréj zdążamy. I to dlatego, abyśmy się do prawdy téj zbliżali nie zaś oddalali od niéj. Nie należy się obawiać nagłego przewrotu, gdyż konserwatyzm ludzki dosyć jest silnym i nie zgodzi się nigdy na reformy, do których społeczeństwo nie jest dostatecznie przygotowane.

Można być pewnym, iż ludzie nie zechcą wprowadzać w życie zasad, do wysokości których jeszcze nie dorośli. Częstokroć nawet prawda zostaje zupełnie zrozumianą, a przy urzeczywistnianiu jéj powstają tak wielkie przeszkody, że ich cierpliwość oraz wytrwałość filozofów i filantropów przezwyciężyć nie zdoła.

Stosownie do tego, cośmy powiedzieli, możemy bez obawy sprawienia nagłych przewrotów rozpatrzéć te dążności i metody moralnego wychowania, które nam się przedstawiają jako prawdziwe oraz zbawienne.

W tym celu poświęcamy kilka słów ustaleniu zasad ogólnych, następnie zaś postaramy się przedstawić za pomocą przykładów, jak się powinni zachowywać rodzice w obec nastręczających się co chwila trudności przy wychowaniu dziatwy.

Wiadomo, że dziecię, które się kilkakrotnie uderzyło o stół lub sparzyło świecą, nabyło kosztem swojego bolu takiego doświadczenia, iż żadna namowa nie zdoła go skłonić do narażenia na szwank swego ciała w obec tych przedmiotów.

Tutaj natura sama podaje do rąk teoryą i praktykę wychowania moralnego. Wszyskie teorye, określające nam co jest moralność a co niemoralność, zgadzają się, iż dobremi są czynności, których bezpośrednie lub dalsze następstwa są dobroczynne; niedobremi zaś te, które szkodę przynoszą.

Ostateczną zaś miarą, według któréj wszyscy ludzie wyrokują o wszelkich czynnościach, jest szczęście lub nieszczęście. Pijaństwo uważamy jako złe, bo ono przynosi nieszczęście pijakowi i jego rodzinie. Gdyby kradzież była rzeczą przyjemną dla złodzieja i dla okradzionego, nie znaleźlibyśmy jéj w spisie grzechów głównych. Gdyby sobie można wyobrazić, że czynności dobre sprawiają cierpienia, to niezawodnie przestalibyśmy je za dobre uważać. W pierwszéj lepszéj gazecie lub rozmowie towarzyskiéj ocena wszelkich ludzkich czynności polega na tém, czy one szczęście lub cierpienie ludziom sprawiają. Otóż według tego sądzimy, że i czynności odnoszące się do ciała są dobre lub złe, stosownie czy skutki ich są dobroczynne lub szkodliwe.

Następnie rozważmy jakość kar, przez które powstrzymywane są takie cielesne przekroczenia. Mówimy kar w braku lepszego wyrazu, albowiem nie są to kary we właściwém tego słowa znaczeniu.

Albowiem są one dobroczynném powstrzymywaniem wszelkich czynności przeciwnych cielesnemu dobrobytowi; są to nieuniknione reakcye spowodowane przez czynności dziecięcia. Daléj pomyślmy, że stosunek tych reakcyj do ich akcyj, czyli do przekroczeń, jest bardzo prosty. Mały upadek sprowadza lekki ból, upadek większy wywołuje większe cierpienie. Tak iż dziecko z codziennego doświadczenia wynosi przekonanie o większych i mniejszych karach za znaczniejsze lub mniéj znaczne błędy, co już kieruje jego postępowaniem.

Te naturalne reakcye następujące po każdéj czynności niewłaściwéj są nieubłagane i nieodwołalne. Dziecko ukłuło się igłą w palec, następuje ból; jeśli się ukłucie powtórzy, rezultat będzie tenże sam. I tak ciągle bez żadnego wyjątku. Nie ma tu żadnéj wymówki, nie ma skargi. Ta karność dobroczynna czyni dziecko ostrożném i unikającém przekroczeń, co się rozciąga wreszcie i na całe nasze dojrzałe życie. Po opuszczeniu bowiem rodzicielskiego domu i wejściu w świat młodzieniec wnet doświadczy, że zmarnowanie napróżno czasu wywołuje odpowiednią reakcyą, pociągą za sobą karę utraty chlebodajnego zajęcia, więc ubóstwo..

Kupiec nakładający wysokie ceny za towar traci klientelę, w czém téż leży dobroczynna tama powstrzymująca jego chciwość. Z tego już widzimy jaka zgodność panuje pomiędzy społecznem wychowaniem człowieka a wychowaniem, według którego natura kieruje krokami dziecięcia. Ileż to wyrażeń i przysłowi na ten temat: „*Kto się na gorącém oparzył, ten na zimne dmucha*“ Mądry Polak po szkodzie itd. Mówimy o „*drogo kupioném doświadczeniu*“ i o „*doświadczeniu gorzko zdobytém*“, a wszystko to są owe nieuniknione skutki naszych czynności owe nieubłagane reakcye naszego postępowania. Naturalne kary są najskuteczniejszemi i nie mogą być zastąpione przez żadne inne, czego zresztą dowodzi nasz rygor szkolny, czyli system kar niedający najmniejszego rezultatu w wychowaniu. Prosimy obrońców rygoru opartego na karach sztucznych, aby nam wykazali istotną poprawę dziecka poddawanego tym karom. Sądzimy, że kary sztuczne zarówno źle oddziaływają na dzieci, jak i na dorosłych, co łatwo sprawdzić na ludziach niejednokrotnie karanych kryminalnie. Na téj drodze zdobywamy sobie główną podstawę moralnego wychowania, któréj żaden nieuprzedzony człowiek nie może odmówić głębokiego znaczenia.

Mógłby nam ktoś zwrócić uwagę, że większa część rodziców dopuszcza w wychowaniu zasadę kary naturalnéj już przez to samo, gdy dziecko karcone jest surowo za swoje przekroczenia, co właśnie stanowi naturalne następstwo złych postępków. Po części jest

w tém cokolwiek prawdy. Obelgi, groźby i razy, które wymierzają rodzice na swe potomstwo, stanowią istotnie reakcyą złych czynów. Dzieci też barbarzyńców muszą być zapewne trzymane w klubach za pomocą tak barbarzyńskiej metody; może nawet podobna metoda jest jedynie skuteczną dla przygotowania przyszłych członków barbarzyńskiego społeczeństwa. To właśnie nie obala naszéj zasady, ale tylko wskazuje, jak dalece ona wsiąka w życie i ma na celu przyszłe społeczne stanowisko człowieka.

Tutaj nastręczają nam się dwie ważne okoliczności. Pierwszą z nich jest to, że w czasie walki pomiędzy starą a nową teoryą, w czasie pomiędzy ustaleniem nowego systemu a zaniechaniem starego rodzice używają metody wychowania, która bynajmniéj nie odpowiada duchowi epoki, co właśnie jest bardzo nienaturalne. Następnie zaś drugą okokoliczność stanowi to, że przez naturalne następstwa nie rozumiemy tu wcale skutków, jakie w rodzicach wywoływane są przez postępki dzieci, ale mamy na myśli jedynie następstwa sprowadzone przez samę naturę rzeczy.

Wyjaśnijmy to na przykładzie.

Jeżeli mała dziewczynka zostawia swoje zabawki w nieładzie, jeśli zapełni stół rozrzuconemi kwiatkami, które zebrała na spacerze, wtedy nie należy ją łajać a pokojowéj lub niańce polecić zrobienie porządku; ale należy spowodować dziewczynkę, aby sama wyporządkowała swoje zabawki lub kwiatki. Praca bowiem utrzymywania porządku jest naturalném następstwem robienia nieporządku. Każdy człowiek doświadcza tego w życiu swojém, a jeśli wychowanie ma być przygotowaniem do życia, nie powinno być obojętném pod tym względem. Gdyby się dziecko ociągało, wzbraniało lub zapomniało zrobić zaleconego porządku, należy mu odjąć ten rodzaj zabawy, ponieważ i w życiu późniejszym to samo następstwo spotyka ludzi dojrzałych zaniedbujących się w zajęciach. Inną razą zdarzało nam się widzieć, iż Władzio lub Zygmuś nie zdołał się nigdy ubrać na czas, kiedy reszta dzieci wychodziła na przechadzkę; nauczyciel musiał wyczekiwać a łajania jego lub rodziców pozostawały bez skutku, bo były niewłaściwe. Władzia lub Kazia należało ukarać naturalnie, zupełnie tak jak bywają ukarani dorośli ludzie, którzy się przez opieszałość własną spóźnili na koncert i zastali wszystkie miejsca zajęte. Naturalném następstwem niedbalstwa jest utrata korzyści, które zapewnia punktualność.

Zanim podniesiemy wyższe znaczenie zasady objaśnionéj tu prostemi przykładami, winniśmy przedtém wykazać jéj wartość praktyczną większą aniżeli innych zwykle używanych środków.

Ważną korzyścią z takiego wychowywania jest przygotowanie dzieci do pojęcia związku między skutkiem a przyczyną, co na każdym kroku dziecku się uwidocznia.

Nieporządek pociągnął za sobą trud zrobienia porządku, niedbalstwo znowu sprowadziło utratę przyjemności takiéj jak przechadzka. Metoda kar sztucznych ściśle stosowana nie osiąga podobnego rezultatu, ale zniechęca dzieci, jest przyczyną ich demoralizacyi, tworzy niebezpiecznych członków społeczeństwa.

Inna korzyść z wychowania naturalnego płynąca polega na tém, iż tutaj reprezentowaną jest sprawiedliwość. Kara sztuczna, albowiem ściśle sprawiedliwą być nie może, a przynajmniéj bardzo trudno, aby ją dziecko za sprawiedliwą uznało. Chłopiec, który raz podarł odzież a drugi raz poplamił i został w obu razach ukarany klęczeniem lub chłostą, będzie raczéj narzekał na surowość wymierzonéj kary aniżeli rozmyślał o poprawie. Kto wié, czy nie ma on słuszności.

Kary spływające na dziecko, jako naturalne następstwa jego czynności, usuwają z rodziny ów niemiły stosunek nieustannéj drażliwości tak co do rodziców jak i dzieci. A każdy zgodzić się musi, że pożądańszą jest rzeczą w rodzinie obustronna łagodność i dobroć aniżeli gniew lub nawet zawziętość.

Rodzice lubujący się w ciągłych naganach i karach, niezawodnie, jako skutek swojéj działalności, wywołają niechęć ku sobie własnych dzieci. Z drugiéj znowu strony dziecko, sprawiające rodzicom nieustanne zgryzoty, może łatwo osłabić, jeżeli nie zniszczyć, ich miłość dla siebie. To téż smutno patrzéć na częsty u nas stosunek obojętności rodzinnéj, co niezawodnie złemu wychowaniu przypisać należy.

Zapyta kto jednak: „a cóż robić, jeśli dziecię dopuści się większego przestępstwa, jeśli skłamie, popełni kradzież lub bije młodsze rodzeństwo?“ Zanim odpowiemy na to pytanie, uważamy za właściwe najprzód oznaczyć stosunek, jaki powinien istniéć pomiędzy rodzicami a dziećmi, ponieważ od tego stosunku głównie zawisło traktowanie skuteczne owych większych przekroczeń.

Obecnie dzieci uważają swoich ojców i matki w połowie jako przyjaciół, w połowie jako nieprzyjaciół, to jest jako przyjacielskich nieprzyjaciół.

I nie dziw, gdyż wrażenia dzieci formują się pod wpływem rodzicielskiéj tkliwości z jednéj a gniewu z drugiéj strony; matka raz występuje łagodnie, drugi raz surowo, przeto dziecko tworzy sobie najsprzeczniejsze pojęcie o jéj charakterze. Powtarza ona małemu synkowi codziennie, że jest jego najlepszą przyjaciółką i przypuściwszy

iż chłopiec temu uwierzył, robi wniosek, że on będzie postępował tak jak sama zechce. „To dla twojego dobra;“ „ja wiém lepiéj niż ty, co jest dobre;“ „jesteś jeszcze mały i nie potrafisz tego zrozumiéć, gdy dorośniesz, podziękujesz, żem tak postępowała.“ Te i tym podobne upewnienia powtarzają się co chwila, a jednocześnie chłopiec znosi kary za niezrobienie tego i owego, do czego nie miał ochoty. Słowa wprawdzie mówią, że wszystko zmierza do jego uszczęśliwienia, ale czyny wyrządzają mu nieustannie mniejszą lub większą dolegliwość.

Zaprawdę niezdolnym on jest zrozumiéć, co to jest za przyszłość, o któréj matka prawi a o ile traktowanie go zmierza do szczęścia w owéj przyszłości, wnosić może jedynie ze skutków, które czuje.

Z tego naturalnie wynika, że upewnienia matki stają się podejrzanemi w umyśle synka. Bo niedorzecznością nawet byłoby oczekiwać czegoś innego.

Ani matka, ani ojciec nie powinni być narzędziami kary, owszem powinni być przyjaciołmi ostrzegającymi własne dzieci przed niebezpieczeństwem kar, jakie natura złych czynów sprowadza niezawodnie.

Przekonani jesteśmy, że dziecko kierowane przez rozumne wychowanie nie może się dopuścić żadnych większych przestępstw. Zepsucie dziecka wytwarza się najczęściéj z goryczy, będącéj produktem postępowania rodziców oraz nauczycieli. Jeżeli brat uderzył siostrę, to zbadajmy sprawę czy on sam nie był bity przez ojca lub matkę, co już zobojętniło w nim tkliwe i pełne wdzięku uczucia rodzinne. Bo jeżeli jego nie oszczędzają starsi, czemużby on miał być dla drugich względniejszym?

Ale przypuśćmy, iż pomimo dobrego wychowania dziecko dopuści się np. kradzieży. Natenczas metoda naturalnego następstwa kary i tutaj znajduje swoje zastosowanie. Naturalną bezpośrednią karą za kradzież przedewszystkiém jest zwrot rzeczy skradzionéj, lub zwrot jéj wartości. Drugą pośrednią karą za przestępstwo tego rodzaju jest poważnie okazane niezadowolnienie rodziców. Tak się też i dzieje po największéj części, albowiem metoda naturalnych następstw jest tak prostą i naturalną, że wielokrotnie przez rozumniejszych wychowańców zastosowywana bywa. To poważnie okazane rodzicielskie niezadowolnienie będzie bardzo skuteczne, ale pod warunkiem, że ciepło stosunku rodzinnego między dziećmi a rodzicami niczém oziębione nie zostało. Wszakże każdy przyzna, że jeśli drugiego okaleczył, to żal będzie uczuwał według stopnia sympatyi, jaką żywi dla okaleczonego.

Rozwinąwszy powyższą zasadę moralnego wychowania, pragniemy jeszcze poświęcić parę słów innym kwestyom i zasadom, które tu w formie przestróg przedstawiamy.

Nie należy oczekiwać od dziecka nigdy wysokiego stopnia doskonałości moralnéj. Albowiem każdy człowiek w pierwszych latach życia przebywa fazę stanu moralnego, który jest właściwy ludom barbarzyńskim. Znany w dzieciach popęd do okrucieństwa tłómaczy się na téj drodze, podobnież chętka do kradzieży i kłamstwa. Fałszywém jest twierdzenie, jakoby dzieci były zupełnie „niewinne;“ chyba niewinność rozumiéć trzeba, gdy mowa o świadomości lub o zamiarze złego, ale nigdy ze względu na skłonności do złego.

Sądzimy, że nietylko nierozsądkiem jest zbyt wielką skalę moralności dla dzieci ustalać, ale również jest nierozsądném podawać zbyt silne podniety dzieciom do dobrego. Wyższe bowiem czynności moralne są zarówno złożone, jak i wyższe czynności umysłowe, a tak jedne jak i drugie powinny w późniejszym wieku dojrzewać. Stąd też pochodzi, że dzieci, które zbyt wiele obiecywały, stają się zwykle żadnymi ludźmi, podczas gdy ludzie wielkiego charakteru powstają z dzieci wcale niezapowiadających przyszłości.

Rozkazami szafować trzeba bardzo oględnie; rozkazywać można wtedy tylko, gdy inne środki chybiły lub nie dały się zastosować. W rozkazach, jakie dzieciom wydają rodzice i panowie nauczyciele, więcéj przebija się chęci samowładnego panowania, aniżeli troskliwości o dobro dziecka. „Najwyższa polityka, mówi Jean Paul, jest *pas trop gouverner*, co stosuje się także do wychowania.“

Jeżeli atoli zajdzie potrzeba rozkazu, to należy dać go stanowczo i bezwzględnie. Albowiem wychowawca słaby, który nieustannie grozi, a nigdy groźby zastosować ani jéj spełnić nie umié, który na poczekaniu stanowi prawa a za chwilę postanowień swych żałuje, który jedno i to samo przestępstwo traktuje raz zbyt surowo, drugi raz łagodnie, unieszczęśliwia siebie i swoich wychowańców.

W takim razie lepsza już jest forma barbarzyńska domowego rygoru, aniżeli ludzka a niekonsekwentna w wykonaniu.

Pamiętajmy zawsze, że celem naszym jest wychować jednostkę taką, którąby sama nad sobą panować umiała a nie stworzenie, któreby przez innych opanowane zostało.

Gdyby zadaniem naszém było wychować dzieci na niewolników, natenczas musielibyśmy je zawczasu do służalstwa wprawiać. Tak jednak nie jest. Nareszcie zanotujmy sobie dobrze w pamięci, że prawdziwa edukacya nie jest wcale rzeczą prostą i łatwą, owszem jest to czynność bardzo skomplikowana i najtrudniejsza z pomiędzy

wszystkich zadań, spełnienie których włożone jest na dorosłych. Nie mówimy o wychowaniu lada jakiém ale o dobrém i rozumném, do którego trzeba się zabrać z odpowiedniém już przygotowaniem: *z nauką, z cierpliwością, ze znajomością samego siebie i z bystrością umysłową*. Trzeba umiéć samemu wynaleść metodę i zastosować ją, trzeba umiéć wyśledzić przyczyny postępowania dziecka, rozróżnić czynności dobre od pozornie dobrych, umiéć ustrzedz się samemu przed porywami gniewu, albo przed przypisywaniom dzieciom uczuć, które miejsca nie mają. Szczególniéj téż, jeśli się ma przed sobą dzieci, które przedtém nierozumnie były wychowywane, trzeba się uzbroić w olbrzymią cierpliwość, wyczekując skutków lepszéj metody. Człowiek wychowujący dzieci pracuje jednocześnie nad udoskonaleniem własném!

Podczas gdy jedni z powątpiewaniem poglądać będą na nasz system, znajdą się i tacy, o czém nie wątpimy, którzy będą tu widzieli wzniosły ideał prawdy, oczekujący urzeczywistnienia. Ale ideał ten nie przyoblecze się w ciało za sprawą ludzi krótkowidzących i małodusznych, wymaga on pewnéj pełni wyższych przymiotów ludzkiéj natury, wymaga pracy i poświęcenia. Jak z powodu złego wychowania w skutkach przejawia się niby przekleństwo, zarówno ciążące na rodzicach, jak na dzieciach, tak znowu błogosławieństwo uwieńcza dobrych wychowańców i tych co dobre wychowanie przyjęli.

Ileż to rodziców najgorętsze pragnienie żywi, aby potomstwo swoje szczęśliwém uczynić przez wychowanie! Niestety, wielu jest rozprawiających i piszących, mało czynnych, działających tak, jak wymagają odwieczne prawa wszechstronnego ludzkiego rozwoju.

IV. Wychowanie fizyczne.

W naszych zgromadzeniach towarzyskich bardzo często słyszéć można rozmowy o chodowaniu wołów, koni, psów i t. d., nigdy jednakże nie zdarzyło nam się słyszéć, aby wymieniano myśli swoje co do zapatrywania się na wychowanie dzieci. Częściéj jeszcze podnoszą te sprawy kobiéty, ale co godność naszych mężów, to już nie pozwala na zajmowanie się takiemi drobnostkami. Na szczęście sprawa wychowania fizycznego zdaje się dojrzéwać; tu i owdzie odzywają się głosy o znaczeniu sił fizycznych, o wartości zdrowia, o potrzebie równowagi ciała i ducha. Czas już, chwała Bogu, aby część tych różnych dobrodziejstw, jakiemi obsypujemy woły i owce, spadła także i na nasze dzieci.

Kiedyś panowało przekonanie, że im więcéj dziecko przyjmuje pokarmu, tém lepiéj jest dla jego organizmu. I dziś się znajdują ludzie, podzielający tę opinią. Większość atoli trzyma za miernością i przechyla się raczéj na stronę niedostatecznego aniżeli zbytniego odżywiania.

Zdaniem naszém błędem jest zarówno przekarmianie, jak i niedożywianie, ale z dwojga złego drugie jest gorsze.

Nie ma się o co spiérać; widzimy, że głód jest dobrym przewodnikiem dla wszelkich stworzeń niższego rzędu; dobrym przewodnikiem jest on także dla niemowlęcia, dla rozmaitych innych ludzkich ras, wreszcie dla każdego człowieka, który prowadzi porządny tryb życia; przeto ten sam głód może być również dobrym przewodnikiem i dla dzieci.

Może ktoś zarzucić nas faktami, które będą w sprzeczności z naszém twierdzeniem. Jednakże w sprzeczności pozornéj, ponieważ wypadki przesycania się dzieci pokarmem są zwykle skutkami ograniczenia w odżywianiu. Jestto reakcya zmysłów, wywołana przez ascetyczne dążności.

Nieraz dziecko, dobrawszy się do łakoci w dzień jakiego święta rodzinnego albo przy pierwszéj lepszéj sposobności, puszcza lejce długo przez wychowanie powstrzymywanym popędom. Wówczas to, gdy złe stąd skutki wynikają, rodzice wnoszą, iż dzieciom nie można pozostawiać swobody w zadawalnianiu apetytu. A jednak zadawalniać go trzeba w sposób naturalny, bo w wychowaniu rozumném nie ma żadnego innego środka. Cóż za wartość ma ten rodzicielski sąd, który się podstawia jako regulator w miejsce naturalnych potrzeb dziecięcego organizmu? Skądże to matka lub guwernantka wié, iż dziecko ma dosyć, gdy mu nie pozwalają jeść więcéj nad przepisaną porcyą? Nam się wydaje, iż tak jedna jak i druga nie wié, że odżywianie ciała zależne jest od licznych a zawikłanych przyczyn, że ma ono związek ze zmianami temperatury, z wilgocią powietrza lub stanem jego elektrycznym; z ilością dokonanéj pracy, z ilością i jakością poprzednio spożytego pokarmu i t. d. Zaprawdę ta pewność, z jaką rodzice dyktują prawa żołądkom swoich dzieci, jest najlepszym dowodem z ich strony zupełnéj nieznajomości fizyologii i tu się sprawdza, że „zarozumiałość z nauki jest skromną w porównaniu z zarozumiałością nieświadomości.“

Zwróćmy się teraz od sprawy ilości do jakości a przekonamy się, że i pod tym względem dzisiejsze wychowanie trzyma się ascetycznego kierunku. Ogólnie bowiem panującém przekonaniem jest, jakoby pokarm zwierzęcy w małéj tylko ilości wypadało podawać dzieciom. Przekonanie to jednak nie wspiéra się na żadnéj podstawie.

Żaden fizyolog nie potwierdzi opinii, że dzieci potrzebują pokarmu mniéj pożywnego niż dorośli.

Przeciwnie nawet potrzeba pożywienia większą jest u chłopca aniżeli u mężczyzny. Jakiż bowiem jest cel odżywiania? Ciało człowieka przy ciągłéj pracy podlega w różnych swoich częściach utracie tkanki komórkowéj, a nadto codziennie zużywa pewną ilość ciepła; tak zaś jedne jak i drugie straty muszą być powetowane przez odżywianie, gdyż w przeciwnym razie organizm człowieka zużyłby się i zaprzestał pełnić funkcyj życiowych.

Ilość pokarmu, przyjętego przez dziecko, musi wystarczyć nietylko na wynagrodzenie strat w tkance komórkowéj i w cieple, ale jeszcze musi pozostać pewna część, która obróconą zostaje na dalsze kształcenie i rozwijanie budowy cielesnéj. Jedynie w razie takiéj przewyżki dobry wzrost jest możliwym u dzieci, w razie przeciwnym organizm zostaje na przyszłość podkopany. Zdawałoby się, że jakość dobrego pokarmu można zastąpić większą ilością gorszego. Pamiętajmy jednakże, iż im mniejszą będzie praca trawienia, tém więcéj sił niezużytych pozostanie na rzecz wzrostu i rozwoju cielesnego.

Czynności żołądka oraz kiszek wymagają współudziału krwi i nerwów, a jeśli pożywienie składa się z dużéj ilości mniéj pożywnych pokarmów, natenczas praca tych czynności będzie znaczniejszą aniżeli przy pożywaniu pokarmów w ilości mniejszéj, ale za to pożywniejszych. W pierwszym razie nadmiar pracy jest stratą, skutki któréj uwidocznią się już w zmniejszonéj energii działania, już w mniejszym fizycznym rozwoju, albo w jednym i drugim. Z tego wynika, iż pokarm dla dzieci powinien być pożywny i strawny.

Jeśli zechcemy porównywać różne gatunki zwierząt lub różne rasy ludzi, albo różnie odżywiane osobniki zwierzęce czy ludzkie, przekonamy się niezawodnie, że stopień energii działania zależy od jakości pożywienia. Dosyć porównać trawożerną krowę lub owcę z dobrze odżywianym na owsie koniem lub z mięsożernym psem i t. d. Dobrze odżywiane narody zawsze były energiczne i panujące. Kto się inaczéj zapatruje na sprawę odżywiania, ten podobnym jest do szukającego *perpetuum mobile*, ten sądzi, że siła z niczego może powstać.

Wystąpimy tu jeszcze przeciw jednemu zakorzenionemu nałogowi, mianowicie przeciw ciągłemu odżywianiu dzieci jednemi potrawami. Codziennie na śniadanie barszcz z kartoflami lub mléko z chlebem i to się czasem przez parę lat nieubłagalnie ciągnie! Cóż robić, kiedy tak chce mama, ciocia, babcia; kiedy tak się wychowywali ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie. Nie o tradycyą tu chodzi, ale o zdrowie dzieci, o zasadę fizyologiczną.

Trudno to o taką potrawę, którąby łączyła w sobie wszystkie elementa wymagalne do prawidłowego odbywania się funkcyj życiowych; przeto częsta zmiana pokarmów potrzebna jest, aby sprowadzić równowagę wszystkich takich elementów. Znanym jest fakt, że ulubiona jakaś potrawa wywiera podnietę na nerwy, co pobudza czynności serca, wywołuje prędszą cyrkulacyą krwi i wspiéra funkcyą trawienia.

Na prawidłach tych wspiéra się teorya nowożytnéj hodowli zwierząt. Nietylko pożądaną jest peryodyczna zmiana pokarmów, ale mięszanie to jest urozmaicanie ich za każdym razem, gdy się posiłek przyjmuje. Ktoby jednakże chciał według naszego planu zmienić dawny zły systemat odżywiania dzieci, radzimy mu zaprowadzać zmianę powoli, bo osłabiony cały organizm dziecka mógłby uledz niebezpiecznéj reakcyi przy zaprowadzeniu nagłéj reformy.

Do naturalnych przewodników życia naszego należy także uczucie ciepła i zimna. Tutaj zaraz musimy oświadczyć, że teorya hartowania dzieci jest czystém złudzeniem. Niejedno dziecko przypłaciło życiem za takie hartowanie, a te co przy życiu zostały pokutują na zdrowiu za nierozsądek wychowawców. Szkockie konie wytrzymują łatwiéj zimno niż wyścigowe rumaki, ale są téż za to karłami, toż samo Lapończycy. Czyżbyśmy także chcieli wytworzyć karłów?

Że zimno źle wpływa na wzrost zwierząt, o tém wié każdy, kto się hodowlą ich zajmuje. Quételet powiada, że w Belgii na jeden wypadek śmierci pomiędzy dziećmi w Lipcu przypada dwa w Styczniu. W Rosyi zaś śmiertelność pomiędzy dziećmi jest przerażająca. Godnym jest u nas istotnie pożałowania widok malców wystawionych na zgubny wpływ zimna przez swoje matki nie dla innéj przyczyny tylko dla mody.

Gdybyż te panie próbę niedorzeczności swojéj odbywały przynajmniéj na własnych osobach. Smutno pomyśléć, że pierwszy lepszy „Dziennik mód" stanowi przepisy, które jedynie umiejętność podać może; smutno pomyśléć, że te matki do takich tylko powag odwołać się umieją! Taka lekkomyślna nieświadomość ma tę pociechę, że skutki jéj wybryków nie zawsze odrazu występują, kończąc się zapaleniem płuc, gardła i t. d., ale niewidzialnie prawie podkopują różne części organizmu, tamując jego rozwój i przyprawiając w wieku późniejszym o śmierć przedwczesną.

Ale Moloch macierzyńskiéj próżności potrzebuje swoich ofiar. Postępowanie podobne powinnoby ze strony ojców pociągnąć energiczną interwencyą.

Oprócz względów pokarmu i odzieży bardzo ważną w wychowaniu fizycznêm jest kwestya swobody ruchów ciała. Zwłaszcza téż biedne dziewczęta cierpią ogromnie w téj mierze; matki bowiem i ochmistrzynie mają to przekonanie, że dziewczyna powinna być wychowaną na niewolnicę. Nie dopuszcza się tutaj najmniejszego wybuchu wesołości, bo to razi przyzwoitość: zresztą karnie wytresowane dziewczyny są takim uległym materyałem w rękach wychowawczyń, które mają drażliwe nerwy na wszelki hałas.

Dlaczego ludzie dorośli lubią się tak uparcie pastwić nad ludźmi niedojrzałymi, to jest istotnie rzeczą zadziwiającą—i dlaczego to całe swoje naturze przeciwne postępowanie mianuje dobroczynnym wpływem wychowania? W rozwijaniu ciała ważną bardzo rolę odgrywają ruchy, ale i na tym punkcie rutyna sztuczna okazała się nieubłaganą w obec natury. Skrępowano najprzód swobodę wszelkich naturalnych ruchów, a po długich w tym względzie rozprawach podstawiono system ruchów sztucznych czyli gimnastykę. Jest to wprawdzie lepsze jak nic, ale zaprzeczamy, aby gimnastyka mogła zastąpić dzieciom ich swobodne igraszki. W téj substytucyi znajdują się niedostatki dwojakiego rodzaju: dodatnie i ujemne. Sztuczne ćwiczenia ruchów muszkularnych nie przedstawiają najprzód takiéj rozmaitości, jaką się spotyka w zwykłych zabawach dzieci, z czego wynika nierówny podział czynności na wszystkie części ciała a co jednocześnie jest przyczyną, iż taka praca pojedynczych części sprowadza rychłe znużenie. Nawiasem zaś dodajemy, że ten nierówny podział przez częste powtarzanie wywołuje nieproporcyonalny rozwój fizyczny. Powtóre niedostateczność gimnastyki widzimy także w małym interesie, jaki ona dla dziatwy przedstawia. Są to formalne lekcye, dające dużo powodów do odstręczenia, choćby dla téj jednéj przyczyny, że jednostajność ruchów musi znudzić. Jedynym bodźcem jest tu współzawodnictwo, to jednakże nie zastąpi żywéj ochoty.

Inny jeszcze zarzut stawia nam gimnastykę niżéj od zwykłéj dziecinnéj zabawy.

Ten sam brak interesu, któryśmy przedstawili jako odstręczający dzieci z powodu swéj jednostajności jest również przyczyną nieznacznego jéj wpływu na ciało. Przyjemna podnieta albowiem ma swoje wysokie znaczenie; pomyślmy tylko, ile przyjemności sprawiają choremu odwiedziny starego przyjaciela lub pomyślne wieści. Dlatego też lekarze ludziom słabowitym zalecają wesołe towarzystwo lub zmianę miejsca, co tak przyjemnie a następnie i zbawiennie oddziaływa na organizm. Krótko mówiąc, uczucie szczęścia przyspiesza krążenie krwi, ułatwia funkcye życiowe a jednocześnie wzmac-

nia nadwerężone zdrowie człowieka. Ta zgiełkliwa radość dzieci wśród zabawy stanowi całą ważność przy kształceniu fizycznego organizmu, na czém zbywa gimnastyce. Kto odmawia chłopcom czy dziewczętom zabaw, do których są popychane przez instynkt, ten odbiéra im ważny środek, jakiego najwyższa mądrość udzieliła dla fizycznego rozwoju człowieka.

Nareszcie powinniśmy zwrócić uwagę na bardzo poważną okoliczność, że generacya nasza jest gorszą fizycznie od poprzednich. Przedwczesne łysiny i wypadanie zębów pomimo życia skromnego w porównaniu z życiem naszych przodków, ogólne zmniejszenie się sił i brak wytrwałości na wszelkie niewygody mogą istotnie smutne wnioski nastręczać co do przyszłości. Przyglądając się pokoleniu wzrastającemu, nabiéramy przeświadczenia, że ono słabszém jeszcze od nas będzie. Co to ma znaczyć, skąd ten upadek bierze źródło?

Mniemamy, iż przyczyną jest tutaj nadmiar pracy umysłowéj. Rzeczywiście młodzież nasza za wiele pracuje umysłowo i to minuje jéj zdrowie. Znamy przykład żywy: pewna dama, córka zdrowych i silnych rodziców, odbyła kursa w szkole prywatnéj, gdzie ją niezmiernie skromnie karmiono a kazano nad miarę pracować; ta dama cierpi obecnie zawroty głowy codziennie się powtarzające; dzieci zaś jéj odziedziczyły już mózg osłabiony i przy najmniejszéj umysłowéj pracy dostają bolu oraz zawrotu głowy. Inna panienka, która niedawno chwalebnie ukończyła nauki, jest ogromnie słabowitą, zaledwie ma siły odbyć krótką przechadzkę, a przy wejściu na schody dostaje zwykle bicia serca. Jakkolwiek nie usiłowaliśmy zbiérać takich przykładów, moglibyśmy ich bardzo dużo przytoczyć. Tu kazano młodzieńcowi na cały rok przerwać nauki, tam inny znowu chronicznie cierpi na mózgowe ataki a wszystko z powodu zbytecznéj pracy umysłowéj. Jeżeli już tyle jest wypadków jawnych, ileż to być musi dopiéro takich, gdzie zło powoli i nieznacznie się wkrada.

Co tu mówić o polepszeniu stanu w obec wykazanéj wadliwości całego wychowania? Jak można nie oczekiwać blednic, osłabień przedtém nieznanych i różnych chorób zwłaszcza u kobiét?

Zdaje się, iż jesteśmy jeszcze dosyć daleko od prawdy, która niezawodnie nie polega na daniu przewagi umysłowi nad ciałem lub odwrotnie, ale na szczęśliwém połączeniu dóbr duchowych z cielesnemi. Obowiązkiem naszym jednak powinno być dążenie do tego, aby ludzkość zarówno troszczyła się o duchowość jak i o ciało, które jest podstawą duchowości. Według tego bowiem jak ludzie obecnie mówią i postępują wydaje się, jak gdyby mieli zupełną wol-

ność wychowywania swych dzieci podług własnych jednostkowych upodobań. Nieposłuszeństwo, którego się oni dopuszczają względem praw natury, pociąga najsmutniejsze następstwa, które spokojnie zaliczane bywają na karb nieszczęśliwych wypadków, a nigdy nie uważają się jako czyny kary godne i obciążające ich w wysokim stopniu. Złe następstwa, jakie wychowawcy sprowadzają na głowy swoich potomków i przyszłych pokoleń, są przecięż przestępstwami nieustępującémi w niczém przekroczeniom, które surowo karzą różne prawodawstwa.

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

KSIĘGA DRUGA.

— Ostatnia stacya, panowie! proszę o bilety!

Reinhold podał swój bilet konduktorowi i spojrzał na swego towarzysza podróży, który, obudzony tém wezwaniem, przeciągnął się, ziewnął i wreszcie podał żądany bilet.

Poprzednio już Reinhold uważnie przypatrywał się śpiącemu, zdawało mu się, że widział go kiedyś, ale nie mógł przypomnieć gdzie i jak; teraz zaś, kiedy nieznajomy obrócił się ku oknu, i światło padło na twarz jego, nagle przypomniało się Reinholdowi inne oblicze o wiele piękniejsze, przyjemniejsze, ale bardzo podobne do tego.

Nieznajomy patrzał na niego także przez chwilę, wreszcie zaczepił pytaniem, i po kilku zamienionych słowach pokazało się, że się spotkali niegdyś pod Orleanem, że młody oficer służył w gwardyi i nazywał się Ottomar von Werben.

Jeżeli serce Reinholda uderzyło radośnie, gdy się dowiedział, że ma brata Elsy przed sobą, ten również nie pozostał obojętnym na jego nazwisko. We wzroku jego był wyraz zdziwienia i ciekawości, kiedy usłyszał, że Reinhold jest Schmidtem i jedzie dla odwiedzenia krewnych swoich w Berlinie.

— Znam stryja pańskiego z widzenia, rzekł Ottomar, mieszkamy obok siebie; mały nasz ogródek przytyka do wielkiego ogrodu p. Ernesta Schmidt'a. To téż, jak się to zwykle w takich razach dzieje, znamy się nie znając—to jest nie znając oficyalnie. Stryja pańskiego znam bardzo dobrze z widzenia, a także i kuzynkę pana.

Czy wiedzą o przyjeździe kolegi? spodziéwasz się pan spotkać z nimi na banhofie?

— Tak, ryzykowne to trochę po dziesięciu latach niewidzenie.

Pociąg się zatrzymał. Młody oficer tak szybko wyskoczył z wagonu, że Reinhold nie miał nawet czasu pożegnać go, niewielką wreszcie na to zwrócił uwagę, ciekawie się zapatrzywszy na różnobarwny tłum, który witał przybyłych. W jednéj z najbliższych grup spostrzegł wysokiego, niemłodego już mężczyznę, którego piękna głowa i wyraz twarzy uderzyły go jakiémś dalekiém wspomnieniem; tak, nie mylił się, był to stryj Ernest!

Ucieszony pośpieszył ku niemu. Stryj poznał go także, wyciągnął do niego rękę, a ściskając dłoń jego bystro patrzył mu w oczy.

— Wykapany ojciec! zawołał nareszcie.

Oczy jego zaszły łzami. Przyciągnął Reinholda ku sobie i mocno, serdecznie przycisnął go do piersi.

Reinhold także czuł się wzruszonym. Nie spodziéwał się takiego przyjęcia po człowieku mającym tak surowy i zimny wyraz twarzy.

— Gdzież jest Ferdynanda? zapytał po chwili.

— Oto właśnie idzie ku nam, odrzekł stryj i poprowadził go ku młodéj osobie, która się zbliżyła do nich w téj chwili.

Ferdynanda piękną była w całém znaczeniu tego słowa; ale niebieskie, melancholijne jéj oczy z jakimś niepewnym wyrazem patrzyły na Reinholda; głos, którym go witała, był obojętny, a uścisk dłoni lekki.

— Ciebie nie byłbym poznał, rzekł do niéj Reinhold.

— Ja ciebie także nie, odpowiedziała.

— A teraz jedźmy, przerwał stryj Ernest i wyprzedził ich o kroków kilka, dążąc w stronę, gdzie stały pojazdy.

Reinhold zamierzał iść za nim i właśnie podawał rękę kuzynce, kiedy niespodzianie stanął przed nim Ottomar Werben.

— Chciałem się pożegnać z kolegą, przemówił.

— Przepraszam pana, aleś tak szybko znikł.

— Będziesz pan łaskaw przedstawić mię?

— Porucznik von Werben—moja kuzynka, panna Ferdynanda Schmidt.

Ferdynanda bardzo etykietalnym ukłonem, jak się zdawało Reinholdowi, odpowiedziała na ukłon młodego człowieka.

Po chwilowéj rozmowie pożegnano się.

Reinhold, widząc niechętny i jak gdyby ponury wyraz twarzy Ferdynandy, sądził, że niezadowolniona była z téj nowo zabranéj znajomości; tłómaczył się więc przed nią, że trudno mu było inaczéj postąpić i że musiał zaprezentować młodego oficera, kiedy ten prosił go o to.

— Obojętną mi to zupełnie jest rzeczą, odpowiedziała; ale ojciec czeka na nas, a wiém że tego nie lubi.

— Kto to był? zapytał stryj Ernest, gdy się do niego zbliżyli.

— Pan Werben, oficer—znajomy z czasów kampanii, przypadkowo spotkałem się z krewnymi jego w drodze.

— Syn jenerała?

— Tak.

Reinhold uczuł drżenie ręki opartéj na jego ramieniu i usłyszał szeptem wypowiedziane słowa: ojciec nienawidzi Werbenów; ja sądzę, jenerała—z czterdziestego ósmego roku jeszcze.

Słowa te wyjaśniły Reinholdowi sztywne zachowanie się Ferdynandy w obec młodego człowieka.

— Ja nie mam żadnéj nienawiści do Werbenów, pomyślał wsiadając do powozu i raz jeszcze przyjaźnie odpowiedział na uprzejmy ukłon Werbena, który zdaleka stojąc pozdrowił go ręką.

Reinhold wiedział oddawna, że stryj jego ma wielką fabrykę marmurowych wyrobów i że mu się nieźle powodzi; teraz zaś, patrząc na wykwintny ubiór Ferdynandy, na pyszny pojazd zaprzężony w dwa ogniste konie, które szybko unosiły ich z dworca kolei, wnioskował, że interesa jego muszą być bardzo dobre, a nawet świetne.

Domysły te stwierdziły się, kiedy stanęli przed pięknym wielkim domem, do którego prowadziły marmurowe schody; stryj sam, prowadząc go przez liczne komnaty, zawiódł do pokoju przeznaczonego dla niego i prosił, by się w nim rozgościł i przebrawszy zeszedł do sali jadalnéj. W całym domu widać było bogactwo, przepych nawet, choć bez wystawy; był nawet gust we wszystkiém, ale zewsząd wiał jakiś chłód, jakaś sztywność nieokreślona.

Ten sam chłód, ta sama sztywność dawała się spostrzegać w stosunkach Ferdynandy z ojcem i ciotki Rikchen z bratem. Siostrę swą, ciotkę Rikchen, jak ją powszechnie nazywano, stryj Ernest traktował z góry, uważając ją, jak gdyby za stare dziecko.

Co do Filipa, brata Ferdynandy, ten się wcale nie pokazał u stołu. Na zapytanie Reinholda, odpowiedziano mu, że Filip bywał

rzadko, a stryj dodał, nigdy. Przy téj wzmiance o synie głos stryja tak był cierpki i ostry, a wyraz twarzy obu kobiét tak niespokojnie wymuszony, że łatwo się było domyśléć, iż w przedmiocie tym była czuła struna, któréj nieprzyjemnego dźwięku wywoływać nie należało.

Wszystkie te okoliczności mogłyby były krępująco wpłynąć na pierwsze chwile pobytu Reinholda w domu stryja, pierwszą niemal rozmowę jego u stołu. Ale stryj Ernest począł go rozpytywać z największém zajęciem o wszystkie wypadki życia jego, zaszłe od czasu, jak się z sobą rozstali. To naturalnie zwróciło powszechną uwagę na inny przedmiot. Reinhold nie szczędził szczegółów; opisywał nietylko koleje losu własnego, ale i kraje, które zwiedził, i miejsca, w których dłużéj przebywał. Stryj Ernest nietylko słuchał opowiadania tego z widoczną przyjemnością, ale wciąż ciekawie rozpytywał o wszystko; ogromny przytém wykazał zasób wiadomości, tak, że Reinhold nie mógł się wydziwić dokładności, z jaką znał wszystkie znaczniejsze miasta, ich stosunki i historyą.

— Cóż chcesz? odpowiedział mu. Nie miałem, jak ty, sposobności zwiedzić i poznać świat. Zamknięty w ciasném kole obowiązku, od dzieciństwa musiałem ciężko pracować na chléb; a kiedym go już zdobył nareszcie, nie pora była wówczas myśléć o podróży. Pozostały mi więc tylko książki, i z nich musiałem się uczyć, jak wielkim i pięknym jest świat nasz.

Kiedy tak mówił, wszystko co było ostrém i cierpkiém w głosie, a ponurém w rysach znikło zupełnie, nie na długo wszakże; po chwili czoło i oczy znowu zaszły chmurą. Zawsze jednak piękna to była, majestatyczna głowa, o siwych włosach i białéj brodzie; piękna była twarz, któréj wyraz zmieniał się co chwila, nigdy jednak nie było w niéj nic płaskiego ani pospolitego.

Reinhold, patrząc na stryja, przypomniał sobie inne oblicze, które widział przed kilku dniami, równie piękną surową twarz jenerała Werbena. Ale tamta nie miała tego ognia, który tutaj pysznie wybuchał niekiedy, niekiedy znowu jak gdyby pod warstwą popiołu tlał tylko i zdawał się grozić.

Groził widocznie już nawet w téj pierwszéj z synowcem rozmowie, ale on nie spostrzegał tego i doszedłszy w ciągu opowiadania swego do wypadków lat ostatnich, zawołał: tak, zerwałem wszystkie stosunki, wszystko rzuciłem i pośpieszyłem na obronę ojczyzny. Poświęciłem jéj wszystkie siły moje i mogę wyznać, że ani chwilę nie zwątpiłem o świętości sprawy, chociaż szata, która ją okrywała, była krwawą i brudną. A kiedy cel został dopięty, wróciłem do mego dawnego zajęcia, do mego okrętu z tém słodkiém uczuciem, żem

spełnił mój obowiązek; z tém przekonaniem, że gdziekolwiek mię odtąd zmienne losy żeglarza zawiodą, wszędzie pod osłoną niemieckiéj bandery znajdę część ojczyzny, z tą pewnością nareszcie, że to, cośmy tak ciężko zdobyli, nie zaginie, i dzieło przez nas zaczęte, przez was dokonaném zostanie, i kiedy wrócę do kraju, na wszystkich twarzach i w sercach wszystkich znajdę radość i pokój.

— Wprawdzie, pod tym ostatnim względem nadzieja mię zawiodła, ale chcę wierzyć, że przypadek tylko zrządził, iż spotkałem tutaj ludzi, którzy zapewne z czysto osobistych pobudek tylko niezadowoleni są z nowego stanu rzeczy. Przytrafiło mi się to nawet bardzo niedawno u hrabiego Golma, gdzie energicznie wypowiedziałem zdanie moje w tym względzie. Szczęśliwy jestem, że tu w domu twoim, drogi stryju, coś walczył za ojczyznę i tak wiele za nią wycierpiał, znajdę zupełne uznanie i zgodny oddźwięk myśli moich i uczuć.

Stryj Ernest słuchał, oparłszy czoło o rękę, teraz podniósł głowę:

— Mylisz się—na wiele rzeczy coś mówił, nie zgadzam się wcale! zawołał. Prawda! walczyłem o ile mogłem: na barykadach w dniach marcowych, na ławkach zgromadzenia narodowego, wszędzie i zawsze o ile mogłem. Nie mówię już o tém, com ucierpiał i czegom doświadczył, kiedy mię z jednéj ławy oskarżonych na drugą przerzucano, a nawet do więzienia wtrącono, to była rzecz naturalna, i lepszych odemnie spotykał tenże los. Ale to była walka! nierówną wprawdzie bronią prowadzona, lecz zawsze walka! A teraz cóż to jest? Istny jarmark i buda tandetna, gdzie tu i owdzie szachrują i strzępki naszéj staréj, pięknéj chorągwi wolności jeden po drugim sprzedają człowiekowi, która ma ich wszystkich w swojéj kieszeni.

Twarz mówiącego jeszcze groźniéj się nachmurzyła, a ciemnoniebieskie oczy rzucały błyskawice.

— Nie przeczę temu, stryju, że w kraju nie zupełnie tak jest jakby należało, ale sam przyznasz, że zdaleka wszystko wygląda inaczéj, lepiéj; nie możesz mi téż brać za złe czci, jaką mam dla tego, któremu bądź co bądź zawdzięczamy szacunek, jakiego teraz używa naród niemiecki w całym świecie.

— Znam tę piosenkę, odrzekł stryj Ernest; chytry ptasznik nuci ją zawsze, gdy chce zwabić więźniów do swéj siatki: kto wywołał 1864, kto 1866, kto 1870? ja! ja! ja!

— A czyż nie ma słuszności?

— Nie, tysiąc razy nie! gwałtownie zawołał stryj Ernest. Czyż ten, kto odrzucił ostatnią warstwę ziemi, ma wyłączne prawo do

skarbu, wydobytego z jéj głębi przez kogoś innego? Czyż to, czego dokonano, byłoby się stało, gdyby przedtém jeszcze tysiące patryotycznych serc i głów nie marzyło o niemieckiéj jedności, dzień i noc nie myślało o wielkości Niemiec, tysiące głów i serc ludzi, których ominęły dotacye i tytuły hrabiów i książąt?!

— Ja myślę, odrzekł Reinhold, że z niemiecką jednością jest tak, jak z innemi wielkiemi rzeczami. Wielu ludzi w myśli swéj płynęło do Indyj zachodnich, w rzeczywistości zaś jeden tylko popłynął i ten odkrył Amerykę.

— Mnie się zdaje, odpowiedział stryj Ernest, że ten, który ją odkrył, nazywał się Kolumb i przez wdzięczność za to wrzucono go do więzienia, umarł w nędzy. Ten, który przyszedł po nim i jego sławę dla siebie zagarnął i którego imieniem nazwano tę część świata, nie wart był rozwiązać rzemyka u obuwia tamtego.

Kończąc te słowa stryj Ernest duszkiem wychylił szklankę wina. Reinhold zauważył, że ręka jego drżała trochę, a wielkie oczy przykrym migotały blaskiem.

Reinhold zwrócił rozmowę na inny przedmiot; stryj Ernest zasępiony słuchał go, lub ostro, szyderczo odpowiadał.

Pewne zniechęcenie opanowało młodego człowieka; czyż mógł się spodziéwać, że na jakiejkolwiek drodze potrafi się z nim porozumiéć? Poglądy stryja tak się różniły z jego poglądami, wszystko bowiem doprowadzał do ostateczności, w niczém żadnego nie chciał zrobić ustępstwa, nawet względem tego, którego przed godziną powitał był tak serdecznie jak ojciec syna.

Reinhold spojrzał na ciotkę Rikchen. Spojrzenie jéj zdawało się mówić: taki on zawsze, nie ma na to rady!

Ferdynanda wciąż roztargnionym wzrokiem spoglądała przed siebie, zdawała się nie uważać nawet, że ciotka szeptała cós do niéj w téj chwili.

Ale stryj Ernest postrzegł to natychmiast, gwałtownie postawił szklankę, którą znowu niósł był do ust, i zawołał:

— Tysiąc razy prosiłem cię Rike, byś zaprzestała obrzydliwego zwyczaju szeptania! O co tam znowu chodzi?

Pomięta twarzyczka ciotki poczerwieniała z oburzenia, ale tonem rezygnacyi i obojętności, jak zwykle w takich razach, odpodziała.

— O nic wcale! Pytałam tylko Ferdynandę, czy Justus nie przyjdzie dziś wieczór?

— Kto to Justus? spytał Reinhold.

— Rike ma zwyczaj nazywać ludzi jak najpoufaléj, odpowiedział stryj Ernest.

— Dlaczegoż nie, jeżeli ci należą prawie do rodziny, odpowiedziała ciotka Rikchen. Justus, czyli jak chce stryj, pan Anders, jestto młody rzeźbiarz.

— Mający trzydzieści kilka lat, dorzucił złośliwie stryj.

— A więc trzydzieści kilka, dokładniéj mówię—33; mieszka zaś u nas od nie wiedzieć jak dawna.

— A ty nie wiész tego, Ferdynando? zapytał stryj.

— Ferdynanda jest właśnie uczennicą jego, mówiła daléj ciotka...

— Ah? odezwał się Reinhold, winszuję.

— Nie ma o czém mówić, odpowiedziała Ferdynanda.

— Jego najlepszą uczennicą, mówiła ciotka, sam mi o tém mówił wczoraj jeszcze, jako téż, że jéj pastuszek bardzo się podobał w komisyi. Ferdynanda bowiem posłała na wystawę pastuszka podług poematu Schillera.

— Uhlanda, ciotko!

— Proszę darować, na nieszczęście nie posiadam nauki, jak inni;—nie wiém już o czém miałam mówić.

— Niewiele na tém stracimy, zamruczał stryj Ernest.

— Mówiłaś, ciotko, o pastuszku Ferdynandy, odezwał się Reinhold. Ciotka spojrzała na niego z wdzięcznością; ale zanim zdołała odpowiedzieć, głos jakiś odezwał się za drzwiami: czy państwo jeszcze u stołu?

— To Justus, zawołała ciotka.

— Dobry wieczór państwu! Przepraszam, że tak późno przychodzę! Pan kapitan Schmidt? Poznałbym pana po podobieństwie familijném, chociażbym nie wiedział, że miałeś dziś przybyć, przyjemnie mi jest poznać pana! Ciotko Rikchen, proszę o szklankę herbaty nic więcéj i to jeżeli jest jeszcze. Jak się ma panna Ferdynanda? Pastuszkowi pani doskonałe wyznaczono miejsce—zaraz w pierwszym pokoju koło okna. Moja głowa w drugim ujdzie jeszcze pomimo niegodziwego światła; ale grupa w trzecim! dostanie mi się od krytyki! Biedni my artyści!

Reinhold z ciekawością przypatrywał się nowo przybyłemu; jego postawa, mowa, żywość, przyjazne i swobodne obejście się dziwnie odbijały od ogólnego nastroju towarzystwa. Wesoło obracał się w tém kole zasępionych twarzy, jak gdyby zasępienia tego nie widział, to téż powoli ustępowało ono przed dobrodusznym uśmiechem i wesołą rozmową artysty. Sam stryj widocznie ulegał wpływowi temu; oblicze jego wypogadzało się stopniowo; stopniowo téż, jak się zdawało, nikł wszelki ślad niezadowolenia i złego humoru w towarzystwie.

Przyjemna powierzchowność Reinholda szczególnie musiała się podobać Justusowi, do niego bowiem najczęściéj zwracał mowę.

— Nie słuchaj pan tylko stryja i nie dawaj się uprzedzać przeciw Berlinowi, mówił mu. Teraz już wszystko u nas idzie dobrze a będzie coraz lepiéj. Mamy bowiem to, czego jedynie brakowało nam dotąd, piéniądze; pan może nie wiesz, że Berlińczyk jest wstanie wszystko zrobić, kiedy ma piéniądze w kieszeni. Berlin zostanie stolicą świata, tak, tak, a co przytém roboty dla artystów, co pracy! na mnie już sama skóra i kości pozostały, a tu mam nowy obstalunek!

— Znowu pomnik zwycięztwa? zapytała ciotka.

— Naturalnie! Trzeba panu wiedzieć, panie kapitanie, że u nas teraz najmniejsza nawet mieścina musi miéć swój pomnik. I rzecz naturalna—każda z nich miała bohatérów swoich; czy zaś było ich sześciu tylko czy sześć tysięcy, to nie należy do rzeczy, jak również zapewne nie należy i to, że z piénię̇dzy, ofiarowanych na owe pomniki, niepodobna jest nic przyzwoitego nawet zrobić.

— I jakże pan rozwiązujesz tę trudność? spytał Reinhold.

— Do jakiejkolwiek staréj figury dorabia nową głowę i Victoria, albo Germania gotowa! wtrącił stryj Ernest.

— Protestuję przeciwko téj obrzydliwéj potwarzy, zawołał rzeźbiarz; raz tylko jeden zrobiłem coś podobnego, i Homera, który już od dosyć dawna stał w pracowni mojéj, spróbowałem przemienić w Germanią.

— I nie udało się? zapytał Reinhold.

— Tego nie można powiedzieć, Germania wspaniale stanęła w Posemukel i błogosławi ojczyznę i wiernych Posemuklerów; cieszę się wszakże, iż obecnością swą uszczęśliwia poczciwych mieszkańców Posemukla nie zaś Berlina.

— Jabym wolał, żeby Germania pozostała była w Berlinie, odezwał się stryj Ernest.

— Dlaczego?

— Stary, czcigodny kadłub, do którego artysta nie przebiérający w środkach dorobił nową, niezupełnie stosującą się do niego głowę, wydaje mi się doskonałym obrazem niemieckiéj jedności; warto, by mu nasi potulni przedstawiciele narodu dobrze i ze wszystkich stron przypatrzyli się.

Justus wybuchnął śmiechem.

— Widzisz pan!—taki to stryj pański! Zazdrość, to jego namiętność! Zazdrości panu Bogu, że stworzył świat;—zazdrości ludziom wszystkiego;—zazdrości mnie każdéj pięknéj figury, zrobionéj

w mojéj pracowni. Zdaje mi się, że wszystko lepiéj niż inni potrafi zrobić; i ma słuszność! Urodził się artystą, tylko—bez rąk. Ma idee wielkie, tytaniczne idee—czasem niewykonalne, ale to nic nie szkodzi, artysta zawsze z nich coś zaczerpnie i o ile może wcieli w swe dzieło. Stryj pański, patrząc na nie, śmiało zawołać może: zupełnie inaczéj myślałem! Znowu, spaczyłeś ideę moję!

Reinholdowi zdawało się, że słowa te nie uraziły wcale stryja, przeciwnie, zdawał się być zadowolniony z pochlebstwa.

— A nowy obstalunek? zapytał.

— O, pyszny obstalunek! Wszystkośmy już ułożyli w komisyi. Szczegółów nie będę opowiadał—stara to historya: podstawa, wieńce nadpisy, insygnia itp. Ale wypukła rzeźba, to sęk! Mam już cały pomysł w głowie,—jak mi się uda, zobaczymy! Już to się nie obejdzie naturalnie bez zarzutu, żem to i owo, u tego lub owego po prostu skradł—ale cóż na to poradzę? w starym naszym świecie skąd wziąć już téj oryginalności? Moja oryginalność zależéć będzie na oryginalnych modelach—a modele te mam doskonałe!

I tak najprzód: odjazd landwerzysty; landwerzysta: to pan, panie kapitanie.

— Ja? zawołał Reinhold zdziwiony.

— A tak, pan—niebo mi zesłało pana, pomyślałem to sobie przed godziną jeszcze. Ale słuchaj pan daléj! Następnie: siwy ojciec, żegnający syna. Justus zniżył głos i wskazał na służącego, który w téj chwili wychodził z pokoju; naturalnie, stary Grollmann ze swemi pysznemi zmarszczkami na wyrazistéj twarzy—wieczny mój model siwych ojców. Drugi obraz: biuro opieki nad ofiarami wojny; kobiety—ciotka Rikchen, przyjmująca dary dla rannych; w jednym kącie Cilli, skubiąca szarpie.

— Piękna myśl, przerwał stryj Ernest.

— Kto to Cilli? spytał Reinhold.

— Anioł, odpowiedział Justus, córka Kreiselsa, pierwszego buchhaltera w fabryce tutejszéj. Kreisels także gra tu rolę swoję, zapisując przynoszone dary. On sam tylko jużby mi zapewnił nieśmiertelność.

Trzeci obraz: scena boju—oficer na koniu, landwerzyści, między nimi nasz kapitan, już podoficer.

Czwarta scena! najpiękniejsze dziewczę miasta niosące wieniec zwycięztwa, naturalnie panna Ferdynanda, jako córka burmistrza. Burmistrz, majestatyczna postać pana Ernesta Schmidta.

— Proszę mię zostawić w spokoju! rzekł stryj Ernest.

— Proszę mi nie przerywać! wołał Justus. Gdzieżbym mógł

znaléść klasyczniejszego przedstawiciela starego, czysto niemieckiego mieszczaństwa.

— Czysto niemieckie mieszczaństwo było republikańskie, zamruczał stryj.

— Tém lepiéj, odpowiedział Justus. Pomnik zwycięztwa jest zarazem pomnikiem pokoju; cóżby nam przyszło po zwycięztwie, gdyby to nie zapewniało pokoju? pokoju na zewnątrz, pokoju na wewnątrz: między stronnictwami! Im wydatniejszy będzie wyraz stronnictw na twarzach moich figur, tém wyraźniejszą się stanie głęboka patryotyczna symbolika dzieła mego. I dlatego trzeba, żeby o sto kroków już można było w moim burmistrzu poznać republikanina, tak jak u dowódzcy pułku wcielonego feudała i wroga demokratów. Tu mam znowu model, klasyczny w swoim rodzaju: jenerała von Werben.

Na te słowa twarz stryja Ernesta nagle się zachmurzyła, Ferdynanda gwałtownie się zaczerwieniła i zaraz potém śmiertelnie zbladła; ciotka Rikchen trwożliwie spojrzała na mówiącego i dawała mu znaki, ale on ich nie spostrzegł i mówił daléj:

— Z wyrazem zaspokojonéj dumy, ale zarazem przezwyciężonego oporu, jak gdyby chciał powiedzieć: wojna między nami skończona na zawsze! jenerał mój podaje rękę memu burmistrzowi, który z męzkiém wzruszeniem ściska ją, jak gdyby mówił: tak powinno być!

— Tak nie powinno być! zagrzmiał stryj Ernest piorunującym głosem:—niech mi ręka uschnie, zanim uścisnę dłoń jego! A ktoby chciał zelżyć mię w taki sposób, chociażby tylko na obrazie, między nim a mną stosunek zerwałby się na zawsze—ot tak!

I chwyciwszy nóż, ciął nim po obrusie, poczém wyrzucił go z ręki i, chwiejąc się, podniósł z krzesła.

Ale w téjże chwili wyprostował się i z przymuszonym spokojem powiedział: Zadługośmy siedzieli u stołu; krew bije do głowy. Dobréj nocy ci Reinholdzie, do jutra rano! Dobréj nocy wszystkim! I opuścił salę.

Z szeroko otwartemi oczami, zadziwiony jak dziecko, rzeźbiarz spoglądał po kolei na wszystkich.

— Mój Boże, co to się stało? zawołał nareszcie.

W téj chwili Ferdynanda śmiertelnie blada podniosła się z miejsca, ale natychmiast bezwładnie osunęła się znowu na krzesło, i piękna jéj głowa opadła na poręcz.

Rzucono się na ratunek—przywołano pokojową i chwilowe zamięszanie powstało na sali.

Reinhold, uważając przytém obecność swoję za zbyteczną, uprowadził Justusa, który wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie ze zdziwienia.

— Ale powiedzcież mi przynajmniéj, co to jest? wciąż pytał.

— Sądziłem właśnie, że od pana się dowiem o tém, odpowiedział Reinhold; wiém tylko, że stryj nienawidzi jenerała—z 48 r. podobno; musiało coś zajść wówczas między nimi.

— Tak! teraz sobie przypominam! Ciotka Rikchen wspominała mi o tém kiedyś; ale któżby się był domyślił, że zrobi z tego taką historyą! Odwiedź mię pan jutro, obszerniéj pomówimy o tém. Długo tu pan zabawisz?

— Miałem ten zamiar; ale po dzisiejszéj scenie.

— Eh! nie trzeba tego brać tak na seryo; to już nie pierwszy raz—przyzwyczajeni do tego jesteśmy po trosze—on sam jutro już ani słowa z tego pamiętać nie będzie. Pomimo to najlepszy człowiek. Dobréj nocy! do widzenia!

Reinhold udał się do swego pokoju; księżyc oświecał go dostatecznie, nie palił więc świécy i zamyślony stanął u otwartego okna, wychodzącego na ogród.

Dumał o przykréj scenie, przypisywał ją jednak znacznéj ilości wina, którą stryj Ernest wypił w ciągu wieczerzy—ale nie miał już wątpliwości, że słowa Ferdynandy, wyrzeczone przy spotkaniu we dworcu kolei, były rzeczywistością. Mimowoli przyszła mu na myśl smutna historya Montechich i Capulettich—i tu ściana ogrodowa przedzielała dwa nieprzyjazne sobie domy.

Tak, Justus miał słuszność,—Ferdynanda była piękną, „najpiękniejszą dziewicą miasta“—ale brakło życia, brakło gry w jéj fizyognomii. Wydała mu się inną podczas sceny przedstawienia na dworcu kolei—a teraz tak martwą, tak obojętną miała twarz. Czyżby w téj pięknéj głowie miały być pustki?

Bieg myśli jego przerwało w téj chwili ukazanie się postaci kobiecéj, powoli kroczącéj po ścieżkach ogrodu. Przy wielkiéj odległości nie mógł rozpoznać osoby; to ukazywała się, to znikała wśród długich cieni drzew—wreszcie stanęła przy saméj ścianie sąsiedniego ogrodu. Zdawało się nawet Reinholdowi, że oparła głowę o mur i stała tak przez minut kilka—potém pochyliła się i podniosła coś z ziemi—coś, co w świetle księżycowém białawo zaświéciło i co po chwili skryła gdzieś koło siebie. Potém znowu się przechadzała powoli, wreszcie zbliżyła się ku oknom Reinholda tak, że ten poznał w niéj już teraz wyraźnie Ferdynandę.

Bezwiednym ruchem cofnął się w głąb pokoju. Julia i Romeo znowu stanęli mu w pamięci; po chwili wszakże pomyślał sobie: cóż

w tém dziwnego, że chodzi po ogrodzie?—chce się uspokoić i przyjść do siebie na świeżém powietrzu. Oparła się o ścianę, może zrobiło się jéj słabo—i chustkę upuściła wówczas, a potém podniosła ją; powinienem był pośpieszyć jéj na pomoc a nie stać tutaj spokojnie i patrzéć na to—aż mi wstyd prawdziwie!

Nazajutrz rano wszedłszy do sali jadalnéj, zastał tam tylko ciotkę Rikchen, oczekującą na niego z kawą.

Głęboko zamyślona szybko poruszała drutami roboty, którą wiecznie w rękach trzymała. Pomięta jéj twarzyczka nosiła zawsze piętno rozdrażnienia nerwowego, okulary wciąż się zsuwały z nosa, zwłaszcza przy żywszéj rozmowie tak, że się czasem zatrzymywały dopiéro na samym jego końcu, co dziwny wyraz nadawało szarym oczkom, niespokojnie, jak gdyby bojaźliwie biegającym. Oczy te często napełniały się łzami, ale te znikały szybko pod naciskiem woli, przyzwyczajonéj już widać do poskramiania wszelkich zewnętrznych objawów uczuć.

Rada, że mogła sam na sam pomówić z Reinholdem, powitała go serdecznie i ze wzruszeniem wspomniała o podobieństwie jego z ojcem. Natychmiast wszakże zwróciła rozmowę na stryja Ernesta; gradem posypały się skargi na jego tyranią względem wszystkich domowych, na złe, surowe obchodzenie się z nią samą, a wreszcie na lekceważenie, z jakiém patrzy tak na nią, jak na wszystkich, co nie posiadają nauki, którą on sam dla siebie zdobył.

— A dlaczegóż z taką zawiścią usuwa przed nami wszystko coby mogło nas nauczyć! I skądże człowiek może wiedzieć, czy Timbuktu—czy jak się tam zowie—miastem jest, rybą lub ptakiem, kiedy nie wolno mu tknąć ani książki, ani gazety!

Gwałtownie także oburzała się na obojętność stryja względem Ferdynandy a surowość, niczém w jéj oczach nieusprawiedliwioną, względem Filipa.

Reinhold chciał dokładnie się dowiedziéć o rodzaju stosunku, jaki zachodził pomiędzy ojcem a synem, a raczéj o przyczynie zerwania tego stosunku, ale ciotka Rikchen wyraźnie sama nie rozumiała głębszych tego powodów; bo że Filip zdobył sobie bogactwo i niezależność, że właśnie budował dla siebie przepyszny pałac, na który łożył ogromne sumy, to w jéj oczach nie mogło wcale służyć za najmniejszą przyczynę poróżnienia.

To téż ostro powstała na Reinholda, kiedy ten rzucił jéj pytanie, na które nie umiała odpowiedziéć.

— Jakim sposobem Filip dorobił się tak wielkiego majątku?

— Przecięż ani zabił, ani okradł nikogo, więc czegóż chcą od niego?

Osobiście wdzięczną była synowcowi za jego przyjazne obejście się z nią i naiwnie zachwycała się nad dowodem dobroci, kiedy niedawno pytał ją, czy nie potrzebuje piéniędzy.

— A człowiek, który spotkawszy starą ciotkę na jednéj z pierwszych ulic miasta, z własnego popędu ofiaruje jéj piéniądze których wreszcie ona wcale nie potrzebuje, nie może być ani złoczyńcą, ani mordercą! dokończyła z zapałem.

Dla poczciwéj starowiny wszystkie te familijne zatargi były widocznie przyczyną bolu serdecznego; nie umiała pogodzić miłości swojéj, czci niemal dla wszystkich, co nosili nazwisko Schmidtów, z zarzutami, które musiała każdemu z nich robić.

Pomimo wszystkiego, co ją gniéwało i oburzało w stryju Erneście, gorąco go widać kochała, bo usprawiedliwiających słów Reinholda słuchała z wdzięcznością i radością niemal. Nie taiła też serdecznéj troski, jaką w niéj wzbudzała zbyteczna ilość wina, którą brat wypijał.

Cała ta rozmowa, któréj towarzyszyły wybuchy łez, oburzenia, a wreszcie drażniący ruch stukających drutów, znużyła Reinholda, to też odetchnął głęboko, znalazłszy się w ogrodzie.

Tu słońce świeciło jak jasno, a tam nocne widma snuły się wciąż. Co za smutny los biednéj kobiety—wiecznie się skarżyć, zawsze i wszędzie upatrywać zdradę, nieszczęście i nigdy nie widziéć piękności, spokoju, harmonii świata. Czyż ludzie są ślepi—tak jak ta oto dziewczyna?!

Wzdłuż kraty żelaznéj, oddzielającéj dziedziniec od ogrodu, szła młoda dziewczyna. Równemi krokami posuwała się powoli, prawą ręką zlekka dotykając drążków kraty, w lewéj niosąc na talerzu parę kromek chleba. Zbliżając się do nizkiego zabudowania, ku któremu dążyła, podniosła oczy, ale oślepiający blask słońca nie uczynił widocznie żadnego na nich wrażenia—nie spuściła powiek. Szeroko otwarte, niebieskie źrenice patrzyły wprost i jak kwiat otwartym kielichem śmiało zwracały się ku słońcu. Czyste rysy twarzyczki miały wyraz słodki, dziecinny; popielato-blond włosy w długich warkoczach spływały aż do ziemi prawie.

W téj chwili z nizkiego domu wyszedł naprzeciw niéj stary, małego wzrostu mężczyzna i, zbliżywszy się do dziewczęcia, pocałował je w głowę. Wziął z talerzyka kromkę chleba i jedząc powoli, drugą ręką gładził śliczne włosy;—czasem przemówił słów parę—dziewczę się uśmiéchało słodko i wesoło odpowiadało. Śniadanie prędko

się skończyło—stary jegomość raz jeszcze pocałował córkę w czoło,—potém stanąwszy we drzwiach domu, znowu kiwnął do niéj głową, ona takimże ruchem mu odpowiedziała, zupełnie tak, jak gdyby wszystko widziała,—wreszcie odwróciła się i powoli, dotykając znowu prętów kraty, zaczęła wracać tąż drogą, którą była przyszła.

Reinhold nie mógł oderwać oczu od tego obrazka. Nieruchomie stojąc, śledził wszystkie ruchy dziewczęcia, w którém się z łatwością domyślił ślepéj Cilli, biednéj córki starego jegomości, pana Kreiselsa, który pracował u stryja jego jako buchhalter.

Cilli posuwała się powoli, jak gdyby jakieś widzenie senne, wreszcie zatrzymała się przy krzewie głogu, rosnącego z drugiéj strony kraty; ostra gałąź uczepiła się białego fartuszka dziewczyny i pomimo jéj usiłowań nie chciała go puścić.

Reinhold szybko podbiegł ku niéj.

— Niech mi pani pozwoli, zawołał.

Zdaleka jeszcze słysząc go nadchodzącego, dziewczę zwróciło głowę w jego stronę; posłyszawszy zaś te słowa, zaczerwieniło się lekko. Nie było w tém wszakże widać ani zakłopotania, ani przestrachu.

— Dziękuję panu, panie kapitanie, odpowiedziała.

Słodki dźwięk głosu doskonale harmonizował z dziecinno wesołym śmiechem, który towarzyszył tym słowom.

— Skądże pani wiész, kto ja jestem? spytał Reinhold, pochylając się i uwalniając fartuszek od ciernia.

— Od tego, który panu powiedział, że ja się nazywam Cilli i jestem ślepa—od Justusa.

— Pozwolisz mi pani odprowadzić siebie do domu, panno Cilli.

— Bezpiecznie chodzę sama, ale jeżeliś pan tak dobry!

Wyciągnęła ku niemu małą, białą rączkę, któréj Reinhold dotknął z pewnym rodzajem uszanowania.

— Zupełnie tak jak powiedział, szepnęła jakby do siebie: mocna i męzka—dobra, wierna ręka.

— Czy pan Anders powiedział pani i to także?

— Tak, ale i ręka pańska to samoby mi była powiedziała, znam się na rękach. Justusa dłoń nie jest tak silna, chociaż dużo pracuje; ale także jest dobra.

— I tak wierna?

Cilli potrzęsła głową i dźwięcznie, cicho się zaśmiała.

— O nie, nie tak wierna! On nie może być wiernym, żaden artysta nie może być wiernym. On może mieć jednę gwiazdę tylko, swój ideał; za nim musi iść wciąż, jak królowie, idący za gwiazdą do

Betlehemu. I musi być wolny—jak ptak na gałęzi—przychodzić i odchodzić, bujać i latać, i śpiewać jak mu serce każe.

Tu stanęli przed domem, gdzie Cilli mieszkała. Końce paluszków swych oparła o słupy żelazne, któremi kończyła się krata i podniosła twarz, na której był wyraz marzenia.

— Chciałabym być artystą, przemówiła, ale jeszcze więcéj pragnęłabym być marynarzem. Dziwne czasem sny miewam, zdaje mi się, że z szeroko rozpiętemi skrzydłami bujam ponad ziemią. Podemną zielone łąki, ciemne lasy i pola, pokryte żółtym kłosem; srebrzyste strumienie pędzą z gór i zlewają się w wartkie potoki, migające na słońcu, które się coraz bardziéj zniża na horyzoncie. Im więcéj się ono pochyla, i czerwona, coraz czerwieńsza łuna odbija w falach potoku i na wieżyczkach katedry, tém większy uczuwam niepokój, że nastanie ciemność; zanim ujrzę to, czego nie znam, a co wiém, że jest pięknėm, wielkiém, wspaniałém. I w chwili, kiedy słońce już, już ma zniknąć, spostrzegam ogromne, niezmierzone morze! Co wówczas uczuwam, tego opisać nie potrafię; ale myślę, że uczuwać to muszą umarli, którzy do wiecznéj wchodzą chwały, albo wielcy ludzie, którzy dokonali na ziemi wielkiego dzieła, mającego zapewnić im nieśmiertelność.

Para jaskółek ćwierkając przeleciała w téj chwili nad głowami stojących, ślepa podniosła oczy.

— Te latają nad morzem, ja nie; ja nie ujrzę go nigdy! nigdy!

Po raz pierwszy oblicze Cilli zasępiło się, ale natychmiast rozjaśniło znowu.

— Niewdzięczna jestem, nieprawdaż? Jak wielu ludzi nie widzi nigdy morza nawet we śnie, jak ja, dzisiejszéj jeszcze nocy. Wczoraj wieczór Justus zaszedł do nas i mówił, że poznał pana; opowiadałeś pan o wielkich podróżach, któreś odbył, i mnie opowiész je pan, nieprawdaż?

— Z pewnością—odpowiedział Reinhold. Ja sądzę, że sny pani piękniejsze są, o wiele piękniejsze od tego wszystkiego, cobym mógł opowiedzieć.

Cilli potrzęsła głową.

— Dziwna rzecz! ojciec mówi to zawsze i Justus także, który przecież jest artystą, i pan o to, któryś zwiedził świat cały! Ja, nie mrużąc oczu, mogę patrzéć na słońce, wy przed jego wspaniałém światłem musicie zamykać swoje. Ja—ja nie mogę nigdy widzieć miłego uśmiechu kochanego ojca, ani twarzy ludzi, których kocham. Jakże świat mój może być milszym i piękniejszym od waszego? Mówicie tak zapewne dlatego tylko, by mię nie zasmucać. Tego nie powinniście się obawiać. Ja nikomu nie zazdroszczę: z całego serca

życzę szczęścia każdemu—każdemu! a témbardziéj ludziom, którzy tak dobrzy są dla mnie, jak ojciec i kochany Justus! Ale jak zacznę mówić, to już nie ma końca, nieprawdaż? i zatrzymuję pana tak długo, kiedy masz tyle ważniejszych rzeczy do zrobienia! Do widzenia!

Lekko uścisnęła rękę jego i posunęła się ku drzwiom, ale tu znowu stanęła i powiedziała:

— Czyż Justus nie miał słuszności, kiedy powiedział, żeś pan dobry! Nie zaśmiałeś się, kiedym rzekła: do widzenia!

Raz jeszcze, stojąc na progu, skinęła głową i weszła do domu.

Reinhold nie zaśmiał się, ale po zniknięciu anielskiéj istoty, potarł ręką oczy.

I zdawało ci się, że umiész kochać! szepnął do siebie. Czémże są nasze najczystsze, najświętsze uczucia w porównaniu z czystością i dobrocią serca téj biednéj ślepéj dziewczyny, która tak, jak lilije na polu rosnące, nie wié nawet o piękności swojéj? Jakim cudem ten wdzięczny kwiatek mógł rozwinąć się tutaj?!

I obejrzał się dokoła. Przez otwarte, nieopodal znajdujące się szerokie wrota rzucił okiem w stronę warsztatów. Na pierwszém podwórzu stały i białe krzyże i nagrobki, jedne wykończone, drugie zaledwie rozpoczęte.

Reinhold wzdrygnął się na tak smutny i ponury widok w chwili, kiedy wyobraźnia młodéj dziewczyny ukazała mu tak piękny, tak wesoły świat.

Spytał robotników o stryja; nie umiano mu powiedziéć, gdzie się znajduje. Na los szczęścia, szukając pracowni Andersa, zapukał do pierwszych drzwi, jakie ujrzał przed sobą. Nie odpowiedziano mu najprzód wcale, wreszcie drzwi się nawpół otworzyły, i ukazała się w nich młoda i piękna twarz z czarnemi błyszczącemi oczyma.

— Pan Anders jest w mieszkaniu swojém, trzecie drzwi stąd.

Słowa te wyrzeczone były głosem złego humoru i akcentem, który zdradzał cudzoziemca.

— Ale pan Anders wybiéra się na wystawę i teraz się ubiéra, dodał.

— Nie wiész pan, czy panna Schmidt jest w swojéj pracowni?

Pytania te wyczerpały, jak się zdawało, cierpliwość młodego człowieka. Czarne oczy złowrogo błysnęły; wierzchnia wargą zadrżała tak, że na chwilę białe zęby zaświeciły z pod niéj.

— Non lo so! zawołał gwałtownie i trzasnął drzwiami, mrucząc coś daléj po włosku.

Reinhold postanowił odszukać najprzód stryja. Robotnicy, których zapytywał o niego, nie umieli mu powiedzieć dokładnie, gdzie

się znajduje. Idąc za mylnemi ich wskazówkami, krążył po warsztatach, zatrzymując się tu i owdzie i z ciekawością przyglądając wszystkiemu.

W istocie ciekawe to było do widzenia: mnóstwo ludzi uwijało się po rozmaitych częściach fabryki; ogromne stosy marmurów leżały na podwórzach; w jednych zabudowaniach były maszyny do rżnięcia, w drugich do toczenia, w innych znowu znajdowały się szlifiarnie; tu były roboty grubsze, tam delikatniejsze; świst, huk, turkot zagłuszały wszystko.

Reinhold zwiedził trzy warsztaty, do trzech innych zajrzał tylko. Jakież kapitały musiały leżéć w tych ogromnych budynkach, w skomplikowanych maszynach, w ilości obrobionego już marmuru, w ogromnych bryłach surowego jeszcze materyału! I wszystko to stworzył jeden człowiek! Człowiek, który za młodu miał za cały majątek łódkę tylko, w któréj z ojcem krążył po Hawelu i Szprei, a dopiéro po śmierci starego rozpoczął handel cegłą i piaskowcem i przed dziesięciu laty jeszcze mieszkał w małym niskim domku! Jakiéj pracy i energii, jakiéj inteligencyi trzeba było, by dojść do takiego rezultatu i z niczego prawie utworzyć świat cały! I cóż dziwnego, że człowiek, który dokonał dzieła takiego, podnosił czoło swe wyżéj, niż inni? Co dziwnego, że czoło to tak często pokrywało się chmurą?

Reinhold nie domyślał się nawet, że właśnie w chwili, kiedy tak rozmyślał nad siłą charakteru stryja, ten przechodził przez ciężką próbę, w któréj musiał rozwinąć całą swą energią. Z zasady przeciwny nowszym poglądom społecznym, oddawna już obwieścił był swoim robotnikom, że nie zniesie tego, by ktorykolwiek z nich należał do jakiego socyalistycznego związku, że żaden przeto członek takowego nie może mieć u niego zatrudnienia. Tymczasem przed tygodniem jeszcze pokazało się, że byli między robotnikami tacy związkowi. Stryj Ernest pozostawił im tydzień czasu do namysłu, to jest do zrzeczenia się albo stowarzyszenia, albo miejsca w fabryce jego. Termin upłynął wczoraj jeszcze, a że się nie zdecydowali ustąpić ze związku, i pomimo to inspektor fabryki zatrzymał ich przy robocie, stryj Ernest przeto natychmiast wypowiedział służbę temu ostatniemu za nieposłuszeństwo, tamtych zaś kazał odprawić. Sprawę tę załatwił w obec wszystkich robotników, których było około dwustu: zbiegli się oni na odgłos dzwonka i otoczyli stryja Ernesta; ten ze spokojem i siłą dopełnił tego, co uważał za obowiązek względem przekonań swoich. Przypomniał im warunki umowy i wzajemne zobowiązanie się; pytał, czy który z nich ma mu cokolwiek do za-

rzucenia pod tym względem, i ponownie oświadczył, że bezwarunkowo trzymać się będzie tego, co już poprzednio zapowiedział im.

Robotnicy słuchali tego wszystkiego w ponurém milczeniu; ale po chwili zaczęły się tworzyć gromadki naradzających się między sobą, narady stawały się coraz głośniejsze, gesta groźniejsze; wreszcie większa część robotników oświadczyła, że podziela przekonania tych, których odprawiano.

Stryj Ernest konsekwentnie trzymał się drogi, którą raz był obrał, i wszystkim kazał opuścić fabrykę.

Na to wszakże wybuchła burza; widocznie, że byli przywódzcy pomiędzy zbuntowanymi; próbowali oni stawić czoło swemu pryncypałowi, ale ten silnie się trzymał stanowiska swego, żądając tylko dotrzymania umowy, do któréj nikt ich nie zmuszał, i któréj on ze swojéj strony ściśle dopełniał.

Kiedy jednak tłum nie ustępował, ale wciąż się burzył i miotał, stryj Ernest z rozpłomienioną twarzą i oczami błyskającemi poskoczył ku niemu i, posługując się prawem właściciela, piorunującym głosem kazał im rozejść się na swoje miejsca a za pół godziny przyjść po zapłatę.

Tłum się zachwiał, rozstąpił; gromadki się rozsypały.

Stryj Ernest zwrócił się ku Reinholdowi, który nadszedł był na sam początek téj sceny i stanął obok stryja, zamierzając go osłonić w razie niebezpieczeństwa:

— Możesz być spokojny, wszystko wróci do porządku; dziękuję ci, mój chłopcze! Ja pójdę do siebie. Idź do Ferdynandy, mieliście jechać z nią na wystawę.

Reinhold zawahał się, na wszelki wypadek wolałby być przy stryju; ale ten wyraźnie tego nie chciał, udał się więc do pracowni kuzynki.

Młody człowiek, który tak niegrzeczną dał był odprawę Reinholdowi, pytającemu o Andersa i Ferdynandę, gwałtownie zamknąwszy przed nim drzwi, pogroził pięścią i w rodowitym swym języku siarczyście zaklął. Na wpół tylko ubrany, zniecierpliwił się widocznie tém, że mu przerwano tak ważne około stroju zajęcie; nie pośpieszył wszakże z ukończeniem jego po odejściu natręta, przeciwnie, stanął zamyślony na środku wielkiéj pracowni, w któréj się znajdował i z palcem na ustach patrzał wytężonym wzrokiem na drzwi, prowadzące do sąsiedniéj pracowni. Zupełna cisza panowała dokoła. Po chwili, skradając się jak kot, zbliżył się do tych drzwi i, przyłożywszy do nich ucha, podsłuchiwał czas jakiś.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił ciemną twarz jego. Odetchnął głęboko i cichutko cofnąwszy się, po kręconych wschodkach dostał się do swego pokoju, który był opuścił, usłyszawszy pukanie Reinholda.

Wkrótce zszedł znowu na dół, ale teraz nie skrywając się już wcale; głośniéj nawet niż trzeba było chodził i pogwizdywał sobie. Przystąpiwszy do pięknego weneckiego lustra, które stało w pracowni, z upodobaniem przyglądał się pięknéj swéj postaci i wykwintnemu ubiorowi. Gwizdał przytém coraz ciszéj, wreszcie przysunął się znowu do sąsiednich drzwi i, stanąwszy na małym stołeczku, przyłożył oko do malutkiej szparki, którą umyślnie zrobił był delikatnym świderkiem. Kiedy tak się przez otwór pilnie wpatrywał, krew oblała ciemne policzki jego, z zachwytem szepnął do siebie: O bellissima! i gorącym pocałunkiem dotknął drzewa.

Nagle zeskoczył leciuchno i stanął przed nawpół ukończoną marmurową figurą, a jednocześnie prawie z drugiéj strony drzwi, od których właśnie odstąpił, zapukano: Signor Antonio! dał się słyszéć głos kobiéty.

— Signora! odpowiedział ze swego miejsca młody człowiek.

— Czy nie możesz pan tu przyjść na chwilę?

— Natychmiast, signora.

I podbiegł do drzwi, od których w téj chwili odsunięto rygiel.

— Jakżeś się pan ustroił, Signor Antonio, rzekła Ferdynanda z uśmiechem, patrząc na młodego człowieka, wchodzącego do jéj pracowni.

Czarne oczy Antonia namiętném spojrzeniem objęły postać młodéj dziewczyny, któréj skromna codzienna suknia nic nie ujmowała piękności.

— Pani nie potrzebujesz się stroić, zawsześ piękna, odpowiedział.

— Potrzebuję pańskiéj pomocy. Mój model nie przyszedł dzisiaj, i chciałabym, żebyś mi go pan zastąpił—piękniejsze nawet masz pan od niego oczy—proszę tam stanąć — na chwilę tylko.

Uśmiech zadowolnionéj próżności przemknął po pięknéj twarzy młodzieńca. Natychmiast stanął na wskazaném sobie miejscu.

Ferdynanda zaczęła pracować, ale widocznie nie śpieszyła się wcale. Przyzwała cię, bo ma ci coś do powiedzenia, pomyślał Antonio.

— Gdzie byłeś pan wczoraj wieczór? zapytała.

— W moim klubie, Signora.

— O któréj wróciłeś pan do domu?

— O pierwszéj, ma perchè?

Ferdynanda odwróciła się do stolika, na którym zaczęła szukać czegoś.

— Tak tylko pytam, odrzekła. Myśmy się także późno położyli. Przyjechał kuzyn nasz, długo rozmawiano i palono, okropnego bolu głowy dostałam i z godzinę jeszcze potém chodziłam po ogrodzie.

Gdy to mówiła, dziwne myśli krążyły po głowie młodzieńca, serce mu gwałtownie uderzyło, gdyby—gdyby spotkał ją tak nocą w ogrodzie, co powiedziałby, co zrobił?

Zaciemniło mu się w oczach, zakrył ją ręką, którą, jako model, powinien był trzymać nad czołem.

— Co panu jest? zapytała Ferdynanda.

— Co mi jest? szepnął, co mi jest? Ho—non lo so neppur io: una febbre che mi divora, ho, che il sangue mi abbrucia, che il cervello mi si spezza; ho in fine, che non ne posso piu, che sono stanco di questa vità!

Gwałtowny ten wybuch zmięszał Ferdynandę, usiłowała zachować krew zimną, drżała jednak od stóp do głowy i niepewnym głosem zaledwie po chwili zdobyła się na odpowiedź.

— Wiész pan dobrze, że nie rozumiem, kiedy tak szybko mówisz.

— Zrozumiałaś mię, szepnął z cicha.

— Zrozumiałam to tylko, co i bez tego wiedziałam już, że „gorączka cię trawi, że krew cię dusi, że mózg ci pęknie, że dość już takiego masz życia“ co znaczy po niemiecku, żeś wczoraj za długo był w klubie swoim, za wieleś marzył o pięknych Włoszech, a przytém za wieleś włoskiego wina wypił.

Na białém czole młodzieńca żyły nabrzmiały. Chwycił się za piersi, gdzie zwykle nosił sztylet, w téj chwili nie miał go przy sobie. Błędnym wzrokiem powiódł dokoła, jak gdyby szukał broni.

— Chcesz mię zamordować? zapytała Ferdynanda.

Ręce mu opadły i konwulsyjnie zacisnęły się; strumień łez wytrysnął z oczu. Padł na kolana i zawołał:

— Perdonatemi! Ferdinanda, l'ho amata dal primo giorno che l'ho veduta, ed adesso—ach adesso.

— Wiém o tém, biédny Antonio i dlatego przebaczam ci, jeszcze raz, raz ostatni! Gdyby się ta scena powtórzyła jeszcze kiedy, powiedziałabym o tém ojcu, i byłbyś wydalony z domu. A teraz, Signor Antonio, powstań.

Wyciągnęła do niego rękę, którą on wciąż klęcząc, do ust i czoła przyciskał.

— Antonio! Antonio! wołał na dworze głos Justusa, i jednocześnie zapukano do drzwi pracowni, prowadzących na dziedziniec.

— Czy nie ma tu Antonia, zapytał Justus, wchodząc. Jeszcze pani pracujesz? Zdaje mi się, żeśmy mieli z kuzynem pani iść na wystawę?

— Czekam właśnie na niego; tymczasem idźcie panowie sami, spotkamy się w sali snycerstwa.

— A zatém do widzenia.

Drzwi się zamknęły, odgłos kroków przycichł, wreszcie ustał zupełnie, Ferdynanda nie ruszyła się z miejsca.

— Miło być tak kochaną, szepnęła, miło ale niebezpiecznie zarazem! Śledzi mię na każdym kroku, ale zdaje się, że w istocie nie był wczoraj wieczór w domu, nie wié jeszcze, że już się na nic nie odważam, kiedy on jest blizko.

Usunęła się na krzesło, wydobyła z zanadrza list, który wczoraj wieczór rzucono jéj przez mur ogrodowy. Umiała go już na pamięć, ale lubiła patrzéć na litery, kréślone ukochaną ręką.

„Dla czego nie postarałaś się zawiadomić mię, że będziecie na dworcu kolejowym? Mogłaś bezpiecznie napisać o tém do Schönau; przypadek tylko zrządził, żem przyjechał tym pociągiem, przypadek żem w drodze poznał kuzyna twego. Cóż daléj poczniemy? jakże wreszcie w tém smutném położeniu utrzymać się potrafimy, jeżeli wszystko zdamy na przypadek? jeżeli własną śmiałością nie zdobędziemy sobie szczęścia u zawistnego losu? Spodziéwam się, że teraz pójdzie cokolwiek lepiéj. Kuzyn twój, jak mi sam opowiadał, i jak mi siostra mówiła, zaznajomił się z nimi w drodze i niejednę usługę oddał towarzystwu, które razem z ojcem podróżowało. Siostra moja mówi o nim z wielkim zapałem i zapewnia, że i ojcu podobał się także bardzo. Zapewne przyjdzie przedstawić się ojcu, a jeżeli nie, to ja sam przyjdę podziękować „koledze“ za usługę oddaną moim, z polecenia Elsy i ojca, albo i bez polecenia. Zawsze to będzie początek, korzystny dla nas, témbardziéj, że kuzyn twój zdaje się być człowiekiem, dla którego nie trzeba robić wiele zachodu. Postaraj się tylko w dobrych być z nim stosunkach i chodź z nim na spacery, koncerta, widowiska, wystawy sztuk—à propos! każ siebie dzisiaj—doskonały pomysł!—zaprowadzić na wystawę! Do południa tylko jestem na służbie, a zatém namówię również Elsę, by zemną poszła na wystawę. Przy téj sposobności zaznajomię was wzajemnie, mogę już teraz to zrobić, ponieważ wczoraj zostałem oficyalnie przed-

stawiony ci. A więc licz na to z pewnością. Piszę te słowa pośpiesznie, jak zwykle; całuję twe piękne rączki, jak niedawno, kiedyś mi je podała przez ścianę ogrodową, po raz pierwszy, ale nie ostatni! przysięgam!

— A! ani słowa o ojcu! ani słowa, coby dowodziło, że myśli o tém szczerze; że przynajmniéj będzie się starał wyjść z tego nędznego położenia! A przecięż nie wiedział jeszcze nic o scenie wczorajszéj!“

Prawą ręką zmięła papiér, ale natychmiast obiema rękami poczęła go gładzić delikatnie i do ust przyciskać, poczém starannie go złożyła, znowu ukryła na łonie i oparła czoło o stół marmurowy.

— Una febbre che mi divora—szepnęła; il sanque mi abbruzia, il cervello mi si spezzo—sono stanco di questa vita!

— Tak zawołała, zrywając się z miejsca, mam dosyć życia takiego, to gorsze od śmierci, to żywy grób, muszę zrzucić z siebie ten całun, albo wreszcie własnemi uduszę się rękami!

Nieszczęśliwa zaczęła biegać po pokoju; łamała ręce, łkała, siadała znowu i znowu chodziła. Przycichła na chwilę, usłyszawszy głos dzwonu: wiedziała, że coś nadzwyczajnego w fabryce zaszło, prawdopodobnie wielkie nieszczęście jakieś: może kocioł pękł, może maszyna wyrwała ścianę, może ogień wybuchł, jak przed kilku miesiącami, ale cóż ją to wszystko obchodzić mogło? Czyż nieszczęście, które przygniatało jéj młodą głowę, nie było większe od wszelkiego innego? Czyż ona sama nie była zrozpaczoną, złamaną na ciele i duszy, obłąkaną na gruzach własnego szczęścia?! Cóż będzie daléj? co daléj?

Całą noc przepędziła bezsennie, usiłując rozwiązać to pytanie.

Ale cóż poradzić mogła bez niego? a on—on! Kiedy mu przez ścianę ogrodu opowiedziała w krótkich słowach scenę zaszłą u stołu, czyż odpowiedział to, czego pragnęła, czego się spodziéwała: musimy zatém obejść się bez zezwolenia rodziców naszych! Zamilczał, a więc nie decydował się na krok ostateczny, zamilczał, bo nie kochał jéj, nie kochał tak, jak ona go kochała!

I na cóż się zda jéj własna odwaga, jéj stanowczość?

Stanęła przed lustrem i pilnie przypatrywała się twarzy swéj i całéj postaci. Czy w istocie tak piękną jest jak ludzie mówią? Ale i Antonio piękny jest, piękny jak sen—a jednak ona go nie kocha! A on, ten który dla niéj jest światem całym, czy dla jéj piękności zechce się wyrzec przesądów rodzinnych i stanowiska swego w towarzystwie—czy zechce się wyrzec wszystkiego? I dlaczego miałby się wyrzec? Dlaczego? kobiéta nie pyta o to, kiedy kocha nie ra-

chuje nic—kocha i chętnie daje, z radością poświęca wszystko, co ma do oddawania—siebie samę!

Osunęła się na fotel, ukryła głowę w poduszki i zamknęła oczy. On nie wié jak gorąco go kocham, szepnęła—a jednak? jak że tam było?

„Jedyny czar, któremu mężczyzna oprzéć się nie potrafi,—a jego wdzięczność, która właściwie jest tylko wspomnieniem i żądzą jeszcze.“

Tak było we francuskim romansie—czytała go niedawno; ustęp ten, którego saméj sobie dokończyć nie śmiała, ognistemi głoskami wyrył się w jéj duszy, rzucił iskry płomienne do serca, palił policzki, tętnił w skroniach—powietrza, powietrza! czuła, że ją coś dławi.

Podniosła się gwałtownie. Zgubiona jestem! krzyknęła—zgubiona—zgubiona!

W tém zapukano. Ferdynanda stanęła nieruchoma, obłąkanym wzrokiem patrząc na drzwi; obiema rękami chwyciła się za czoło, konwulsyjnie przycisnęła ręce do piersi i wreszcie głuchym zmęczonym głosem wymówiła: proszę!

Reinhold wszedł.

— Nie przeszkadzam ci? zapytał.

— Czekałam na ciebie.

— Byłbym wcześniéj przyszedł, ale—czyś nie słyszała dzwonienia?

— Nie.

Reinhold spojrzał zdziwiony; serce jego dotąd jeszcze drżało ze wzruszenia. Ciotkę i Cilli przestraszył odgłos dzwonu; słudzy zbiegli się zewsząd a tutaj, o pięćdziesiąt kroków zaledwie, rodzona córka nic nie słyszała.

— Czyż wy artyści w innym jakimś waszym świecie żyjecie? pytał zdziwiony,—i opowiedział jéj, co zaszło.

— Lękam się, powiedział nakoniec, by pół fabryki nie stanęło; stryj ogromne poniesie straty; obstalunków jest bardzo wiele, i Bóg wié, jak podołać im będzie wstanie.

— A cóż to obchodzi ojca, odpowiedziała Ferdynanda, a gorzki uśmiech wykrzywił jéj usta; niech się świat zapadnie byle jego wola stała się. Nie znasz jeszcze ojca, mówiła daléj; my przyzwyczajeni już do tego jesteśmy i wiemy, że żyjemy na wulkanie. Gdybyśmy za każdą burzą przerywali pracę naszę, nigdybyśmy nic nie zrobili.

Po chwili obojętniéj przemówiła.

— A teraz idźmy do domu, potrzebuję się jeszcze przebrać, zanim udamy się na wystawę.

Wyszli z pracowni.

— Jakże spałeś? pytała idąc.

— Doskonale, chociaż nie zaraz zasnąłem, byłem trochę wzburzony.

— Ja także długo się przechadzałam po ogrodzie, zanim się uspokoiłam. Przyznam się, że mi trochę wstyd było gwałtowności ojca; nie znasz go jeszcze i nie wiesz, że czasem za lada drobnostkę wpada w gniew. Co większa, w wybuchach tych nieraz wyobraźnia tylko gra jedynie rolę—tak np. gdyby syn tego człowieka, którego samo imię już wprawia go w szaleństwo,—gdyby p. Werben odwiedził cię kiedy i ojciec się z nim spotkał—byłby dla niego z najwyszukańszą grzecznością. Mówię ci to dlatego, bo przypuszczam, że nie będziesz mógł uniknąć stosunków z Werbenami, nie trzeba więc, byś widział trudności tam, gdzie ich nie ma. I gdybym wczoraj na dworcu z przesadzonéj obawy nie była przeszkodziła przedstawieniu się p. Werbena, ojciec przekonałby się był, że to człowiek jak inni— i może scena nie miałaby miejsca.

Słowa te mówiła spokojnie, idąc przez ogród do domu.

Reinholdowi przypomniała się mimowoli wczorajsza noc. Spojrzał na piękną twarz mówiącéj,—teraz oświecało ją dzienne światło, teraz widział ją wyraźniéj jak wówczas przy świetle księżyca, i nic w niéj nie zdradzało tłumionego uczucia. Rzucił okiem dokoła. Na mur ogrodu znowu drzewa cień swój rzucały. Przywidziało mi się, pomyślił;—téj nocy także musiał to być cień tylko.

Kiedy Ferdynanda gustownie ubrana wsiadła do powozu, zdawało się Reinholdowi, który obok niéj zajął miejsce, że teraz dopiéro spostrzega, jak bardzo kuzynka jego jest piękną. I nie dziwił się wcale, że zwraca na ulicach powszechną uwagę, że jadący i idący oglądają się za nią z ciekawością. Ona sama wszakże zdawała się nie widziéć i nie uważać tego wcale; trzymała wzrok spuszczony, albo z wyrazem znużenia marzącém okiem patrzyła na wierzchołki drzew.

— Ile też może mieć lat, pytał siebie Reinhold i ze zdziwieniem obrachował, że musi miéć około dwudziestu czterech, a brat jéj dochodzi do trzydziestu.

Dwukołowy pojazd wymijał ich w téj chwili. Siedział w nim wysoki, barczysty mężczyzna, z wyszukaną cokolwiek elegancyą ubrany; kierował on sam dwoma pysznemi karemi końmi.

Spostrzegłszy Ferdynandę, zdala powitał ją skinieniem głowy.

— Kto to jest? spytał Reinhold.

— Mój brat, Filip.

W téj chwili powozy się zrównały. Filip przemówił słów kilka do Reinholda i, mówiąc że śpieszy na wystawę, popędził daléj.

— Nie byłbym poznał Filipa, niepodobny wcale ani do ciebie, ani do stryja.

W istocie, rażąca sprzeczność zachodziła między szeroką, czerwoną twarzą młodego człowieka a wspaniałém obliczem stryja Ernesta lub szlachetnie bladą, znakomitą pięknością Ferdynandy.

— Niepodobny? A tak, szczęściem dla niego.

— Szczęściem?

— Tak sądzę. Jest on człowiekiem swego czasu, jak się zdaje, my zaś widmami średnich wieków. Dlatego téż on sam uchodzi u nas za widmo—nie jego przecię w tém wina.

— A zatém w poróżnieniu, zachodzącém między stryjem a Filipem, ty jesteś po stronie brata?

— U nas nie ma zwyczaju pytać się o zdanie nasze, zapamiętaj o tém na przyszłość.

Słowa te mówiła, wysiadając już z powozu, który się zatrzymał właśnie przed gmachem wystawy. Tłumy zalegały wejście do niéj, Ferdynanda i Reinhold długo nie mogli przecisnąć się do środka, a kiedy wreszcie udało im się to, musieli zatrzymać się w pierwszéj sali, niepodobna bowiem było posunąć się daléj.

Ferdynanda zbliżyła się do obrazów, znajdujących się tutaj, i z prawdziwą znajomością rzeczy trafne nad niemi robiła uwagi; Reinhold z przyjemnością słuchał jéj i z upodobaniem patrzał na piękną twarz mówiącéj, która się stopniowo ożywiała tak, że znikła z niéj poprzednia martwość i znużenie.

Tak przechodząc z kolei od obrazu do obrazu, zbliżyli się nareszcie do wielkiego malowidła, którego przedmiot zajął mocno Reinholda. Byłto widok morski, który tak żywo przypomniał mu ostatnią podróż, poznanie Elsy i wszystkie wypadki owych tak krótkich a tak szczęśliwych chwil, że młody marynarz zapomniał zupełnie o wszystkiém, co go otaczało, i cały pogrążył się we wspomnieniach.

Kiedy po chwili przypomniał sobie gdzie jest i chcąc się podzielić uwagą jakąś ze swą towarzyszką odwrócił się ku niéj, ze zdziwieniem postrzegł, że miejsce jéj zajęła jakaś stara jejmość, a za nią mnóstwo było nieznanych mu zupełnie twarzy. Spostrzegł wprawdzie z daleka Ferdynandę, ale nie mógł się do niéj przecisnąć;—ona zaś tak się zdawała być zajętą rozmową z jakiemiś damami, że nie patrzyła nawet w jego stronę. Począł więc znowu przyglądać się obrazom.

Ferdynanda bacznie śledziła wszystkie ruchy Reinholda i spostrzegłszy, że ten znowu zwrócił uwagę swą w inną stronę i chwilowo stracił ją z oczu, wysunęła się z tłumem do jednéj z sąsiednich sal i, ostrożnie oglądnąwszy się parę razy, przeszła kilka następnych a wreszcie zatrzymała się w galeryi, gdzie zwykle mniejsza była ciżba.

Tu obojętnie niby przypatrując się dziełom sztuki, powoli zbliżyła się ku framudze okna.

W galeryi niewiele znajdowało się osób, i Ottomar Werben oddawna już oczekujący tu na Ferdynandę natychmiast stanął za nią i szepnął: dziękuję ci!

— Za co?

— Żeś przyszła.

— Przyszłam dlatego tylko, by powiedzieć ci, że nie zniosę tego dłużéj.

— A ja, czyż nie znoszę?

— Nie, w porównaniu ze mną.

— Kocham cię tak, jak ty mnie.

— Dowiedź tego!

— Czém?

— Tém, byś nie pytał a działał!

— Ręce mam związane!

— Zerwij pęta!

— Nie mogę.

— Bądź zdrów!

Zwróciła się ku wyjściu; Ottomar, zapominając o wszelkich względach, zastąpił jéj drogę.

— Ferdynando, wysłuchaj mię na miłość boską! na taką jak dzisiaj sposobność może całe tygodnie czekać będziemy musieli!

Zaśmiała się ironicznie.

— Mamy dość czasu, odrzekła.

Znowu chciała przejść, on znowu zastąpił jéj drogę.

— Jeszcze raz, puść mię! Potrzebujesz sposobności? Tak dobra jak ta do zerwania ze mną może nie przytrafi się więcéj.

Ottomar usunął się na stronę. Ferdynanda mogła przejść, nie uczyniła tego jednak. Oczy jéj napełniły się łzami—podeszła znowu ku obrazom.

— Bądź dobrą Ferdynando! Po co zatruwasz nam drogie chwile? Wiesz przecię, że zdecydowany jestem na wszystko, ale musimy przecię dobrze rozważyć.

— Rozważamy już od pół roku.

— Przez ścianę ogrodu, albo za pomocą listów—to to samo co nic! Musisz mi wyznaczyć schadzkę, o którą cię prosiłem tyle razy. Czyż nigdy ręka moja nie dotknie twojéj, nigdy usta moje nie spoczną na twoich—a sama jednak żądasz dowodów miłości odemnie.

Ferdynanda zadrżała—przed godziną może piękniejsze od tych oczy patrzały na nią z wyrazem gorętszéj niż ta miłości—tamtym oparła się,—tym nie miała siły odmówić. Nie mogę, wyjąkała.

— Powiedz, nie chcę. Podawałem ci tyle projektów. Zaznajomiłem się z bratem twoim—moglibyśmy się u niego spotykać—natarczywie prosił mię, bym go odwiedził.

— Oddawna już nie mogę bywać u brata.

— A więc za pomocą kuzyna.

— Myślałam już o tém i przygotowałam drogę, ale w najlepszym razie będzie to tylko na minut kilka.

— Już ja obmyślę daléj, bylebyś zezwoliła na to. Obmyślę i napiszę albo powiem, jak tylko mi dasz znać.

— Nie śmiem już teraz.

— Dlaczego?

— Jest ktoś, co mię śledzi na każdym kroku; mówiłam ci już—Antonio.—Obawiam się.

— Ty się zawsze obawiasz.

I niechętnie odwrócił się ku oknu.

W téjże chwili piękny i wytwornie ubrany młody człowiek znikł we drzwiach drugiego końca galeryi. Od kilku minut stał już ukryty w nich tak, że doskonale mógł się przypatrzyć osamotnionéj parze, rozmawiającéj we framudze okna. Zaspokoiwszy widocznie ciekawość swoję, opuścił galeryą.

Kiedy Ottomar odwrócił się od okna, chcąc powiedzieć Ferdynandzie kilka słów pojednania, ze zdziwieniem spostrzegł, że nie było jéj już obok niego.

Ferdynanda musiała go opuścić. Spostrzegła znajome sobie panie w sąsiedniéj sali, zbliżały się one powoli ku drzwiom galeryi. Poszła więc naprzeciw nich i zatrzymała je rozmową, sądząc, że Ottomar domyśli się wszystkiego i drugiemi drzwiami opuści galeryą. A gdyby się nie domyślił, tém gorzéj dla niego. Niech się już raz to skończy—co ma się stać, niech się stanie—lepiéj dziś niż jutro!

Ottomar wszakże nie domyślił się, dlaczego go opuściła bez pożegnania, bez jednego słowa wyjaśnienia.

— Na Boga! to za wiele! syknął przez ściśnięte zęby; jak sobie chce!

Szybkim krokiem opuścił galeryą i udał się do głównéj sali.

Z pochmurną twarzą machinalnie przeciskał się przez tłumy, aż wreszcie roztargniony wzrok jego padł na grupę, składającą się z kilku osób. Jedna z pań téj grupy patrzała na niego w téj chwili, musiał więc zbliżyć się do niéj, byłato bowiem panna Carla Wallbach, nietylko znajoma, ale i domniemana narzeczona jego.

Obie rodziny Wallbachów i Werberów były z sobą w dość ścisłych stosunkach i pragnęły małżeństwa tego. Interesowane zaś strony zachowywały się dosyć obojętnie pod tym względem. Próżność zdawała się być jedynym bodźcem wzajemnego ich do siebie stosunku, który to się przerywał, to wiązał niby na nowo.

Ottomar był pięknym młodzieńcem, dowcipnym, wesołym. Carla miała też zwolenników swoich i w pewném kółku uchodziła za osobę rozumną i wykształconą; w istocie zaś miała tylko dosyć sprytu i zręczności, by uchodzić za taką. Czytała dużo, ale można powiedziéć, że dla drugich nie zaś dla siebie, chodziło jéj bowiem o to tylko, by módz mówić o książkach i ich autorach—by mieć opinią uczonéj. Ulegając panującym wówczas wyobrażeniom, miała ciągle na ustach imiona Wagnera, Hartmanna i Schopenhauera. Pochwytała sądy o nich, powyuczała się zdań całych i wszystkiém tém posługiwała się wciąż, zrobiwszy sobie z tych trzech nazwisk broń, która miała niby zapewnić jéj sławę inteligencyi i erudycyi.

Pomimo to wszakże nie była wcale obojętną na sławę ładnéj kobiéty, przeciwnie, chodziło jéj bardzo o hołdy mężczyzn; starała się też o nie usilnie, rozwijając zalotność na szeroką skalę. Serce zimne z natury nie stawiło jéj żadnych przeszkód pod tym względem.

Jeszcze zanim Ottomar wszedł na salę, wdzięcznie się już uśmiechała do hrabiego Golma, który jako znajomy pana Wallbach przedstawił się był właśnie jego żonie i siostrze. Biédny hrabia w wielkim był kłopocie, nie mogąc się domyśléć, kto to byli owi panowie: Schopenhauer i Hartmann, których Carla natychmiast w szranki rozmowy wprowadziła. Szczęściem dla niego, pannie Wallbach nie chodziło wcale o to, by usłyszéć jego zdanie o tych wielkich ludziach, dość jéj było tego, że mogła sama mówić o nich i sztucznie się zapalać nad ich wielkością i sławą.

Kiedy Ottomar zbliżył się do nich, Carla podwoiła jeszcze uprzejmość swą względem hrabiego; chciała ukarać Ottomara za jego trzydniową niebytność i obojętne względem niéj zachowanie się. Gra ta jednakże nie podobała się wcale jéj bratu, który widząc zasępione oblicze młodego człowieka, odprowadził go na stronę i rzekł.

— To dziecko, nie gniewaj się na nią.

— Ja też się nie gniewam.

— A więc musisz mieć jakieś inne zmartwienie. Powinieneś wyjechać z Berlina na czas jakiś. Wczoraj znowu mówiłem z ministrem. Chce on, byś zajął tę posadę, ale dla pewnych powodów nie chce jéj oddać człowiekowi nieżonatemu. Jestem otwarty, jak widzisz, kochany Werbenie; gdybyś ty postępował tak samo, lepiéj byłoby nam wszystkim i tobie i Carli i mnie. Nie bierz nam za złe niecierpliwosci naszéj.

— Ale—ja—ja sam jestem niecierpliwy.

— A więc, to doskonale! Cyt! księżna Henryka Augusta!

Księżna ze świtą weszła na salę, pobieżnie przyglądając się obrazom. Na ukłony obecnych łaskawie odpowiadała, z osobiście znajomymi sobie rozmawiała uprzejmie. W orszaku jéj znajdowała się Elsa,—teraz przyłączyli się do niego; pp. Wallbach, Carla, Ottomar i hr. Golm.

W tłumie, który z uszanowaniem usunął się i ciekawie przypatrywał przeciągającemu orszakowi, był także i Reinhold, rozmawiający z Filipem.

Przed półgodziną zaledwie w jednéj z sal Reinhold spotkał był Elsę, którą Ottomar tak był opuścił, jak Ferdynanda Reinholda. Spostrzegłszy go, Elsa wesoło go pozdrowiła i chwilową, ale ożywioną i miłą obdarzyła pogadanką.

Teraz widział ją poufale rozmawiającą z księżną, która raz do niéj, drugi raz do Golma z uprzejmém zwracała się słowem. Jakże daleką wydała mu się teraz przestrzeń, oddzielająca go od niéj!—on w tłumie—ona między wybranymi—ona i hrabia Golm! Jakże hrabiemu łatwo—jakże jemu trudno zbliżyć się do niéj!

Odwrócił się z westchnieniem i spostrzegł za sobą Ferdynandę; Ta nie widziała go. Wzrok jéj uporczywie utkwiony w grupę, otaczającą księżnę, zdawał się nic więcéj nie widzieć.

— Ferdynando — przemówił Reinhold.

Wstrzęsła się cała, usłyszawszy imię swoje: gwałtowny rumieniec oblał jéj policzki. Nie odpowiedziała nic jednak, w téj bowiem chwili zbliżył się do niéj Filip.

— Widzieliście księżnę? zapytał. Śliczna kobiéta! Mała Werben zdaje się być z nią na stopie bardzo poufałéj. Z drugiéj strony księżnéj idzie hrabia Golm, grand seigneur, ale zadłużony po uszy, może się teraz poratować, jeżeli będzie miał rozum. Spodziéwam się prowadzić z nim wspólnie wielki jeden interes; nie znam go osobiście, ale podpis jego znany mi doskonale. A młodego Werbena widziałaś Ferdynando? Tak żywo rozmawia z panną Wallbach, ta wciąż lornetuje wszystkich! Niezła partya! ma ze sto tysięcy

Młody Werben—no w téj chwili wprawdzie kurs papiérów jego cokolwiek niski, ale może się jeszcze bardzo podnieść.

— Chodźmy! gwałtownie zawołała Ferdynanda.

I wprost skierowała kroki ku grupie, otaczającéj księżnę. Wmięszawszy się do jéj orszaku, przesuwała tuż za Ottomarem. Gdy suknia jéj dotknęła młodego człowieka, ten się odwrócił, z grzeczną obojętnością ukłonił i daléj prowadził rozmowę swą z Carlą. Ferdynanda odpowiedziała równie zimnym ukłonem.

Małą tę scenę śledziły znowu czarne oczy Włocha, stojącego nieopodal w tłumie. Po wyjściu Ferdynandy z wyrazem śmiertelnéj nienawiści utkwił wzrok w Ottomarze.

— Wiem już teraz od kogo te listy, co je tak wciąż czyta! Musisz ty mi zapłacić za to—per bacco! mruknął z zaciśniętemi zębami.

Wieczorem dnia tego hrabia Golm i tajny radca Schieler siedzieli w pięknym salonie hotelu Royal, przed stołem, pokrytym mapami, książkami, rachunkami itd.

Na twarzy hrabiego malowało się niezadowolenie. Radca przeglądał mapy, notował, rachował, wreszcie przemówił:

— Widzę zatém, że mniejszą niż dawniéj okazujesz pan teraz ochotę do projektów naszych.

— Ale cóż mię one tak bardzo obchodzić mogą teraz, kiedy wiem, że staracie się o port na północy, nie zaś na zachodzie?

— Chcemy portu na północy, bo nie możemy go mieć na zachodzie. Dostań pan koncesyą na to, a jutro stanie towarzystwo kolei żelaznéj Sundin Wissower.

— Wiesz pan dobrze, iż tego zrobić nie jestem wstanie.

— My także nie—na rok przyszły nie mówię—możebyśmy zdołali dokazać tego.

— Ale jabym nie mógł czekać tak długo! zawołał hrabia.

To mówiąc zerwał się z miejsca i szybkiemi krokami zaczął mierzyć pokój; wreszcie stanął przed radcą:

— W poufnéj téj rozmowie mogę panu wyznać, że jestem w bardzo krytyczném położeniu. Procenta od długów, które mam, równają się prawie dochodom moim. Oprócz tego na 1 Października muszę zapłacić 50.000.

— Nie mówiłeś pan z Lübbnerem? Jestto przecię dawny bankier pański.

— Dawny—nie—dopiéro od czasu, jakeś mi go pan tak żywo polecił—od trzech lat zatém. Ale Lübbnerowi samemu winien już jestem ratę lipcową: nie śmem mu się nawet pokazać.

Hm, hm! mruknął raddca z miną człowieka, co się niespodzianéj dla siebie dowiedział rzeczy.

— A więc tembardziéj nie pojmuję, dlaczego pan tak przeciwny jesteś naszemu projektowi. Z jednéj strony wartość dóbr pańskich podwoi się, z drugiéj zaś masz zapewnione miejsce w radzie zarządzającéj. To przecię, coś znaczy.

— Ależ to zero, istne zero! zawołał hrabia z gwałtownością. To kropla w morzu! Nędzne parę tysięcy, które jednego wieczoru mogę wygrać w ecarté. Nie, jeżeli już mam postąpić wbrew tradycyom mojego rodu, jeżeli mam należéć do Gründerów, niechże mi przynajmniéj zgryzoty sumienia się opłacą.

— Powinienbyś się ożenić, panie hrabio.

— Trzy konie kare w moim herbie oznaczają okrągły milion posagu. Wskaż mi pan jaką izraelską dziewicę, któraby taką sumą rozporządzać mogła!

— Mógłbym wymienić niejednę, ale obecnie mam na myśli córę rodu tak prawie starego jak wasz panie hrabio, pannę Elsę Werben.

— Żartujesz pan.

— Bynajmniéj! Zastanów się pan tylko: głównym przeciwnikiem zachodniego kierunku drogi naszéj jest jenerał—z powodów strategicznych jakoby,—zgoda na to, ale i z osobistych względów także z pewnością—znam go dobrze. Port może stanąć tylko na gruncie dóbr Warnow; to jest, towarzystwo musi zakupić te dobra, a nie może zrobić tego bez zezwolenia jenerała, który jest współkuratorem dóbr tych. Jenerał nie chce dać zezwolenia. Ożeń się pan jednak z córką jego, a zobaczymy wówczas czy zięciowi swemu odmówi tego, czego odmawia dyrektorom kolei Sundin Wissower i towarzystwu budowy portu. Nie napróżno przecię napisano jest: nie wódź nas na pokuszenie.

— A ja znam jenerała, zawołał hrabia—i powiadam panu, że oprze się pokusie!

— Słuchaj pan daléj! Radca legacyi, Wallbach, jest kolegą moim w nadzorczéj radzie kolei Berlińsko-Sundińskiéj; chodzi mu więc tak dobrze, jak i mnie o to, ażeby koléj Sundin—Wissower, która ma nas postawić na nogi, przyszła do skutku. Wallbach, po śmierci ojca swego ministra, został także jednym z kuratorów dóbr Warnow, a Ottomar, drugi dziedzic, jest zaręczony, tak prawie jak zaręczony z siostrą Wallbacha. Ten ostatni wié doskonale, że poło-

wa tych dóbr nam sprzedana cztery razy więcéj wyniesie niż całość. Teraz szlacheckie przesądy nie pozwalają mu nastawać na jenerała, ale jeżeli pan się ożenisz z córką tegoż a siostra Wallbacha wyjdzie za Werbena, będziecie mogli wówczas wspólnemi siłami dokazać tego.

— Bardzo pięknie, ale w każdym razie ja muszę być sprzedającym.

— Jakto?

— Rzecz bardzo prosta, odpowiedział hrabia; jako sąsiad i zięć dobra te dostanę daleko taniéj aniżeli towarzystwo, które wreszcie użyć może tylko jakićjś ich części. Wolę zatém sprzedać towarzystwu to, czego ono potrzebować będzie, aniżeli samemu kupować wszystko od towarzystwa.

— Brawo—zawołał radca, winszuję panu zdolności matematycznych. Ale nie zapominajmy o jednym z najważniejszych aktorów w téj sprawie: o baronowéj Warnow. Dnia 1 Października baronowa kończy lat 50 i odtąd zasiada i głosuje w kuratoryum; wówczas to ostatnie zejdzie do znaczenia rady nadzorczéj tylko.

— A myślisz pan, że baronowa będzie przeciwna projektom naszym?

— Myślę, że jéj zdanie daleko mniéj znaczyć będzie, aniżeli zdanie pana Giraldiego.

— Jéj marszałka dworu?

— Marszałka dworu, lektora, towarzysza—albo ja wiem?!

— Powiadają, że jest jéj mężem?

— Nigdyby baronowa nie poszła za niego, w takim bowiem razie straciłaby prawo do całego majątku, który dostałby się pannie Werben i jéj bratu—chybaby i ci poszli za przykładem swéj ciotki i w niestosowne dla siebie weszli związki małżeńskie, a wówczas cała fortuna rozpadłaby się na pobożne fundacye.

— Wiele słyszałem o tym dziwnym testamencie. Czy nie mógłbyś, panie radco, coś pewnego powiedzieć mi w tym względzie

— I owszem,—a nawet powinieneś pan wiedzieć o tém. Nie spodziéwaj się pan wszakże historyi uczuć, stosunków itd.; pod tym względem wiem tyle tylko co inni, a drogą przypuszczeń i domysłów nie lubię chodzić. Ściśle się zatém trzymać będę faktów tylko.

Baron Warnow poznał pannę Waleryą Werben na dworze księżniczki. Poznał ją, ożenił się i opuścił służbę. Było to w r. 1840.

Od 1840—43 młode małżeństwo żyło w Warnow—najprzód szczęśliwie dosyć—potém mniéj, a wreszcie wcale źle. Z baronem

byłem dosyć zaprzyjaźniony; nieraz zasięgał rady mojéj w kwestyach prawnych, wywiązało się stąd pewne zaufanie i chęć do zwierzeń ze strony barona. Postanowił on wyjechać z żoną zagranicę. Byłem także za tym projektem, który wkrótce doszedł do skutku. Warnowie zwiedzili Londyn, Paryż, Włochy nakoniec, ale tu bardzo krótko bawili. Za powrotem baron wyglądał źle bardzo; zazdrosny był o żonę i nie bez słuszności, jak się późniéj pokazało. W Rzymie baronowie spotkali niejakiego Gregorio Giraldi, którego baronowa, będąc jeszcze panną, znała w podrzędnéj roli sekretarza, czy coś podobnego, przy poselstwie papieskiém. Dawna znajomość się odnowiła, wrażenie odświeżyło, i niebezpieczny stosunek zawiązał. Ale że pozory były zachowane, baron przeto nie stracił, jak się zdaje, nadziei, bo w rok potém zezwolił na drugą podróż do Włoch. Ale tą razą wrócił już sam i w kilka miesięcy potém umarł; serce mu pękło, jak powiadają w romansach, na bicie serca, jak mówi medycyna.

Przed śmiercią wszakże zrobił testament, którego spisanie bardzo wiele czasu zajęło nam z powodu jenerała. Trzeba panu wiedzieć, że najczulsza przyjaźń łączyła Warnowa z tym ostatnim. Stosunki te nie zmieniły się nawet wówczas, kiedy pożycie pp. Warnow stało się złém. Jenerał brał zawsze stronę przyjaciela i surowo gromił postępowanie siostry, którą jednak bardzo kochał. Otóż Warnow chciał cały swój majątek przekazać jenerałowi, a żonie pozostawić tylko część prawnie należną. Ale jenerał stanowczo odrzucił tę propozycyą co do siebie samego—co do dzieci swych zgodził się wprawdzie, ale z wielu zastrzeżeniami. I tak, od samego początku nastawał na to, by baronowéj zostawiono możność powtórnego wyjścia za mąż, czém naturalnie danoby jéj sposobność wrócenia do porządnego życia. O stosowności tego przypuszczalnego małżeństwa miała stanowić rada, złożona z jenerała, ojca radcy legacyi i mnie. Gdyby baronowa wyszła za mąż wbrew woli téj rady, w takim razie dostawała tylko część prawnie jéj przypadającą. Gdyby zaś pozostała wdową, wówczas pobiérała jednę połowę dochodu z całego majątku. Z drugiéj zaś połowy wyznaczono bardzo znaczną sumę na wychowanie dzieci jenerała, a z reszty miał się tworzyć kapitał, którego właścicielami miały zostać téż dzieci za dojściem do pełnoletności. Ale i tu znowu był warunek. Jeżeliby którekolwiek z dzieci jenerała zawarło niestosowny do swego stanu związek, traciło naówczas prawo do dziedzictwa.

Jednem słowem, baronowa i potomstwo jenerała dziedziczyły po sobie wzajemnie, tak, że gdyby dzieci jenerała umarły, albo straciły prawo do majątku,—majątek cały spadał na baronową. Odwrot-

nie zaś, młodzi Werbenowie stawali się spadkobiercami całéj fortuny, gdyby baronowa umarła, lub utraciła swe prawa.

Ciekawy testament, odezwał się hrabia, który z natężoną uwagą słuchał opowiadania radcy.

Prawie wszystkie te postanowienia były dziełem jenerała, człowieka z najdrażliwszém sumieniem, tj. najpedantyczniejszym w świecie. Ze swemi ulubionemi wyrazami: sprawiedliwość, słuszność itd. sobie i innym wiecznie zatruwa życie. Mógłby był sam mieć wszystko, bez żadnego kłopotu, ale wciąż przeszkody, restrykcye! jak np. to wprowadzenie baronowéj do rady!

Jestto punkt bardzo ważny dla nas! Jeżeli baronowa stanie po naszéj stronie, wówczas będziemy mieli przewagę w radzie; w przeciwnym razie—a musimy się i na to przygotować—piękny nasz projekt co do dóbr Warnowa pójdzie z dymem.

— A nie staraliście się wyrozumiéć baronowéj.

— Będzie dość czasu na to, kiedy baronowa przyjedzie tutaj; jest już teraz w drodze. Wszakże będę próbował skłonić ją, by albo sama wcześniéj przybyła, albo przysłała swego pełnomocnika.

— Znasz go pan?

— Z listów tylko. Signor Giraldi jest bez zaprzeczenia znakomitą osobistością: uczony, artysta, dyplomata, zręcznie prowadzi interesa—do tych ostatnich szczególnie pierwszorzędne ma zdolności. Mieć go *za sobą*—à la bonne heure! ale *przeciw sobie* wolałbym mieć samego szatana.

No, ale pora mi już iść, zakończył prezydent powstając.

— Wszystko to dobrze, odezwał się hrabia, nie ruszając się jeszcze z miejsca—ale darujesz mi pan, kiedy powiem, że pomimo tego wszystkiego coś mi pan powiedział, nie jestem mędrszy niż byłem przedtém.

— No, to pozwól sobie, hrabio, powiedziéć, żeś niewdzięczny. Zrobiłem dla pana to, czego nie byłbym zrobił dla żadnego z akcyonaryuszów. Przedstawiłem panu prawdziwy stan towarzystwa kolei Berlińsko-Sundińskiéj; wyznałem, że poratować nas może jedynie przeprowadzenie dalszéj linii przez wyspę do jakiegoś portu, który ma stanowić niby głowę węża; innemi słowy, że pierwszą spekulacyą uratuje tylko druga, którą chcemy oprzéć na tamtéj. Interesa nasze, dotąd wspólne, rozchodzą się daléj;—nam chodzi o to tylko, by głowa węża, port wojenny, stanął,—ale gdzie stanie—na północy czy na zachodzie, to już dla nas jest rzeczą zupełnie obojętną, niech będzie chociażby na księżycu. Panu zaś koniecznie zależy na tém, by kolej przerznęła wszystkie jego dobra i by port zbudowano na zachodzie. Niech i tak będzie—wskazuję panu sposoby, które mogą go do-

prowadzić do zamierzonego celu, który jest, powtarzam, pańskim celem, a nie naszym—proponuję panu rękę ślicznéj panny, a pan na to wszystko powiadasz mi, że nie wiesz co masz począć!

— Masz pan słuszność, to niewdzięczność z mojéj strony, ale człowiek w takiém jak ja położeniu nie bardzo już ufa najprzyjemniejszym nadziejom nawet.

— Wiész pan co, panie hrabio, dyskusya nasza była dość ożywiona i nużąca, przechadzka na świeżém powietrzu posłużyłaby nam obu, pójdźmy razem.

— Gdzie?

— Chociażby np. do jeneralnego antreprenera naszego, pana Filipa Schmidt'a.

— Hrabia zerwał się z miejsca. Nienawidzę nazwiska tego! zawołał.

— Ale cóż ma nazwisko do rzeczy? A rzecz jest taka: panu Schmidtowi pochlebi bardzo osobiste zaznajomienie się z panem. Jestto człowiek nietylko bardzo bogaty, ale co większa łatwy w interesach; powtóre w dobrych zostaje stosunkach z panem Lübbnerem, pańskim bankierem, a więc czy to z nim osobiście, czy za jego pośrednictwem będziesz pan mógł załatwić interes z bankierem swoim.

— Ale pod jakimże pozorem mam złożyć tę wizytę, w tak niestosownéj porze?

— O, to nie przedstawia żadnéj trudności. Pan Schmidt posiada jednę z piękniejszych galeryj obrazów. Pan znany jesteś także jako znawca i amator, a więc rzecz prosta, że udajesz się pan osobiście do pana Schmidta dla obejrzenia jego zbioru, ponieważ przy najlepszych chęciach pan Schmidt nie może przenieść do pana galeryi swojéj. A że teraz wieczór, to téż nic nie szkodzi, na to jest przecię gazowe światło.

— Niechże i tak będzie. Ale prawda, pan Werben miał przyjść do mnie o dziesiątéj.

— Zostaw pan do niego kartkę, prosząc, by przyszedł także do p. Schmidt'a; ci panowie znają się z sobą.

I tak wszystkie trudności zostały usunięte, hrabia musiał uledz woli radcy, który z pod oka szydersko spoglądał na niego.

— Żeby się ten człowiek nie nazywał przynajmniéj Schmidt'em, mruknął hrabia, wychodząc.

———————

W tymże samym czasie Filip niecierpliwie się przechadzał po gabinecie swoim. Chodził, siadał, znowu wstawał i odczytywał nie wiedzieć po raz który bilet tajnego radcy.

„Kochany przyjacielu,“ pisał tenże, „Widzę, że nie pojmujesz dokładnie, jak wiele zależy na pozyskaniu osoby hrabiego. Że ma długów po uszy, tém lepiéj dla nas, taniéj go kupimy. A musimy kupić. Potrzeba nam koniecznie arystokratycznego nazwiska. Nie znasz jeszcze zakutego patryotyzmu wyspy; im do wszystkiego koniecznie trzeba przywódzcy, za tym pójdą wszyscy. A więc, za jakąbądź cenę musimy mieć przywódzcę. To jest: dać mu najprzód 50.000 talarów, których wiém, że koniecznie potrzebuje; daléj, obiecywać mu złote góry, w razie gdyby koléj zachodnia stanęła, co zdaje się nigdy nie nastąpi; nakoniec, na rachunek 50.000 i złotych obietnic włożyć na niego warunek, że przystąpi do komitetu północnéj kolei. Dziś wieczór poruszę wszystkie sprężyny i pod jakimkolwiek pozorem przyprowadzę go do ciebie. Lübbner musi przyjść także, naturalnie *przypadkowo!* Gdyby hrabia nadspodzianie pokazał się nieugiętym, w takim razie około 9 przerwę moję z nim rozmowę i sam przyjdę.

P. S. Trzymaj się młodego Werbena; wiém, że to kosztowna znajomość, ale musimy koniecznie popiérać stosunki hrabiego z Werbenami. Dobrze byłoby, gdybyś mógł podać go nam dzisiaj na *wety*, ale zapraszać wprost nie można. Głównie proszę zwracać uwagę na to, że wszystko ma mieć pozór improwizacyi i przypadku! Rozumiesz mię przyjacielu?“

Że Filip zrozumiał, czego od niego żądano, tego dowiódł jak nie można lepiéj. Od pierwszego powitania aż do ostatniéj chwili bytności Golma w swoim domu tak doskonale odegrał swą rolę, że nawet radca wtajemniczony w nią, z podziwieniem przyglądał się gospodarzowi.

Plan całéj kampanii przeciw hrabiemu doskonale był ułożony i przeprowadzony. Kiedy hrabia i radca przybyli, Filip przyjął ich jako zupełnie niespodziewanych, ale zarazem bardzo miłych sobie gości.

Hrabia z początku zażenowany cokolwiek położeniem swojém, oswoił się z niém wkrótce zupełnie i z nieudaném podziwieniem przypatrywał wspaniałemu urządzeniu salonów Filipa.

— Przepych ten ma w sobie coś zniechęcającego, odezwał się do radcy, kiedy gospodarz oddalił się na chwilę.

— Ja myślę, że przeciwnie, powinien działać zachęcająco. Jeżeli ludzie bez imienia, bez stosunków, bez majątku jak Schmidt, mogli dojść do tego, to czegoż nie możecie zrobić, wy panowie, je-

żeli posiadając te wszystkie warunki, których im braknie, odrzucicie przesądy swéj kasty i działać będziecie jak oni.

— I w jakiż sposób człowiek ten doszedł do tego?

— Najprzód intelligencyą i energią, a potém szczęśliwemi spekulacyami; główmie jednak w skutek przedsiębierstwa naszéj kolei żelaznéj.

— Teraz już rozumiem, dlaczego akcyonaryusze wasi uskarżają się, żeście za drogo budowali, rzekł hrabia, śmiejąc się ironicznie.

— Co oni się tam rozumieją na tém, rzekł radca. Chcąc ich słuchać, trzebaby wyjmować dla nich gorące kasztany z ognia.

— A zatém jest i ogień?

— Przy którym na starość bardzo przyjemnie można się ogrzać, odpowiedział radca, wskazując ręką na otaczające przedmioty.

Wejście Filipa zwróciło rozmowę na inny przedmiot.

Hrabia jako prawdziwy znawca podziwiał piękny zbiór jego obrazów. Przyglądano się im, krytykowano, oceniano, aż wreszcie gospodarz wprowadził panów do sali jadalnéj.

Lübbener przyłączył się téż do towarzystwa w jak najnaturalniejszy i niepodejrzany wcale dla hrabiego sposób.

Bankier i radca zdawali się być nietylko w dobrych, ale nawet poufałych z gospodarzem stosunkach. Przy dobréj wieczerzy i doskonałém winie rozmowa jeszcze więcéj się ożywiła, zawsze jednak krążyła około przedmiotów lekkich, obojętnych; dopiéro kiedy niby nawiasowo, ktoś z towarzystwa napomknął o kolei królewsko-cesarskiéj, wówczas hrabia zapytał o szczegóły tego interesu, a tém saméni dał jak gdyby hasło do wprowadzenia na stół przedmiotu, który u wszystkich był na myśli.

Z jednego przedsiębierstwa przechodząc na drugie, z kolei zaczęto mówić o berlińskiéj północnéj linii, a wreszcie o berlińsko-sundińskiéj. Akcye téj ostatniéj stały wówczas bardzo nizko; panowie ci tłómaczyli to w taki sposób, że jakoby sami spowodowali ten kurs, dlatego tylko, by wykupiwszy je teraz, puścić znowu w obieg, kiedy dalszy ciąg téj linii zatwierdzony zostanie. Radzono hrabiemu, by nabywał je także, bo to był bardzo dobry interes.

— A jeżelibyś pan nie miał gotówki w téj chwili, powiadano, to bardzo łatwo zaradzić temu. Hrabia natychmiast dostać może 50, 100, 150 tysięcy. Samo przystąpienie hrabiego do dyrekcyi kolei warte już jest 50.000.

— A jeżelibym chwycił panów za słowo! zawołał hrabia.

— Wzajemnie weźmy się za słowo, odrzekł Lübbener.

— Możebyśmy tę rzecz piśmiennie załatwili, odezwał się radca.

— Czy nie zadaleko posuwamy żarty, spytał hrabia niepewnym wzrokiem, spoglądając na radcę.

Ten ostatni zachęcającym odpowiedział uśmiechem, ale zdawało się, że pomyślna chwila przeszła. Po raz pierwszy zapanowało milczenie, na krótko wprawdzie, bo natychmiast nastąpiła zmiana dekoracyi, po mistrzowsku przygotowana przez Filipa.

Służący podał mu w téj chwili dwie kartki wizytowe. Filip udał zadziwionego a zarazem zabawionego tym zbiegiem okoliczności i, śmiejąc się, opowiedział gościom swoim, że dwie młode i ładne panie, jedna z opery, druga z baletu przybyły do niego właśnie, jak się to im nieraz zdarzało, chcąc mu uprzyjemnić wieczór; pytał oraz tych panów, czy nic nie będą mieli przeciwko temu, by zaprosić je do towarzystwa i wspólnéj wieczerzy. Naturalnie, że jednogłośnie objawiono chęć przepędzania wieczoru z tak przyjemnemi osobami i zaproszono pannę Wiktorynę i pannę Bertaldę, co się niezmiernie przyczyniło do ożywienia całego towarzystwa.

Hrabia Golm zalecał się to do jednéj, to do drugiéj, nie mogąc się zdecydować, która z nich piękniejsza; śmiano się, żartowano, wino się lało, dowcipy sypały się, rozmowa zamieniała się w gwar, a wesołość powoli przechodziła w szał.

Na wety zjawił się Ottomar. Przybycie jego widocznie przyjemném było hrabiemu, czuł się usprawiedliwionym niejako, widząc równego sobie w tém towarzystwie.

Ottomar, radośnie powitany przez Bertaldę, z którą łączyły go dawne stosunki, bardzo czynny wziął udział w uczcie. Jeden kielich wychylał po drugim, pomimo to wszakże oczy jego nie traciły wyrazu ponurego, zdawało się, że w winie chciał utopić pamięć i nie mógł dokazać tego. Więc pił i szalał coraz bardziéj i stał się wkrótce najszaleńszym między szalonymi.

I tak jak pisał radca do Filipa: wszystkie sprężyny zostały poruszone tego wieczora. Zręczni ludzie umiejętnie prowadzili grę swoję, wszystkich użyli środków i zwycięzko usunęli przeszkody, jakie im jeszcze stawiła duma rodowa hrabiego, połączona wprawdzie z żądzą bogactw, ale zarazem i z wielką przezornością i ostrożnością.

(c. d. n.)

ROK ŚMIERCI
FAB. SEB. KLONOWICZA

podał
Józef Przyborowski.

Zwrot naszego dziejopisarstwa do zbyt długo zaniedbanych źródeł archiwalnych wyjaśnił już niejeden wypadek mylnie przez historyków opowiadany, sprostował nie jednę datę mylnie podawaną. A ponieważ jeden szczegół w dziejach mylnie podany pociąga za sobą często cały szereg wniosków niezgodnych z prawdą historyczną, przeto każdy szczegół historyczny rozjaśniony przez krytykę przy pomocy źródeł archiwalnych staje się cenną zdobyczą dla nauki, gdyż podając lepszą prawdę chroni nas od mylnego pojmowania wypadków i osób historycznych, a nadto uczy nas oględności w używaniu źródeł drukowanych.

Do owoców szperań archiwalnych zaliczyć należy sprostowanie roku śmierci Fabiana Sebastyana Klonowicza, poety znakomitego okresu Zygmuntowskiego, które to sprostowanie zawdzięczamy archiwiście Akt Dawnych w Lublinie, panu Józefowi Detmerskiemu. Wykrywszy współczesną, jak się zdaje, datę zejścia poety, zapisaną przez człowieka w bliskich kiedyś stosunkach stojącego z Lublinem i rodziną Klonowicza, podejmuję jeszcze raz wyjaśnienie téj sprawy w nadziei, że może się przyczynić zdołam do ostatecznego jéj załatwienia.

Mamy nagrobek Klonowicza dotąd dochowany w Lublinie, poświęcony poecie przez krewnego, który nie zapomniał położyć na nim swego imienia i nazwiska i przekazać swoję szczodrobliwość pamięci potomności, ale na nieszczęście zapomniał położyć dzień

zejścia poety. Napis ten grobowy ogłosił Starowolski w dziele Monumenta Sarmatarum str. 717 w następujących słowach:

Epitaphium Sebastiani Acerni, poetae praestantissimi.
Corpore dum vivo, meditabor mente sepulchrum.
Corpore dum moriar, mente superstes ero.
Et licet extinguar, lumen mihi reddet Jesus,
Sic mihi mors lucrum, sic mihi vita mori est.
Cura Sebastiani Kaiek, civis Lublinensis, consanguinei defuncti p.

Drugi raz mówi o Klonowiczu Starowolski Szymon w dziele *Hecatontas*, obejmującém sto życiorysów znakomitych pisarzów polskich, a wydaném piérwszy raz w Frankfurcie w r. 1625, a następnie poprawniéj w Wenecyi r. 1627 (na str. 212 i 213). I tutaj pomieścił Starowolski dwa wiérsze nagrobne napisane pr z Mikołaja Żórawskiego na cześć Klonowicza, które przytaczam dlatego, że niekiedy z pomyłkami bywają drukowane, a potém i dlatego, że są pióra Żórawskiego, na którego w naszém badaniu powołać nam się przyjdzie. Piérwszy wiérsz tak brzmi u Starowolskiego:

Nasoni patria est Sulmo, Sulmircia Acerno,
Ille poëta fuit, Naso poëta fuit.
Exul in Euxinis est Naso mortuus oris,
Vix hunc non eadem fata secuta virum.

Drugi wiérsz zawarty w tych słowach:

Nomine qui te cunque prior signavit Acerni
Non satis apposite, nam bene laureus es.

W początkowych wiérszach pierwszego napisu przerobił Żórawski epigram, który sam Klonowicz o sobie napisał i położył na tytule dzieła Victoria Deorum, w tych słowach:

Nasoni Sulmo patria est, Sulmircia nobis;
Nosque poëtastri, Naso poëta fuit.
Sulmo ojczyzną Nazona, moją Sulmierzyce;
Lecz ja wierszokletą, a Nazo był poetą.

Lecz Żórawskiemu przeróbka ta nie powiodła się, czy to, że się wahał Klonowicza nazwać wierszokletą, czy téż że Starowolski zmienił słowa Żórawskiego, bo jeśli wiérsz ten ma zawiérać zdrową myśl, to powinien mniejwięcéj tak być złożony:

Iste poëtaster, Naso poëta fuit.

Nie wchodząc w to, z czyjéj winy to się stało, przyznać musimy, że na Żórawskim nie ciąży przynajmniéj zarzut, że przemilczał dzień zejścia poety, bo wiérsze przez niego składane nie są właściwemi napisami grobowemi, ale tylko epigramami pochwalnemi na celniejszych pisarzów polskich, a do epigramów daty zejścia nie należą; za to Żórawski na inném miejscu zapisał dzień zejścia Klonowicza, jak to się w dalszym ciągu pokaże.

Daty zejścia Klonowicza żądać było można od kamienia pomnikowego, a kiedy jéj tenże nie dostarczył, wypadło ją wziąć zkądinąd. Podał ją Starowolski w znaném dziele obejmującém życiorysy stu uczonych Polaków, nadmieniając, że poeta zgasł w roku 1608, w 57 roku życia. Podanie to przyjęli wszyscy następni biografowie Klonowicza, a wedle tego podania rok 1551 naznaczyli jako rok urodzenia poety. Nikt nie domyślał się pomyłki w liczbach Starowolskiego, a jednakże należało postępować oględnie, bo nie zbywało na powodach do powątpiewania o prawdziwości podania Starowolskiego. Bo jeśliby rzeczywiście zszedł ze świata w r. 1608 a urodził się w r. 1551, jak dotąd wszyscy przyjmują, to podróż do Węgier, o któréj w r. 1600 powiada, (1) że ją odbył przed 40 laty, przypadłaby na r. 1560, czyli na dziewiąty rok życia, co byłoby przynajmniéj wypadkiem bardzo niezwyczajnym, żeby dziewięcioletni wielkopolski malec odbywał czy sam, czy z ojcem tak daleką podróż, kiedy jako mieszczańskie dziecko nie należał do tych gagatków urodzenia, którzy nie wiedzieć czy na swe szczęście czy na nieszczęście zwiedzają zaułki wszystkich stolic Europy, zanim się nauczą czytać choćby odę o różdżce i Duchu świętym. Wiara w podanie Starowolskiego była tak silna, że Wiszniewski zatrzymał w Historyi Literatury rok śmierci poety 1608, choć przytacza sam świadectwo Wielewickiego z r. 1602 o Klonowiczu jako o zmarłym. Wszyscy następni pisarze, którzy czytali Wiszniewskiego i powoływali się na świadectwo Wielewickiego przez niego przytoczone, nie mieli odwagi zaczepić podania Starowolskiego. Może i autorowi artykułu o Żórawskim Mikołaju w Encyklopedyi Powszechnéj (t. 28 str. 1074) zbywało na téj odwadze, kiedy zapisał poprostu jako datę zejścia Klonowicza 29 Sierpnia 1602, ale nie wystąpił równocześnie w szranki przeciw tym wszystkim, którzy poecie każą umiérać sześć lat późniéj. Piérwszy zdobył się na tę odwagę p. Józef Detmerski, archiwista akt dawnych w Lublinie, gdyż wykazał, że poeta Klonowicz nie żył już w r. 1603, ogłaszając dokument znaleziony w księgach wojtowsko-ławniczych lubelskich następującéj treści:

„Działo się w sobotę przed niedzielą Głuchą (1 Marca) roku tysiąc sześćset trzeciego. Pokwitowanie sukcesorów Sebastyana Klonowicza. Przed urzędem wojtowsko-ławniczym stanąwszy osobiście sławetny Paweł Brukman, mieszczanin i kupiec gdański, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznał, iż on dostatecznie i w zupełności został zaspokojony przez sławetnego niegdy Sebastyana Klonowicza,

(1) Worek Judaszów wydanie z r. 1603. sign. E. 2, strona odwrotna.

mieszczanina i rajcę lubelskiego, oraz jego małżonkę Agnieszkę, w długu sto trzydzieści złotych polskich, w którym to długu miał sobie w zastaw oddany przez nich sklep w kamienicy ich narożnéj „Wiślicką“ zwanéj, w rynku miasta Lublina położonéj, a to na lat cztery, podług aktu przed urzędem radzieckim lubelskim przez tychże małżonków Klonowiczów zeznanego. Z których to przeto stu trzydziestu złotych polskich tychże niegdy Sebastyana Klonowicza i małżonkę jego Agnieszkę, oraz ich dzieci i spadkobierców kwituje i wolnymi czyni na wieczne czasy, i akta w tym przedmiocie zeznawane, na zawsze znosi, umarza i unicestwia.“

Rzecz widoczna, że jeżeli w podanym dokumencie kwitują i padkobierców Klonowicza i samego niegdy Klonowicza, to Klonowicz w dniu 1 marca 1603 już nie żył. Przeciwko dowodowi dostarczonemu przez p. Detmerskiego wystąpił Tygodnik Ilustrowany na r. 1877, robiąc na str. 322 spostrzeżenie, że nikt dotąd nie zwrócił uwagi na tę okoliczność, że Klonowicz w dziele Victoria Deorum wyraźne czyni aluzye do rokoszu Zebrzydowskiego w r. 1605—1606, że przeto zapewne jeszcze żył po r. 1606 i nie mógł umrzeć w 1603.

Zarzut ten godzi się wziąć pod rozwagę i rozpatrzéć się w powołaném dziele, czy rzeczywiście czyni w niém Klonowicz napomknienia o rokoszu Zebrzydowskiego, bo napomknienia mają to do siebie, że natrącając zdaleka rzecz jaką zbyt ją niewyraźnie wskazują i pozwalają niekiedy każdemu czego innego się domyślać. Napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego dopatrywano szczególniéj w cztérdziestym rozdziale dzieła Victoria Deorum, a jeśli Tygodnik Ilustrowany wskazuje na rozdział jedenasty tego dzieła, to jest w tém pomyłka drukarza. Początek rozdziału czterdziestego łączy się ściśle z rozdziałem poprzedzającym, w którym opowiedziana jest walka olbrzymów z Jowiszem, Psyllów z Austrem. Początek rozdziału czterdziestego zawiéra ostrzeżenie, że tych na pozór bredni o walkach Tytanów nie należy wyśmiéwać i za baśnie poczytywać, bo w tym orzechu jest jądro, tylko trzeba łupinę zgryźć, jest ukryta głębsza myśl, ale ją trzeba umiéć wyszukać i wyrozumieć. Bo jeżeli w opisanych poprzednio zapasach Psyllowie ulegają nieukróconéj sile wichru południowego, to przez Psyllów rozumieć należy zuchwałych zapaleńców, a przez zwycięzki wicher zamęt porywczy i szał umysłu, który namiętnością nazywamy, bo namiętność gorzéj od wichury północnego i szybciéj od wiatru południowego wysusza poniki rozumu i przyćmiewa go, tak iż nawet ponętny dźwięk gęśli Apolina i różdżka czarodziejska Merkurego szału namiętności nie zdoła ułagodzić. Dla namiętności grzeszym przez całe życie

i schodzim z drogi cnoty, jeśli jéj nieokiełzna surowa i nieugięta siła woli. Ona téż podnieca narody do wojny, wszczyna szalone rozruchy w miastach i swawolną ręką młodzieńczych zgrai pokrywa kraj całunem śmierci. Rozruchów takich, mówi daléj Klonowicz, widziałem dosyć w ciągu mego życia, gdzie rozpasana młodzież stawała się postrachem miast, na pukaninę marnując nierozważnie proch, którego użyć raczéj należało przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu.

Tyle tylko mówi Klonowicz w rozdziale czterdziestym o rozruchach, a następnie przechodzi do wysławiania zalet życia miejskiego, jeśli ono nie jest zakłócone rozruchami. Przypatrzywszy się z rozwagą temu ustępowi, widzimy najprzód, że Klonowicz mitologią starożytną pojmował alegorycznie i starał się wytłómaczyć myśl ukrywającą się w przenośniach mitologicznych w sposób, który w 200 lat późniéj niektórym filologom zjednał niemało rozgłosu. Powtóre widzimy, że nie masz tu żadnéj myśli, żadnego szczegółu, któryby nam przypominał rokosz Zebrzydowskiego. Burd i rozruchów po miastach bywało za życia Klonowicza dosyć, wywoływanych już to przez stosunki wewnętrzne miast, już to przez załogi wojskowe często niesworności się dopuszczające, jak tego dowodzą liczne zażalenia, które z wszystkich stron zanoszono do hetmana koronnego. Te rozruchy kłócące pokój po miastach miał Klonowicz na myśli i dotknął ich tylko mimochodem, a łatwo można się domyśleć, że o rokoszu tak wielkich rozmiarów, jakim był rokosz Zebrzydowskiego, byłby się i obszerniéj i inaczéj rozpisał, jak to uczynił cokolwiek późniéj współczesny Klonowiczowi wielko polski poeta Kasper Miaskowski (1). Osnowa zatém pieśni czterdziestéj dzieła Victoria Deorum nie zniewala nas bynajmniéj do przypuszczenia, że Klonowicz żył w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, i będziemy mogli zgon poety oznaczyć rokiem wcześniejszym, jeśli mianowicie będziemy do tego mieli słuszne powody.

Lecz prócz osnowy niepodającéj ani wzmianki, ani napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego, jeszcze jedna ważniejsza okoliczność upewnia nas, że Klonowicz nie mógł mówić o tym rokoszu, bo dzieło jego Victoria Deorum napisane i wydane było około lat dwadzieścia przed rokoszem, a ściśle biorąc napisane jeszcze znacznie wcześniéj, bo chociaż autograf tego dzieła zachowywany w je-

(1) Nenia na rozruch domowy; Tren Rzeczypospolitéj w nieszczęsne wojny domowe; dialog o Zjeździe Jędrzejowskim, w Zbiorze Rytmów, Poznań 1622, str. 12—30 części drugiéj.

dnéj z zamożniejszych bibliotek warszawskich, nie jest opatrzony rokiem, to jednakże powszechnie wiadomo, że poeta nad dziełem pracował lat dziesięć (1), czyli że rozpoczął swą pracę blizko lat 30 przed rokoszem Zebrzydowskiego. Rok wydania tej najobszerniejszéj pracy Klonowicza nie był dotąd wiadomy, bo ukazało się bez wyrażenia roku i miejsca druku, a i przypisanie do Adama Gorajskiego datowane jest z domu własnego w Lublinie, ale bez wyrażenia dnia i roku. Z tego powodu dotąd powszechnie utrzymywano, że Victoria Deorum ukazała się w druku około r. 1600 u Sternackiego w Rakowie (2); i jedno i drugie podobno mylnie, bo i nie w roku 1600 i pewnie nie u Sternackiego, ale raczéj u Rodeckiego.

W niektórych bowiem egzemplarzach dzieła Victoria Deorum znajduje się, lubo rzadko, drugie przypisanie do Mikołaja Firleja wojewody wileńskiego datowane z domu własnego w Lublinie dnia 29 Kwietnia 1587. Rzadkość przypisania do Firleja tłómaczy się tém, że Firléj następnego zaraz roku umarł, a ponieważ sprawy ludzkie nie umarłymi, ale żywymi popiérane bywają, jak się wyraża uczony Jan Januszowski w przypisaniu dzieł Jana Kochanowskiego, przeto i Klonowiczowi wypadło żywego opiekuna dla swego dzieła szukać i znalazł go w osobie przychylnego i zamożnego przyjaciela Adama Gorajskiego, tego samego, dla którego ułożył ogłoszony niedawno rodowód Gorajskich. Zapewne mała liczba egzemplarzów rozeszła się z przypisaniem do Firleja w pierwszym roku po ukazaniu się dzieła; wszystkie późniéj sprzedane egzemplarze mają przypisanie do Gorajskiego, a tych jest najwięcéj, tak dalece, że trzy egzemplarze tego dzieła znajdujące się w téj saméj bibliotece, co własnoręczny rękopis Klonowicza, wszystkie opatrzone są przypisaniem do Gorajskiego, a pozbawione przypisania do wojewody Firleja. Jakkolwiek bądź, piérwsze dniem i rokiem oznaczone przypisanie dowodzi, jak się zdaje, niewątpliwie, że Victoria Deorum wydana była w druku za życia Mikołaja Firleja, bo zmarłemuby jéj Klonowicz nie przypisywał, i co podobno niewątpliwe, wydana w r. 1587, który to rok położył Klonowicz pod piérwszém przypisaniem. Kiedy więc Victoria Deorum nie była nietylko po rokoszu Zebrzydowskiego wydana, ale nawet ani w r. 1600, coby już wystarczało, lecz dobrze przed tym czasem, bo w r. 1587, to widocznie nie mogło w niéj nietylko mowy być, ale nawet ani najniewyraźniejszego napomknienia o tym rokoszu. Na mocy tego, co się zawiéra w całém dziele zna-

(1) Juszyński, Dykcyonarz poetów polskich t. 1 str. 174.
(2) Załuski Bibl. Poet. str. 49; Lelewel Bibl. I, 184.

nėm pod napisem Victoria Deorum, nie można nic zarzucić dacie śmierci Klonowicza, położonéj przez p. Detmerskiego pod r. 1603.

Za datą śmierci wcześniejszą od téj, którą podał Starowolski, oraz za zbliżeniem jéj do r. 1603, w którym Klonowicza jako nieżyjącego wspominają dokumenty urzędowe, przemawiają okoliczności inne, ważniejsze od mniemanych napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego. Najprzód wspomniana już podróż młodego Klonowicza do Węgier około r. 1560 nie przypadnie na dziewiąty, ale prędzéj na piętnasty rok jego życia, bo widocznie i rok urodzenia trzeba będzie wcześniéj położyć. Jak z jednéj strony trudno nam było wierzyć, aby dziewięcioletniego chłopca włóczono nie wiedzieć po co w daleką i na owe czasy dość uciążliwą podróż do Węgier, tak z drugiéj strony trzeba przyznać, że dziewięcioletni Klonowicz nie byłby pewnie w téj podróży robił spostrzeżeń, których w 40 lat póżniéj użył w Worku Judaszowym; byłby pamiętał może wypadek sam, którego był świadkiem, ale nie szczegóły jemu towarzyszące. Innėm okiem patrzy na świat piętnastoletni młodzian, jakim sobie wystawiamy Klonowicza na owéj podróży, i podróż sama mająca na celu poznanie świata i ludzi dopiéro w tym wieku może przynieść jakiś pożytek. Jak podróż dziewięcioletniego chłopca miała dla nas coś zagadkowego, tak podróżowanie w piętnastym roku życia musimy uznać za bardzo właściwe jako przyczynek do nauki życia. Trudność w wytłómaczeniu owéj podróży usuwa się zupełnie przez położenie innych dat urodzenia i zgonu poety.

Drugą okolicznością przemawiającą za wcześniejszym zgonem Klonowicza jest współczesne, lubo pośrednie tylko, świadectwo Jana Wielewickiego. Wiadomą jest rzeczą, że Klonowicz oskarżeniem złożonėm w piśmie *Equitis Poloni in Jesuitas actio prima*, wydaném bezimiennie w r. 1590, zalazł niemiłosiernie za kołnierz Jezuitom i zwrócił ich baczne oko na swoję osobę, tym bardziéj, że wydając pierwsze oskarżenie budził obawę, że na tém jedném nie poprzestanie. Umiejąc cenić przeciwnika, tym niebezpieczniejszego, że odznaczał się głębokością zasad, prawością charakteru i czystością życia, Jezuici zapewne go nie spuszczali z oka, a mając w ważniejszych miejscach kraju każdego czasu czujnych i zręcznych pomocników, mogli dokładnie wiedzieć o chwili jego zgonu, nawet gdyby nie na ich rękach skonał, jak niesie podanie niezupełnie pewne. W początkach siedmnastego wieku zarządzał domem profesów Towarzystwa Jezusowego w Krakowie ksiądz Jan Wielewicki, mąż niezmordowanéj pracy, który i historyą tegoż domu ułożył i pozostawił w rękopisie. Z rękopisu tego, bogatego w ważne szczegóły, korzy-

stał między innymi Muczkowski (1), a Wiszniewski (2) zaczerpnął szczegół o Klonowiczu zapisany przez Wielewickiego pod rokiem 1602 w następujących słowach: „Dawniéj słyszałem od moich kolegów, a dziś nie masz żadnéj wątpliwości, że autorem owego osławiającego nas pozwu (Actio prima) jest Seb. Klonowicz, radny miasta Lublina, niegdyś uczeń akademii krakowskiéj, który przywiedziony do ostatniéj nędzy wyznał niesłuszność owych potwarzy przeciw nam miotanych i zmarł w szpitalu lubelskim.“ Wprawdzie Wielewicki nie mówi wręcz, żeby Klonowicz umarł w r. 1602, i dlatego téż Wiszniewski, mimo przytoczony przez siebie szczegół o Klonowiczu, zatrzymał r. 1608 jako czas zgonu poety, jednakże po dokumencie ogłoszonym przez p. Detmerskiego staje się rzeczą prawie niewątpliwą, że Wielewicki, mówiąc pod rokiem 1602 o śmierci Klonowicza, był tego przekonania, że poeta umarł w 1602 roku. Ten sam wzgląd, co Wiszniewskiego, tłómaczy także wszystkich późniejszych biografów Klonowicza, którzy poszli za powagą Starowolskiego.

Przystępując w końcu do ostatniego świadectwa wykrytego dotąd na dowód zgonu wcześniejszego od tego, który Klonowiczowi naznaczył Starowolski, musimy się zapoznać z Mikołajem Żórawskim, który bądź co bądź nie był zwyczajnym człowiekiem: syn pisarza miejskiego lubelskiego, wykształcony w akademii krakowskiéj, zaszczycony dyplomem doktora filozofii tamże, a doktora medycyny w Padwie, powołany na katedrę akademii krakowskiéj, dla którego jednakże praktyka astrologiczna więcéj miała powabu niż katedra w akademii, bo był astrologiem królów Władysława IV i Jana Kazimierza (3) i lekarzem królowéj Maryi Ludwiki, a nadto doradcą możnych pań ciekawych przyszłości, sowicie opłacających jego przepowiednie, przy tém wszystkiém niepospolity znawca języków starożytnych, jak tego dowodzą przekłady kilku dzieł Cy-

(1) Mieszkania i postępowanie uczniów Krakowskich. Krak. 1842 str. II.

(2) Historya literatury tom VII str. 87.

(3) Na tytule Kalendarza na r. 1651 wydanego pod tytułem Hemerologejon podpisał się „Filozofii i Medycyny Doktorem, Naylaśnieyszego ś. p. Władysława IV, a teraz nam szczęśliwie panującego Jana Kazimierza, królów polskich i szwedzkich Mathematykiem.“ Żebrawski wymienia tylko jeden jego kalendarz na r. 1666 w Bibliografii Nauk matematyczno-fizycznych; ja znam je z lat 1648 (przypisany Stanisławowi Koryclńskiemu cześnikowi krakowskiemu), 1651 (w przedmowie rozprawia o związku medycyny z matematyką), 1654 (dwa wydania, oba przypisane Samuelowi z Lipia Lipskiemu, podkomorzemu królewicza Karola Ferdynanda), i z r. 1655 (przypisany Mikołajowi Olbrachtowi z Olekszow Gniewoszowi, bisk. kujaw.), wszystkie in 16-o.

cerona, dokonane przez niego na język grecki. Lecz winienem ostrzedz, że było dwóch Mikołajów Żórawskich; ojciec, pisarz lubelski, zmarły w r. 1624 w Lublinie, i syn, medyk i astrolog, urodzony 10 Października 1595. Starszy Mikołaj Żórawski, towarzysz Klonowicza w urzędzie, był także wychowańcem akademii krakowskiéj, i jako człowiek uczony zapewne należał do zażyłych przyjaciół poety. Dobrych tych stosunków Żórawskich z Klonowiczem pozostał ślad w przekładzie polskim głównego dzieła Klonowicza nazwanego Victoria Deorum. Nie wiadomo jednakże na pewno, któremu Żórawskiemu przekład ten przypisać należy, bo i jeden i drugi miał naukę po temu; prędzéj jednakże synowi, a to z powodu przedmowy do tego przekładu. Juszyński, który z Czackim przekład ten wynalazł w bardzo uszkodzonym egzemplarzu, przytacza w Dykcyonarzu poetów polskich (I, 175) z przedmowy tłómacza następujący ustęp: „Jezuici dali sentencyą o tém dziele napisawszy: *Quid premii versibus tam dignis, nisi carnifex et ignis?* a przecię sami i pogańskich poetów są edytorami; ale gdyby im pozwolono, i akademickich dzieł połowęby spalili. Czegóż oni nie dokazywali z nami? *Turba gravis paci placidaeque inimica quieti* (tłum uciążliwy dla zgody i nieprzyjazny miłemu pokojowi). Nie chwalę ja, iż poeta nie pobożny; ale któż nie przyznaje, że przedni? I ja opuściłem, co nie przystało dobremu katolikowi.“ Żorawski starszy uzyskał w akademii krakowskiéj bakalaureat z nauk wyzwolonych w r. 1581 i pewnie niebawem przeszedł na urzędowanie jeszcze za panowania Stefana Batorego. Zatargi Jezuitów z akademią krakowską zaczynają się na dobre za panowania Zygmunta III, i natarczywszemi stają się dopiéro w drugiéj połowie tego panowania. W czasie tym Żórawski młodszy był członkiem akademii i tylko on mógł napisać wykrzyknik: Czegóż oni nie dokazywali z nami? bo tylko młodszemu jako profesorowi akademii służyło prawo zaliczyć się do grona akademików, doznających krzywd od Jezuitów. On także czuł się obowiązanym opuścić w przekładzie miejsca rażące katolików, gdyż odebrawszy cztéry mniejsze święcenia w r. 1618 od Tomasza Oborskiego sufragana krakowskiego (1) liczył się do stanu duchownego. Bądź co bądź, przekład dzieła Klonowicza, narażający tłómacza w téj samćj mierze, jak się naraził autor oryginału, dowodzi, że z Żórawskimi miał Klonowicz stosunki przyjacielskie, bo jeden cenił

---

(1) W dzienniku swym pod dniem 22 Września pisze: Anno 1618 sum ordinatus pro quatuor minoribus ordinibus a Rom Thoma Oborski suffraganeo crac. Episcopo laodicensi.

go jako kolegę w urzędzie i przyjaciela, drugi jako z dzieciństwa znany sobie wzór nauki i prawości, jako umysł goracujący nad wszystkimi, którzy stanowiskiem i nauką równać się z nim mogli. Wiersze nagrobne, poświęcone pamięci Klonowicza przez młodszego Żórawskiego, można także poniekąd uważać za ślad tych przyjacielskich stosunków. Stosunek ten pozwala nam mniemać, że jak dla jednego, tak dla drugiego Żorawskiego nieobojętne były koleje życia Klonowicza, i że podanie dnia zejścia poety przez któregokolwiek z nich zasługuje na wiarę, jeśli nią inne dotąd nieznane powody nie zachwieją.

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie posiada dzieło p. t. *Calendarium historicum conscriptum a Paulo Ebero*, wydane w r. 1571, które tak jest urządzone, że każdy dzień roku ma poświęconą sobie osobną stronicę, na której wydrukowane najważniejsze wypadki historyczne w tym dniu zaszłe, a nadto pozostawiono część stronicy białą dla dopisywania współczesnych wypadków. Kalendarz ten należał najprzód do Szlązaka rodem z Frankensztejnu, nazwiskiem Schlissel, który od 25 Lipca 1572 zamieszkał w Krakowie i pracował w domach handlowych Vihausera, Rottermunda a w końcu Rappa. Człowiek, jak na kupca, dosyć wykształcony, zapisuje po łacinie koleje własne od r. 1572 do 1595, a gdzieniegdzie skrzętnie notuje współczesne wypadki historyczne, jako to Stefana Batorego wjazd tryumfalny do Krakowa w r. 1583, przybycie i koronacyą Zygmunta III, wjazd Anny Austryaczki, sprowadzenie Samuela Zborowskiego, ścięcie i zabranie zwłok przez Andrzeja Zborowskiego, wszystkie kroki Arcyksięcia Maksymiliana, dalej wszelkie niezwyczajne wypadki, jak powodzi w Krakowie, zgorzenie Olkusza w r. 1584, któremu w Polsce Starożytnéj (II, 100) mylnie r. 1583 naznaczono, postrzelenie dziewczynki w kościele Panny Maryi, spalenie dwóch Niemców i jednego Węgra za podrabianie dukatów; szczegóły o rzeczach piszącego bliżéj obchodzących, a więc o kupcach i kalwinach, w końcu daty urodzenia i zgonu osób znakomitszych. Schlissel zapewne umarł około r. 1595, bo na tym roku urywa się jego dziennik; kalendarz jego, jak się domyślam, został w rodzinie ostatniego jego chlebodawcy Rappa, i tutaj zastał go Mikołaj Żorawski, kiedy w r. 1612 obejmował kierunek wychowania synów Rappa. Żórawski w sposób podobny, jak poprzedni właściciel kalendarza, zaczął w nim zapisywać tak wypadki współczesne jako téż daty z ubiegłych lat, jeśli dla niego z jakiegokolwiek względu miały znaczenie; najwięcéj wiadomości podaje o samym sobie, jakoto dzień urodzenia, odwiezienia do szkół krakowskich, przyjęcia do bursy Jeruzalem, bakalaureatu, doktoratu, objęcia katedry, przystania do

króla Władysława IV, śmierci ojca, matki, babki, przyjścia na świat Władysława IV, śmierci królowéj Konstancyi i Cecylii Renaty, wjazdu Tomasza Zamojskiego na starostwo krakowskie i innych ważniejszych wypadków między r. 1612 a 1663. Dla nas najbardziéj zajmująca jest wiadomość, zapisana pod dniem 29 Sierpnia w następujących słowach: Tego dnia umiéra Sebastyan Acernus, poeta znakomity, w nocy roku 1602; pochowany w kościele parafialnym lubelskim pod wezwaniem Ś. Michała Archanioła" (1).

Nie mogę zaprzeczyć, że wiadomość ta zdaje się być zapisana ręką młodszego Żorawskiego, a ponieważ on w r. 1602 miał lat siedm przeto być łatwo może, że notatka zrobiona jest nie świeżo po zgonie Klonowicza, lecz może znacznie późniéj. W takim razie i możność pomyłki nie da się uchylić, gdyby się mianowicie w księgach radzieckich lubelskich pokazały ślady żyjącego Klonowicza po dniu zejścia podanym przez Żorawskiego. Jeśli to nie nastąpi, wypadnie podanie Żorawskiego uznać za pewne, a przynajmniéj pewniejsze i od daty przez Starowolskiego podanéj i od daty osiągniętéj z pokwitowania spadkobierców Klonowicza w dniu 1 Marca 1603. Żorawski mógł tego szczegółu dowiedzieć się dokładnie od swego ojca, a nadmieniając, że Klonowicz umarł w nocy, chciał widocznie chwilę zejścia zapisać jak najdokładniéj. Data zgonu Klonowicza, zapisana pewną ręką przez Żorawskiego pod r. 1602, godzi się téż bardzo dobrze i z podróżą do Węgier i z wzmianką Wielewickiego i w końcu z pokwitowaniem spadkobierców, a że i Victoria Deorum już jéj nie stoi na przeszkodzie, możemy ją przyjąć za pewną, przynajmniej póki lepsze i pewniejsze jeszcze źródła nie podadzą jéj w wątpliwość.

Może zbyteczną będzie rzeczą nadmieniać, że nie chciałem czytelnikowi zaprzątać głowy niepotrzebnie zbijaniem podań takich jak np. Marylskiego, który jako dzień śmierci Klonowicza wymienia 28 Grudnia 1608 (1). Podania takie gołosłowne, niewskazujące źródeł, z których były zaczerpnięte, nie mają żadnego znaczenia, w porównaniu ze źródłami współczesnemi Klonowiczowi, na których starałem się oprzeć niniejsze badanie.

Wszystkie dotychczasowe życiorysy Klonowicza, a co najtrudniejsza, nawet pomnik żelazny wzniesiony na jego uczczenie w Sulmierzycach, będą musiały uledz poprawkom bo ze zmianą dnia śmier-

---

(1) Hoc die Sebastianus Acernus poeta insignis moritur noctu anno 1602. Sepultus in ecclesia parochiali Lublinensi tituli S. Michaelis Archangeli.

(2) Wspomnienie zgonu zasłużonych Polaków, str. 280.

ci łączy się ściśle i zmiana dnia urodzenia. Jeżeli bowiem rok 1551 podawano dotąd jako rok urodzenia Klonowicza, to czyniono to tylko na mocy podania Starowolskiego, opiewającego, że Klonowicz schodząc ze świata w r. 1608 miał lat 57; żadne z dawniejszych źródeł nie zawiéra roku jego urodzenia samego. Zachodzi tylko pytanie, co począć z zapewnieniem Starowolskiego, że Klonowicz miał przy zgonie lat 57? Czy i to podanie mamy odrzucić? Sądziłbym, że nie masz potrzeby. Rok śmierci poety powtarzaliśmy wszyscy za Starowolskim, bo trudno było odmówić wiary pisarzowi, zbiérającemu skrzętnie i z zamiłowaniem szczegóły życia mężów dobrze zasłużonych krajowi rozległą nauką i rozpowszechnianiem jéj. Jeśli dziś odrzucamy rok śmierci podany przez Starowolskiego, to odrzucamy go tylko dlatego, że źródła współczesne naprowadziły nas na ślad oczywistéj pomyłki Starowolskiego. Dopóki ze źródeł współczesnych nie będzie dowiedzione, że Klonowicz nie miał lat 57 wieku, kiedy schodził ze świata, nie mamy ani prawa, ani powodu powątpiewać o wiarogodności tego podania Starowolskiego, bo nie zawsze się myli ten, co raz się pomylił. Przyjąwszy zaś ten wiek poety przy zgonie, otrzymamy przez proste obliczenie z rokiem 1602, jako dowiedzionym rokiem śmierci, rok urodzenia nie 1551, jak dotąd podawano, ale rok 1545. Mojém zdaniem zamianie téj nic się nie sprzeciwia, i da ona pogodzić się bardzo dobrze z wszystkiemi innemi okolicznościami życia poety Acerna.

Ustalenie nowych dat urodzenia i śmierci Klonowicza, złożony dowód, że główne jego dzieło Victoria Deorum na lat dwadzieścia przed rokoszem Zebrzydowskiego było pisane, w końcu wykazanie, że wdowa i spadkobiercy w niedługi czas po śmierci poety są w możności oczyścić pozostałą po nim kamienicę z ciążącego na niéj długu: wszystkie te szczegóły zmieniają znacznie życiorys poety i przedstawiają nam go w nieco odmienném świetle. Wcześniejszy tylko o lat sześć rok urodzenia Klonowicza byłby sam przez się rzeczą małéj wagi, gdyby urodzenie jego przez to przeniesienie pod r. 1545 nie przechodziło z pod panowania Zygmunta Augusta pod panowanie Zygmunta Starego. Klonowicz okazuje nam się teraz tylko o lat piętnaście młodszym od Jana Kochanowskiego, a ogarniając swém życiem panowanie wszystkich trzech Zygmuntów, wychodzi Klonowicz na przedstawiciela całego zygmuntowskiego okresu naszéj literatury.

Przekonawszy się w ciągu niniejszego badania dowodnie, jak mylnie dotąd podawano najważniejsze szczegóły życia Klonowicza, nie możemy się opędzić podejrzeniu, że i inne szczegóły do niego się odnoszące może nie całkiem zgodnie z prawdą bywają opowia-

dane. Mamy na myśli przedewszystkiém nieszczęśliwe pożycie z osławioną żoną, niedostatek pod koniec życia i śmierć w szpitalu. Dwa z tych szczegółów przynajmniéj zaczynają być bardzo wątpliwe.

Z przytoczonego wyżéj pokwitowania wdowy i spadkobierców pokazało się, że nawet po śmierci poety dom jego należał jeszcze do spadkobierców, oraz że ci spadkobiercy, nawet kiedy głowy zabrakło rodzinie, mogli spłacić dług na ten dom zaciągnięty. Nie chcąc przypuszczenia robić, żeby rodzina śmiała znanego już wówczas zaszczytnie i cenionego przez najznakomitszych w kraju ludzi męża i ojca rodziny wyrzucić z domu z jakichkolwiek powodów, będziemy musieli powątpiewać i o nędzy poety pod koniec chlubnie spędzonego życia i o jego śmierci w szpitalu, nie wchodząc już w to, czy szpitalem owym zarządzali wówczas Jezuici, czy téż nie. Śliczny poemat Kondratowicza, osnuty na tém podaniu budującém, utraci może przez to podstawę historyczną, ale téż może rodzinie wróci cześć, od któréj ją przez trzy blisko wieki odsądzano.

Wieść niesie, że pan Detmerski zamyśla opracować i ogłosić biografią Klonowicza; przyklaskujemy temu pięknemu zamiarowi i cieszymy się nadzieją, że przy pomocy źródeł archiwalnych pan Detmerski odsłoni nam z czasem postać poety taką, jaką była w rzeczywistości, choćby tylko w sposób podobny, jak przed laty kilkunastu również przy pomocy źródeł archiwalnych zestawiono koleje życia poety Kaspra Miaskowskiego.

POLIKARP GIRSZTOWT,

PROFESOR UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO.

Gdy w r. 1857 po długiéj 26-letniéj ciszy w dziedzinie nauki zatknięto znowu jéj sztandar na gmachu byłego Towarzystwa przyjaciół nauk, jednym z pierwszych, którzy pod nim stanęli, był Polikarp Girsztowt. Nazwisko Girsztowta tak się zrosło ze wspomnieniami b. akademii med. chirurgicznéj i z dziejami b. szkoły głównéj, tak powszechnie było wszystkim znane, że śmiało nazwać go możemy jednym z najpopularniejszych ludzi wśród naszego społeczeństwa, przez swoje zaś prace nauczycielskie i literackie należy on do szczupłego grona mężów, którzy się najbardziéj zasłużyli krajowi i nauce.

Ś. p. Polikarp Girsztowt urodził się d. 15 Lutego 1827 roku na Żmudzi. Pierwsze nauki pobiérał w Kiejdanach, a następnie w Wilnie, gdzie skończył Gimnazyum jako uczeń celujący i został nagrodzony medalem. Z Kiejdan do Wilna Girsztowt przybył w r. 1845 i wstąpił wprost do 6-éj klasy. Tu najulubieńszym dlań przedmiotem, któremu się oddawał z zapałem, była historya. Odznaczał się nadzwyczajną pamięcią, i raz nabytych wiadomości niełatwo zapominał. Nauczycielem historyi w gimnazyum wileńskiém był wówczas Jan Fok, człowiek zdolny i także obdarzony znakomitą pamięcią. Girsztowt zadziwiał go jednak łatwością z jaką mógł zapamiętać daty i wyliczać fakty, które jednocześnie miały miejsce w rozmaitych państwach i krajach. Matematyka była dla niego mniéj pociągającą i w tym przedmiocie nigdy się nie odznaczał. W roku 1847 przybył do Petersburga i zapisał się do akademii wojskowo-chirurgicznéj.

Tu jako student był już bardzo czynnym i pracowitym; najprzód założył bibliotekę dla studentów polaków z drobnych składek, w których sam przyjmował największy udział. W czasie jego zarządu, biblioteka ta była w kwitnącym stanie. Następnie urządził lekcye dla studentów, kształcących się na lekarzy; wykładano na nich historyą, jezyki nowożytne i język łaciński, którego sam nauczał.

W ciągu swych studyów ze szczególném zamiłowaniem zajmował się anatomią i chirurgią. Przedstawił konferencyi akademickiéj tłómaczenie anatomii Wilsona, która jednak nigdy nie była drukowaną. Dnia 30 Maja 1852 złożył egzamen na stopień D-ra medycyny, a w d. 7 Marca 1853 po obronie napisanéj przez siebie dysertacyi; „De dignoscendis centrorum nervosorum morbis,“ za którą przez akademią został nagrodzony medalem, przyznano mu stopień Doktora medycyny. Podczas pobytu w akademii wydał na widok publiczny wykaz parafij rzymsko-katolickich w Rossyi.

Dnia 6 Lipca 1852 roku został przeznaczony do 2-o Wojskowo-Lądowego Petersburskiego Szpitala, jako ordynator nadkompletny. Dnia 15 Września 1852 roku obok powyższego obowiązku, został asystentem kliniki terapeutycznéj szpitalnéj w akademii petersburskiéj. W Kwietniu 1853 r. delegowany był do szpitala oftalmicznego wojskowego w Odessie dla zbadania i zapobieżenia dalszemu tam grasowaniu zapalenia oczu; z czynności téj przedstawił sprawozdanie. Dnia 10 Kwietnia 1853 r. wybrany został członkiem rzeczywistym Cesarskiego Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego w Południowéj Rossyi. Dnia 15 Maja 1853 r. Towarzystwo lekarzy odesskich wybrało go swoim członkiem-korespondentem.

Od roku 1853 do r. 1856 pozostawał w charakterze lekarza wojskowego; najprzód w księztwach Naddunajskich, gdzie był lekarzem naczelnym czasowego szpitala wojskowego, a następnie niósł pomoc ranionym przy oblężeniu Sebastopola. W r. 1854 otrzymał polecenie od Jenerał-Sztab-Doktora zbadania wód mineralnych na Wołoszczyznie, co téż i dopełnił, składając o nich obszerne sprawozdanie. Podczas oblężenia Sylistryi i Sebastopola jako operator miał obszerne pole do studyów nad chirurgią praktyczną, z dziedziny któréj pisywał liczne artykuły. W dniu 5 Września 1856 r. mianowany został na nowo nadkompletnym ordynatorem petersburskiego wojskowo-lądowego szpitala, a jednocześnie powołany został na asystenta kliniki chirurgicznéj w petersburskiéj akademii.

Wezwany przez Prezydenta nowo-kreowanéj akademii medyko-chirurgicznéj warszawskiéj do wykładu chirurgii teoretycznéj z oftalmologią i otyatryą, Girsztowt odczytał w dniu 13 Grudnia 1858 r. wstępną lekcyą publiczną w obec członków konferencyi akademii

medyko-chirurgicznéj w Petersburgu i delegatów ze strony Ministeryum Oświecenia „o zachowawczym kierunku chirurgii nowoczesnéj,“ w dniu 18 Grudnia tegoż roku ostatecznie mianowany profesorem. Niezwłocznie potém udał się w podróż naukową do Niemiec, Francyi, Anglii, Belgii i Holandyi w celu udoskonalenia się w chirurgii, pobiérając subsidium rządowe po 1.000 rs. rocznie. Po powrocie w Sierpniu 1859 roku złożył obszerne sprawozdanie pod t. „Pogląd na obecny stan chirurgii w Europie;“ w d. 27 Stycznia 1860 r. zostaje zatwierdzony w godności profesora zwyczajnego, i poruczone mu są jednocześnie konsultacye chirurgiczne przy warszawskich szpitalach wojskowych. Na tém dopiéro właściwém sobie polu rozpoczął siedmnastoletnią nieprzerywaną i niezmordowaną pracę około kształcenia młodzieży i oddał się jéj z całym zapałem i poświęceniem. Chcąc ocenić zasługi Girsztowta jako profesora, musimy przypomnieć w jakich okolicznościach objął swoję katedrę i jakiemi środkami do nauczania mógł rozporządzać. W obec młodzieży chciwéj nauki, stanął on, że tak powiemy, z gołemi rękami; pole chirurgiczne leżało odłogiem a lekkie zaledwie ślady pozwalały się domyślać, że je niegdyś uprawiano. Spuścizna, jaką zostawił uniwersytet warszawski akademii medyko-chirurgicznéj była nader szczupłą. Profesorowie ś. p. Dybek i Zanikowski nic jéj prawie nie przekazali na piśmie z dziedziny chirurgii, krótka chirurgia Czekierskiego wcale już nie odpowiadała potrzebom chwili, a mistrzowskie dzieła Nowickiego „O odejmowaniu członków, jako też o złamaniu kości i sposobach ich leczenia“ zawierały tylko małą cząstkę z rozległych chirurgii obszarów. Zupełny brak podręczników i dzieł odpowiednich w języku polskim bardzo utrudniał kształcenie młodzieży. Girsztowt jednak wszystkiemu zaradził, wszystko obmyślał, wszystko stworzył. Rozpoczynając swój wykład w dniu 5 Września 1859 r., wezwał studentów do przełożenia na język polski chirurgii Emmert'a (Lehrbuch der Chirurgie von Dr. Carl Emmert, Stuttgardt 1859), co też wkrótce zostało uskutecznioném; przekład ten jednak dla braku funduszów nigdy nie był drukowanym. Ciągłą i niezmordowaną pracą starał się ś. p. Girsztowt zastąpić brak środków nauczania: widziano go też w dni świąteczne i podczas feryi pracującego wraz ze swoimi uczniami w amfiteatrze nad anatomią topograficzną i chirurgią operacyjną, lub téż otoczonego młodzieżą wchodzącego, że tak powiem, na przebój do różnych szpitali, by przy łóżku chorego w praktyce wyjaśnić te zasady, które z katedry teoretycznie wpajał w umysły swoich słuchaczy. Administracya szpitali niechętném okiem patrzyła na to obchodzenie Girsztowta z uczniami na sale szpitalne, rozmaitemi sposobami starała się temu przeszkadzać, Gir-

sztowt jednak wszystko pokonywał: jednych ujmował łagodnością, drugim przedstawiał korzyść naukową młodzieży, czasem się unosił i był szorstkim, a wszystko to robił w głębokiém przekonaniu i poczuciu potrzeby łączenia wykładu teoretycznego z demonstracyami klinicznemi, bez których sam tylko wykład ustny, obarczając pamięć słuchaczów, przynosi mało korzyści umysłowéj. Staraniem i zabiegami swojemi zrobił to, że w skutek przedstawienia konferencyi akademii zgodzono się na wyznaczenie w szpitalu ujazdowskim w Czerwcu 1861 r. dwóch sal o 35 łóżkach z chorobami chirurgicznemi, do których mogli uczęszczać studenci, dla ćwiczeń klinicznych. W tym szpitalu, w roku 1861 i 1862, prof. Girsztowt przeprowadził w obec studentów szereg doświadczeń, przez które stwierdził prawdziwość teoryi D-ra Rassereau. W szpitalu alexandryjskim były robione doświadczenia nad sposobami leczenia Watzer'a, które dały pomyślne rezultaty.

W dniu 1 Paźdz. 1862 roku akademia medyko-chirurgiczna została wcieloną, jako wydział lekarski do szkoły głównéj, w której professor Girsztowt zatrzymał stanowisko jakie zajmował w b. akademii. W roku 1864 uwolniony został od obowiązków konsultanta przy szpitalach wojskowych w Warszawie. W roku 1865 wybrany został na członka Czynnego Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego a w r. 1867 na członka korespondenta Tow. Lek. Wileńskiego. W roku 1865 Girsztowt opracował „Rys Historyczno-Statystyczny Cesarsko-Królewskiéj warszawskiéj medyko-chirurgicznéj akademii.“ Ten najważniejszy Pamiętnik, pięć lat tylko trwającéj instytucyi, ochroni od zapomnienia i przekaże historyi oświaty narodowéj niemało ważnych szczegółów, któreby zaginęły bezpowrotnie. W roku 1866 Girsztowt rozpoczął wydawać „Gazetę Lekarską“ a wkrótce potém „Bibliotekę Umiejętności Lekarskich,“ zawierającą w chwili obecnéj 38 dzieł, już ukończonych, a kilkanaście jużto rozpoczętych, już téż na ukończeniu będących.

Bibliotekę Umiejętności Lekarskich składają dzieła oryginalne i przełożone z języków obcych:

1. Akuszerya (Dr. Neugebauer Tom 1) Tom III (Dr. Jerzykowski).

2. Anatomia chirurgiczna (A. Richet), przekład Dr. Marcelego Lewińskiego.

3. Anatomia opisowa ciała ludzkiego (Quain—Hoffmann), przekład Dr. Kazimierza Gurbskiego.

4. Anatomia patalogiczna profesora Brodowskiego.

5. Anatomia praktyczna) (Budge), przekład Dr. Mayzla.

6. Auskultacya i perkussya (Gerhardt), przekład Dr. Wyrzykowskiego.

7. Balneologia D-ra Mich. Zieleniewskiego.

8. Chemia lekarska D-ra prof. Fudakowskiego.

9. Chirurgia ogólna i szczegółowa prof. Girsztowta.

10. Chirurgia operacyjna D-ów Kwaśnickiego, Stankiewicza i Wszebora.

11. Dermatologia (Neumann), przekład D-ra Stockmanna.

12. Elektroterapia D-ra Domańskiego.

13. Episoocyologia i Weterynaria policyjna prof. Seifmanna.

14. Farmacya (Duflos), przekład D-rów Fabiana i Piaseckiego.

15. Farmakognosya (prof. Trapp).

16. Farmakologia i Receptura (Schuchardt i Posner), przekład D-ra Wyrzykowskiego.

17. Fizyologia (Donders-Hoyer i Wundt), przekład D-ów Fabiana i Stockmanna.

18. Gynekologia (Veit), przekład D-ra Gruella.

19. Hygiena publiczna i prywatna (Oesterlen), przekład prof. Łuczkiewicza.

20. Histologia i histochemia (Kölliker, Frey), przekład D-ra Witkowskiego.

21. Historya medycyny (Häser), przekład D-ra Heinricha.

22. Laryngoskopia i rinoskopia D-ra Taczanowskiego.

23. Medycyna sądowa. (Casuer—Liman), przekład D-ów Wisłockiego i Witkowskiego.

24. Nauka o chorobach wenerycznych (Reder-Zeissl), przekład D-ra Kurcyusza.

25. Oftalmologia (Wecker), przekład D-ra Jodko.

26. Patologia ogólna (Uhle, Wagner, Hartmann), przekład prof. Łuczkiewicza.

Patologia i terapia szczegółowa:

27. Choroby mózgu i nerwów prof. Łuczkiewicza.

28. Choroby narządu oddychania (Duchek-Ziemssen).

29. Choroby serca i naczyń prof. Łuczkiewicza.

30. Choroby narządu ruchu (prof. Ziemssen).

31. Choroby przyrządów jamy brzusznéj (Henoch).

32. Choroby nerek (Dr. Rosenstein).

33. Choroby zaraźliwe chroniczne (Heller i Bollinger).

34. Choroby zaraźliwe ostre (Ziemssen).

35. Pedyatrya (Vogel), przekład D-ra Sommera.

36. Policya lekarska (Pappenheim).

37. Propedeutyka lekarska D-ra prof. Łuczkiewicza.

38. Psychjatria prof. Pląskowskiego.

39. Rys praktycznéj otratryi D-ra Taczanowskiego

40. Terapia ogólna prof. Dybka.

41. Termometria i Stygmografia (prof. Alvarenga).

42. Toksikologia prof. Wisłockiego. Uroskopia i semiotyka moczu (Neubauer, Vogel), przekład D-ra Witkowskiego.

Bibl. Um. Lek. jak widzimy jest wydawnictwem obszerném, bo już dziś około dwóch tysięcy większych arkuszy druku zawierającém. W ciągu prac około wydawnictwa Biblioteki nie przestawał Girsztowt zasilać Gazety lekarskiéj artykułami, mającemi wysokie znaczenie naukowe, których tu wyliczać nie możemy i musimy odesłać czytelnika do tego pisma. Oprócz powyższych dzieł wydawał „Przegląd Postępu Nauk Lekarskich,“ „Kalendarz Lekarski,“ „Historyę Zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiém“ i wiele przekładów dzieł naukowych lekarskich z języków obcych na ojczysty jako to Rys Chirurgii teoretycznéj ogólnéj i szczegółowéj, przekład dzieła Heitzmana; Odczyty o operacyach akuszeryjnych, przekład dr. Barnes'a; Choroby układu nerwowego, przekład dr. Ziemssena; Choroby oczu, przekład uzupełniony Meyer'a; Chirurgia ogólna i szczegółowa, przekładu prof. Billroth'a i Koenga; Nauka o chorobach kobiét, przekład Dr. Schroeder'a; Nauka o chorobach dzieci, przekład dzieła Huttenbrenner'a.

Jak widzimy z długiego szeregu powyższych dzieł, zasługi ś. p. Girsztowta na polu literatury lekarskiéj są niezmierne: w wydawnictwie tém ześrodkował on wszystkie siły naukowe lekarskie całego kraju. Rozległa ta praca napotykała liczne przeszkody, które Girsztowt zwalczał z niewypowiedzianą energią. Girsztowt nie szedł drogą już utorowaną; wydawnictwo tak obszerne wymagało znacznych sił, które były rozpierzchłe, nieprzywykłe do pracy, bo literatura lekarska

u nas bardzo słabe tylko objawy życia okazywała, a koniecznéj potrzebie zaradzano sprowadzaniem dzieł zagranicznych. Trzeba więc było te siły rozpoznać, pobudzić je do pracy, a pracę skierować do jednego celu. Każdy kto zblizka przypatrywał się zabiegom ś. p. Girsztowta w zbiéraniu materyałów dla Biblioteki, Gazety Lek. i innych wydawnictw, jako téż trudnościom, z któremi walczył, przyznać jemu musi niezłomną energią, zaparcie się siebie samego, na które zdobyć się mogą tylko umysły wyższe, co ukochały swoje społeczeństwo i działają z całą świadomością, że pracą swoją przynoszą mu pożytek moralny i materyalny.

Nieraz mówiono Girsztowtowi, że jego wydawnictwo nosi na sobie cechę pośpiechu; na to zwykł był odpowiadać: „śpieszyć się musimy, by odrobić wielkie zaległości w szeregu lat przeszłych.“ Nic go nie zrażało, nic mu przeszkodzić nie zdołało w urzeczywistnieniu raz powziętéj myśli, ciągle szedł naprzód. Najbardziéj żałować musimy, że ś. p. Girsztowt przerwał wydawnictwo swojéj chirurgii teoretycznéj po opracowaniu działu o chorobach skórnych. Zajęty obowiązkami nauczycielskiemi i zabiegami około Gazety Lekarskiéj i Biblioteki Um. Lek., poświęcał im wszystkie swoje chwile, odkładając ułożenie chirurgii teoretycznéj do wolniejszéj pory, gdy się usunie od obowiązków uniwersyteckich i ukończy Bibliotekę. Jedno i drugie zbliżało się już ku końcowi, Girsztowt spokojnie miał zasiąść do swojego dzieła, kiedy w d. 5 Listopada 1877 mordercza ręka, zadając mu ranę nożem w górną część lewego uda, przerwała jego życie, pełne pracy i zasług z niepowetowaną stratą dla kraju i nauki. Pomimo natychmiastowéj pomocy i najusilniejszych starań lekarzy zakończył życie dnia 11 Listopada 1877 r.

Byłto mąż niezmordowanéj pracy, najszlachetniejszych dążeń, cały oddany kształceniu młodzieży, którą ukochał gorącém sercem, wspiérając ją moralnie i materyalnie; młodzież odpłacała się téż jemu wdzięcznością i miłością nawet po zakończeniu nauk; najlepszym dowodem tego były ostatnie dni jego życia, gdy wieść o smutnym wypadku rozeszła się po całym kraju, zewsząd się zbiegli jego koledzy i uczniowie, by otoczyć śmiertelne łoże ukochanego profesora, a liczne telegramy z ubolewaniem nadchodziły od tych, którzy doń sami przybyć nie mogli.

Charakter ś. p. Girsztowta był przyjacielski, dla wszystkich przystępny, a gdy czasem bywał popędliwym zawsze pierwszy wyciągał dłoń ze słowami zgody na ustach. Od myśli do czynu przechodził bezpośrednio, a w wykonaniu swoich pomysłów nie znał przeszkód. Pamięć miał nadzwyczajną, objęcie rzeczy szybkie, wyobraźnią żywą, wykłady jego były pełne życia i pociągały ku sobie

umysły najbardziéj nawet leniwe. Styl jego, w dziełach treści czysto naukowéj, był prosty i jasny; gdy pojęcia bardziéj uogólniał, jak to widzimy we wstępie do Rysu historyi warszaw. akad. med.-chir., styl jest wzniosły i wytworny w biografiach chirurgów polskich Bierkowskiego, Czerwiakowskiego, Dybka, Poręjanki, Nowickiego, a miejscami staje się porywającym. Biografie jego mogą służyć za wzór do tego rodzaju prac literackich. Pamięć jego na długo zostanie w sercach jego współziomków; nauka w nim straciła jednego z potężniejszych swoich rzeczników, młodzież światłego i niezmordowanego nauczyciela, a kraj najszlachetniejszego obywatela!

Dr. Med. Jan Kwaśnicki.

KRYTYKA.

1. *Źródła dziejowe* w wydaniu Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego. Tomy I—VI. Warszawa w drukarni Emila Skiwskiego. 1876 i 1877.

Pod ogólnym tytułem źródeł dziejowych już od dwóch lat blizko ukazują się na widok publiczny nieznane dotąd dokumenty, odnoszące się do historyi polskiéj XVI i XVII wieku. W sześciu wydanych obecnie tomach znajdujemy wiele drogocennych materyałów do poznania epoki, zaledwo jeszcze napoczętéj w studyach naukowych. Każdy tom jest opatrzony rozprawą wydawcy, objaśniającą treść zawartych w tekście dokumentów. Całość wydawnictwa, naturalnie, systematyczną nie jest i być nie może. Z tego powodu i nasza ocena musi pojedyńczych trzymać się tomów.

Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego Wojewody Poznańskiego Listy i mowy wydał A. Jabłonowski. 1876.

Imię Grzymułtowskiego jest związane z traktatem Moskiewskim 1686 r., którym Jan III we trzy lata po swéj wiekopomnéj „potrzebie“ wiedeńskiéj zrzekał się Kijowa i Smoleńska, a który, zdaniem Sołowijowa i innych historyków, zapewnił Rosyi stanowczą przewagę na północy, kosztem Polski. Do Voluminów Legum umowa ta wpisaną została dopiéro w 1710 roku, gdy Polska znajdowała się w zamęcie wielkiéj wojny północnéj, a Piotr wielki pokonał Karola XII pod Pułtawą i tym sposobem przewagę państwa swojego rzeczywiście ugruntował. Nic dziwnego, że imię Grzymułtowskiego, jako głównego posła, nie było dla Polaków miłém, obarczyło go téż rozlicznemi zarzutami, jak powiada p. Jabłonowski, nawet „ciemne podanie dziejowe.“ Ale postać niefortunnego dyplomaty mało zna-

ną była, chociaż zaostrzała wielce ciekawość historyków; tu i owdzie bowiem natrafiano na ślady długiéj i ruchliwéj działalności jego politycznéj od czasów Jana Kazimiérza aż do połowy panowania Jana III (zapewne do 1687 r.). Pierwszą wiadomość o życiu Grzymułtowskiego podał Mikołaj Malinowski, drukując w r. 1844 kilka jego listów i mów, potém w 1870 r. znów kilkanaście nieznanych numerów ukazało się w „Listach z czasów Jana III i Augusta II," wydanych przez p. Władysława Skrzydylkę w Krakowie; obecnie p. Jabłonowski zaspakaja w znacznéj mierze ciekawość naszę przez ogłoszenie 74 nowych dokumentów, zaczerpniętych z rękopismu nie spółczesnego wprawdzie, pełnego „błędów, opuszczeń i gmatwaniny," ale bogatego w listy, mowy sejmowe i relacye (ogółem z 332 numerów złożonego). Rękopism pochodzi z końca XVIII wieku i stanowi własność p. Bazylego Białozierskiego, b. redaktora pisma małoruskiego „Osnowa."

Podana tu korespondencya Grzymułtowskiego zaczyna się od 1659 r. i uwydatnia go z dostateczną do zrozumienia dokładnością. Mikołaj Malinowski, kończąc swoje studyum, nie śmiał „położyć zdania o jego charakterze" (1), pan Jabłonowski zaś, rozrządzając bogatszym materyałem, mógł się już o to pokusić i w istocie napisał biografiją, czyli jak się wyraził, „Żywot" Grzymułtowskiego na 120 stronnicach, a zarazem określił charakter jego. To określenie wszakże wydaje się nam tak dalece optymistyczném i tak mało usprawiedliwioném, że widzimy potrzebę główne przynajmniéj wnioski zrewidować. Przeczymy bowiem całéj ocenie umysłu, charakteru i działalności Grzymułtowskiego, a szczególnie sądom, wypowiedzianym na str. CXV—CXX.

Sam p. Jabłonowski wynajduje cztéry fazy w zawodzie politycznym wojewody poznańskiego: w piérwszéj wojewoda ubiega się o popularność u szlachty i bierze udział w rokoszu Lubomirskiego jako obrońca złotéj wolności, ale „wprędce zmiękł młody demagog szlachecki na ponęty dworu... i *szczerze* (?) przechylił się ku stronnictwu monarchistów francuskiemu;" w drugiéj występuje jako przeciwnik króla Michała Wiszniowieckiego, aż zwalczony, zdeptany (nawet posiekany przez szlachtę i trzema tylko kreskami na sądzie sejmowym ocalony od kary śmierci za zdradę kraju) musiał usunąć się na stronę; w trzeciéj jest „zaufanym przyjacielem," a przynajmniéj jawnym stronnikiem Jana III, od którego otrzymuje bogate starostwa i trzecie krzesło świeckie w senacie wraz z godnością wojewody

(1) Źródła do dziejów polskich. Wilno 1844 t. II str. 80.

poznańskiego; w czwartéj nareszcie stał się zawziętym przeciwnikiem swego dobroczyńcy „oczewiście (są słowa p. J.) znów po dawnemu namiętnie: bodaj zwalić Sobieskiego z tronu, a Jabłonowskiego wynieść, byle nie dopuścić sojuszu z cesarzem i strasznych onego następstw! Przyłączyły się tu i urazy, jako pobudki osobistéj niechęci i słabość istna dla kurfirsta“ („wielkiego“ brandenburskiego Fryderyka Wilhelma).

Szkaradne to są fazy politycznego zawodu dla obywatela kraju tak skołatanego nieszczęściami, jakim była Polska owoczesna po napadach szwedzkich, brandenburskich, siedmiogrodzkich, moskiewskich, tureckich! Uczuł to i pan J., gdy zakończył wykrzyknikiem: „nie był Grzymułtowski gorszym od innych!“ Był więc złym obywatelem, tylko nie gorszym, ale od kogo? od jakich innych? Czyliż podobna przypuścić, żeby wiek ów nie wydał ludzi mniéj złych, żeby Czarniecki i Sobieski przynajmniéj nie byli lepsi od Grzymułtowskiego? Przypuśćmy jednak na chwilę, jeśli tego życzy sobie pan J., i zatrzymajmy tylko w pamięci wyznanie jego, że Grzymułtowski był złym.

Ale w takim razie niezrozumiałą psychologicznie staje się charakterystyka wojewody poznańskiego o parę kart poprzednio skreślona: umysł „dzielny,“ przywiązanie rodzinne „czułe, rzewne,“ przyjaźń lat młodych „stała, poważna,“ przywiązanie do religii i kościoła „ciche, rozumne,“ śmiałość „niesłychana,“ odwaga obywatelska, natura „miękka, dobra, pełna cnót i zalet codziennych,“ zasoby inteligencyi, charakteru i wykształcenia, „potężne“—„narodowi swemu oddał on od lat najmłodszych życie całe na usługi wieloliczne.“ Wszystko to są cechy dobrego, zacnego, ba nawet wielkiego nie zaś złego obywatela i same namiętne popędy nie zdołałyby jeszcze włóczyć człowieka, takiemi obdarzonego przymiotami, przez całe życie po manowcach intrygi, przeniewierstw, zdrad, grubo egoistycznych facyjend, z jakich składa się cały zawód polityczny Grzymułtowskiego.

Oprócz psychologicznéj niemożebności, ośmielamy się zarzucić panu Jabłonowskiemu brak historycznego uzasadnienia w przytoczonéj charakterystyce. Zkąd bowiem powziął wiadomość o przywiązaniu rodzinném „czułém i rzewném“ Grzymułtowskiego: czy z epitafii łacińskich, jakie napisał dla dwóch żon swoich, mianowicie z drugiéj, ktora jest napuszona i zimna? Czy ztąd, że wydawał młodą córkę swoję za niemłodego zapewne wdowca Gembickiego, idąc „za wolą królewską“ i wdzięcznie przyjmując „uprzejme starania WJP. starosty nowodworskiego (Gembickiego właśnie) przez wielkich ludzi wniesione? (s. LXIV). Ochranianie fortuny „dla dziatek“

(s. 108) nie stanowi jeszcze ani czułości, ani rzewności. „Rozumne przywiązanie do religii i kościoła“ widzi p. J. zapewne w tych ustępach korespondencyi, gdzie Grzymułtowski występuje przeciwko staraniom papieża o pociągnięcie Jana III do przymierza chrześcijańskiego przeciwko Turkom (s. 84.102), albo szydzi z Jezuitów (s. 40), ale dlaczego to przywiązanie miało być „cichém“? tego się domyśléć nie możemy, a już zupełnie gołosłowném zdaje się nam twierdzenie, że Grzymułtowski jest natura „miękka, dobra, pełna cnót i zalet codziennych.“ Żadnego rysu podobnego nie znaleźliśmy w całéj korespondencyi, która zresztą, obracając się wyłącznie w sferze interesów politycznych, z natury swojéj nie mogła żadnych cnót i zalet codziennych ujawnić. Przytoczone zaś zdanie Załuskiego (str. CXVII) jest krańcowo przeciwne określeniu pana J. Nie znaleźliśmy też wskazówek przyjaźni stałéj, chyba z Morsztynem, z którym przecież wiązało Grzymułtowskiego proste spólnictwo przestępstw.

Ocena umysłu i wykształcenia jego wydaje się nam wielce przesadną. Widzimy, że Grz. znał łacinę, Horacego i kilku poetów starożytnych, że przytoczył jedno zdanie po włosku, że czytał jakąś historyą angielską (1) (41) i francuską Grammont'a (2), że powoływał się na przykłady Pompejusza, Cezara, Antonina itp., na przestrogę jakiegoś „wielkiego historyka i statysty (s. 48), że cytuje wiersze Kochanowskiego (s. 49,95), że czytał dziesięć krucyat w historyach (s. 99), ale to jeszcze nie daje panu J. podstawy do mówienia“ o potężnych zasobach inteligencyi i wykształcenia“ a nawet o znajomości języków francuskiego i niemieckiego. Czyż koniecznie każdy senator polski miał być podobnym do owego Hryniewieckiego, o którym Koźmian wspomina, że pytał: „mościa xiężno, co to są Dardanelle?“ Chętnie przypuszczamy, że Grz. o Dardanellach wiedział, chociaż „gazet drukowanych nie widział i kosztu na nich nie łożył“ (s. 111); jesteśmy przekonani, że znał Volumina Legum z któremi często bywał w nieporozumieniu, ale to nie znaczy jeszcze, żeby „zdolen był rozumiéć wszystko zarazem: najpoważniejsze zadania wysokiéj polityki, najżywotniejsze kwestye finansów państwa, jak i zawiłe w swych odcieniach przepisy i zasady prawodawcze.“ Przeciwnie mowy jego w sprawach finansowych źle świadczą o jego uzdolnieniu. Czegóż bowiem domaga się przy dyskusyach o zapłacie dla woj-

---

(1) Zresztą informacye widocznie są przestarzałe, gdyż w r. 1666, tj. za panowania Karola II, mówi Grz. o „królowéj-katoliczce,“ Karol zaś jak wiadomo był bezżenny.

(2) Wspomniany w zdaniu sprawy z poselstwa do Moskwy etc. Mik. Malinow. Źródła II, s. 1.

ska? Oto „podziału na województwa,“ przejrzenia rachunków skarbowych, niedopuszczenia pogłównego „bom w nim widział dedecus z porównania wolnych głów z niewolniczemi, widziałem niebezpieczeństwa, bo nas policzyć z niego narody mogą (!) widziałem wszelkie oszukanie, bo jedni dali drudzy nie“ wywołanie szelągów, zniżenie siedmi w jeden, albo podwyższenie dobréj monety, kary na jakiegoś Remera, zamknięcia mennicy, przeznaczenie dwóch starostw na opatrzenie artyleryi, przeznaczenie niektórych wakansów „dla ludzi rycerskich“ (s. 42—47 130—131). Gdy jednak przychodzi do zapytania „bo to w prywatnych dyskursach bywa: czemu Holandya z tak potężną koroną hiszpańską długi wiek wojowała?“ albo gdy zajdzie mowa o akcyzach „któremi insze narody wielkie wojny prowadzą:“ Grz. pośpiesza oświadczyć: „Nowych żadnych nie życzę chwytać się inwencyj“ albo „akcyzy jako to papiérowe, tabaczne i insze, co nie wiedziéć jako wymyślne, mało albo nic rzeczypospolitéj nie przyniosą;“ „ziemianieśmy od ziemi płaćmy; kto ziemi nie ma... ducta proportione od summ“ (44,92—3). Odwołujemy się do świadectwa wszystkich, co chociaż pobieżnie obeznali się z teoryą lub historyą finansów Europy, że w przytoczonych zdaniach niepodobna dostrzedz żadnéj inwencyi, a nawet żadnéj znajomości urządzeń finansowych spółczesnego świata, kiedy już przecię rozwijało się gospodarstwo pieniężne Hollandyi i Anglii, kiedy Colbert działał we Francyi i wynajdywał źródła dla Ludwika XIV na wojny olbrzymie i przepych Wersalu. Ma Grzymułtowski jednę i bodaj jedyną zasadę, któréj się trzyma przez całe życie, ale ta z biegłością finansisty nie ma nic spólnego, a raczéj wypływa z najgłębszych instynktów jego charakteru. Tą zasadą jest osłonienie dóbr ziemskich, o ile się da, od opłat i kwaterunku wojskowego w ogólności, oraz powiększenie osobistéj fortuny w szczególności.

Już w piérwszym z listów swoich tego zbioru z r. 1659 broni się od przysłania wojsk cesarskich z Krakowa do Wielkiéj Polski, bo trzebaby płacić 8.000 miesięcznie, a temu wydatkowi „Poznań non sufficiet“ (s. 5); w r. 1665 odwodzi podobnież od przysłania wojsk swoich królewskich, bo to jest nieznośnym ciężarem dla ubogich ludzi „kiedy po kilkaset złotych co tydzień wydawać muszą“ (s. 9); w r. 1666 widzi niemożność wypłacenia długu wojsku, bo „ordinariis mediis któż to obiecować może, widząc taką dezolacyą całéj rzeczypospolitéj“ (s. 27). Cieszy się więc, że „wojska tak wielką część zwiniono. Aleć i mihi privatim gratulor, że to w domu zostanie na posag ubogiéj dziewczynie, co się na usługę J. K. Mci i Ojczyzny spendować miało“ (s. 34); w 1667 chce zniesienia milicyi, regimentów, łuczników, jedném słowém, wojska regularnego „żeby wżdy mo-

gła rzplita wytchnąć sobie aliquantulum,“ radzi wrócić do pospolitego ruszenia (w XVII wieku!), chociaż sam gdzieindziéj uważa je za niezdatne do wojny (s. 46,95); w r. 1674 chwali Sobieskiego, że kilkanaście kroć sto tysięcy na wojska, municye i ammunicye z własnéj wydał kieszeni, że „piechoty wszystkie przez całą kampanją z prywatnego skarbu swego sustentował. Czy nie udarował że rzplitą kilką milionów?“ (s. 61). W r. 1675 najjaskrawiéj scharakteryzował się Grz. odpowiedzią swą na dwa znakomite listy Jana III, które stanowią prawdziwą ozdobę obecnego tomu (str. 62—68). Obrany, ale jeszcze niekoronowany król jest w obozie na Ukrainie, pracując nad odebraniem Kamieńca i całych powiatów od Turcyi oraz troszcząc się o Smoleńczyznę, Kijów i Zaporoże, utracone rozejmem Andruszowskim. Położenie wojska polskiego jest trudne: kurfirst brandenburski odwołał swoje regimenty posiłkowe, Carowie moskiewscy obiecanéj pomocy nie dają, kawalerya litewska „upornie nas odeszła,“ przez niewypłatę ćwierci „wielka część towarzystwa rozwinęła się, druga chorobami leży, piechoty umierają i uciekają,“ o pierwszéj wiośnie nieprzyjaciel (Turcy) „wszystkie kupy i potęgi kupi, aby na nas... wszystką furyą nastąpić.“ Pomimo tak strasznych trudności i niebezpieczeństw dzielny Sobieski nie upada na duchu, szuka tylko rady i „sposobu“ u senatorów, aby „rzeczpospolita, strzeż Boże, nie zginęła, którą jakośmy dotąd zdrowiem i krwią naszą zasłaniali, tak i daléj zasłaniać będziemy.“ Jakiż tedy sposób wynalazł Grzymułtowski? Oto wystawia ubóstwo powszechne, o posiłkach i nowych zaciągach twierdzi, że „i pieniędzy, i chleba, i czasu nie masz,“ uprasza więc o pokój z Turkami za jakąbądź cenę: „Niech pan Bóg błogosławi, aby cum restitutione Kamieńca, a jeżeliby dla meczetów vetaret pogaństwo religią, cóżby czynić? więc cum demolitione (zniesieniem fortyfikacyj), a w ostatku nil turpe puto, quod miseros fortuna jubet (nic za haniebne nie uznaję, co los nędzarzom narzuca), bo na cóż sobie pochlebować“ (s. 70). Czyż to nie są słowa bezwstydnego i zupełnie ślepego samolubstwa?

Dla skrócenia rzeczy pomijamy dalsze cytaty z owéj trzeciéj fazy działalności Grzymułtowskiego, którą p. J. przez dziwne nadużycie wyrazów nazywa „pogodną, świetną, rozumną, organicznie czynną“ (!). Wspomnimy tylko, że i w mowie z „czwartéj fazy“ z r. 1685, któréj p. J. z największą każe nam słuchać uwagą, nie widzimy żeby się ujmował za wojskiem „dzielnie, rozumnie, prawdziwie po obywatelsku“ skoro, „najskuteczniejszy posiłek dla wojska“ wynajduje nie w podatkach i skarbie, ale „szczodrobliwości królewskiéj“ Jana III, t. j. w jego zasobach (s. 130), albo w swojéj plus offerencyi 170.000 złł. za dzierżawę ceł (s. 132). Przecież jego ofer-

ty skarbowi czynione tracą wszelką wartość w obec cynicznego wyznania, że „okroiłoby mu się zysku najmniéj dwa miliony,“ gdy za wszystkie prowenta ofiarował skarbowi jeden milion (str. 124). Póty przecięż dokuczał napadami swemi na Kotowskiego i Płaskowskiego, „skartabellów,“ ujmowaniem się za krzywdzoną niby szlachtą łażeniem do królowéj o promocyą itp., aż król mu przyrzekł, że po upływie kontraktu, jemu jedynie dzierżawa ceł oddaną być miała, choćby kto inny wyżéj nawet postąpił (s. 137), a gdy obietnica ta spełnioną nie była, Grzymułtowski stał się najzawziętszym przeciwnikiem króla.

Ta mądrość finansowa, która go doprowadziła do starostw odstąpionych za 400.000, do fortuny, z któréj dawał po 100.000 złł. posagu córkom, gdy skarb rzeczypospolitéj miewał po 600.000 dochodu rocznego (i to nie zawsze), ta mądrość, powiadamy, odsłania widoczne sprężyny, jakie poruszały wolą i sercem wojewody poznańskiego. Mamyż przetrząsać jeszcze jego czyny publiczne? Wystarczy, zdaje się, zaznaczenie, że w epoce najbardziéj wojnami zapełnionéj raz tylko na początku zawodu swojego trzymał oręż w obronie kraju, mianowicie gdy spólnie z Opalińskim rugował Brandenburczyków z Wielkopolski w r. 1656; potém dosiadał konia w wojnie domowéj, żeby wziąć udział w nieszczęsnéj bitwie pod Mątwami przeciwko Janowi Kazimierzowi, zresztą wolał zawsze „liczyć kopy na polu“ (s. 11, 12) lub wichrzyć na sejmikach i sejmach. Lubił on wyjeżdżać często z zapewnieniami o swojéj cnocie „że jest jako brant szczéry siedmkroć przelewany, jako tam Kochanowski gdzieś napisał“ (s. 49). „Niepoczciwością żadną jestem niezmazany, cnotą z królami równy i z wielkiemi pany“ (58) itp., ale bardzo łatwowierny chyba słuchacz mógł tym zapewnieniom uwierzyć. Ileżto obłudy i przewrotności mieści w sobie korespondencya z lat 1665 i 1666! Prymas Wacław Leszczyński w liście do niego pisanym wręcz mu w silnych wyrażeniach wyrzuca, że już po przebłaganiu króla, niepomny na obowiązki senatora, wznieca nowe zamieszki, które zagrażają tronowi króla, a może zgubą ojczyźnie (s. 14). Na to w odpowiedzi Grz. zapewnia, że uchwały palczyńskie są nie jego, lecz całéj szlachty dziełem (s. 15). Podobneż wyrzuty czynili mu Trzebicki biskup krakowski (zwany zacnym przez p. J.) oraz biskup poznański i kamieniecki, jak widać z listów na s. 21, 23. Wykrętnych tłómaczeń naturalnie Grzymułtowskiemu nie zabrakło nigdy, ale szczery głos własnego jego sumienia odezwał się dopiéro w liście do Reja, gdy obrabiając sprawę grożącego mu sądu sejmowego, przyznaje, że w procesie formalnym przegrałby mu-

siał (1). To też pokłada nadzieję na „ewikcyi" przyrzeczonéj mu przez szlachtę dwóch województw, to znaczy na nowym rokoszu. (s. 25). Jakoż pomimo obietnic, że będzie oczekiwał „w domu pożądanego pokoju" (s. 12), stawa w polu w r. 1666 i przyjmuje komendę nad województwami niby w obronie wolności szlacheckiéj (s. 39). W kilka lat późniéj, ta sama szlachta posiekała go, znowu bez winy jego tylko z czyjegoś poduszczenia, gdybyśmy zapewnieniom jego wierzyć mogli (s. 56). Tak dobréj używał opinii, że nie mógł napisać listu do sejmiku, bo „listów przyjmować nie chcą". I nie dziw: już od r. 1667 Grz. był gorliwym sługą Jana Kazimiérza i pisze do niego list, poczynający się od takich wyrazów: „Winna WKMci devotio, należąca veneratio, poprzysiężona fidelitas przywodzi mię do tego, że to wszystko, cokolwiek w tych czasiech intervenit (zdarzyło się) u nas, donoszę do wiadomości WKM." (s. 47). Przyczyna téj zmiany w usposobieniach wojewody jest najniewinniejsza w świecie: „Ja tylko odrobinę wziąłem chleba, która aż za rok fruktyfikować mi będzie, a już ex eo mam być niepoczciwy?.. Zasługiwać jednak łaskę i być gratus beneficii (wdzięcznym za dobrodziejstwo) obiecałem, spodziewając się od niego (tj. od króla) dalszych, które jeśli mię potkają, brzydzić się niemi nie będę" (s. 52). Nie umiał snadź król Michał znaleść przekonywających argumentów dla Grzymułtowskiego, bo ten staje w opozycyi i przyjaźni się z hetmanem Sobieskim. Wynikłe podówczas plotki, zarzuty są, naturalnie, albo dokumentami niepoparte, albo niepewne, a zresztą obala je ostateczny argument: „O, któż się to tych przyjaźnią brzydzi quibus plurima juvandi nocendive potentia (którzy mają największą możność wspomożenia, albo szkodzenia)? (s. 56). Odstąpiwszy późniéj króla Sobieskiego, po dziesięcioletniéj blisko służbie, po oświadczeniach, że pokaże światu polskiemu wdzięczność swoję za łaskę pańską dla „kreatury" swojéj (s. 89), ten człowiek miał czoło twierdzić, że „zawsze trzymał takiego partyą, który stawał przy zachowaniu dawnego stanu i prastarych swobód" (141). Że umié kłamać bezwstydnie, oczywistym dowodem jest votum jego z r. 1685, gdzie zapiéra się jakoby bronił Morsztyna (s. 135), a przecię bronił goliwie, jak świadczy mowa jego № LX. na str. 113—115.

Do charakterystycznych przymiotów Grz. należy ten jeszcze, że brał udział, a może i głównym był sprawcą w zrywaniu sejmów, np. 1670 i 1681 r., jak to wykazuje sam p. Jabłonowski (s. XXXI,

(1) Non recuso, Bóg zna, examen caléj Rzplitéj; ale jeżeli per formam iudicii, pewnie przegrać musiałbym. List. XV, s. 25.

LXVIII, LXIX). Szczególnie dotkliwém dla Jana III było zerwanie w r. 1681, jak widzimy ze słów jego powiedzianych w senacie: „Cóż mię porywa, jakaż czarna burza oczy mi zasłania? Do owego nieszczęsnego zrywacza sejmów wołam z cesarzem Augustem: Warrusie wróć mi legiony moje, oddaj mi spokojność publiczną, oddaj mi chwałę moję! Zginęła okazya zdobycia Kamieńca! Trzeba się powierzyć przeznaczeniu, a raczéj Opatrzności: jeżeli Turcy i Tatarzy napadną na nas, dowiedziawszy się o zamysłach naszych, niech kto żyje dosiada konia, broń chwyta i broni ojczyzny krwią swoją.“ A to uczynił Grz. „na żądanie i za pieniądze Francyi!“ Jednocześnie był on stronnikiem, czyli raczéj agentem wroga Francyi, kurfirsta brandenburskiego! (LXVI nast.)

Przytoczone tu rysy i czyny wystarczają podobno do wniosku, że umysł Grzymułtowskiego był poziomy i wcale nie „trzeźwy,“ przeciwnie raczéj obłędny, podlegający działaniu brudnych namiętności, zuchwały i bezwstydny aż do cynizmu (1). Takie przymioty nie nastręczają materyału do tworzenia mów znakomitych, a jednak p. J. podziwia jego wymowę. Myśmy tego wrażenia wcale nie doznali: pomijając styl makaronistyczny, który jest wcale nie miłą cechą wieku, dla saméj już czczości, wykreślilibyśmy ze zbioru N-ry L, LII i LXII, we wszystkich innych zaś głosach widzimy nie wymowę, ale co najwyżéj „fakundyą,“ że się posłużymy własném wyrażeniem Grzymułtowskiego.

Przyznajemy wszakże zręczność matacką i ruchliwość niepospolitą, którą Grz. przechował aż do najpóźniejszéj starości, jeszcze bowiem w r. 1685 powiada, że „nie zwykł sejmików omieszkiwać“ (s. 129). Te to przymioty zapewne, obok koligacyi z rodami Leszczyńskich i Opalińskich, utrzymywały go wciąż na ważném stanowisku politycznem i nasunęły mu godność przewodniczącego w pamiętném do Moskwy poselstwie, celem zawarcia wiekuistego traktatu przymierza.

W sprawie tego traktatu powstrzymujemy się od sądu, pozostaje ona bowiem dotychczas niedosyć jasną. Żałujemy, że korespondencya, mowy obecnie rozbierane, nie sięgają po za rok 1685,

---

(1) Przykłady cynizmu: napad na Jana III o Willanów—„sztuka piasku, ale i na tym piasku siedziałby szlachcic, i na Powsinku drugi!“ (s. 112), przedrzeźnianie wyprawy Wiedeńskiéj—„Rzecze mi podobno kto, atośmy obronili antemurale christianitatis Wiednia; jeszcze sub judice lis est, kto go obronił? różne o tém drukują awizy“ (s. 122); porównanie Polski niezdolnéj do prowadzenia wojny ze staruszkiem, narzekającym na kupidyna (s. 102).

a więc nie przyczyniają się do rozjaśnienia najważniejszego czynu z całéj działalności Grzymułtowskiego. Główném i niemal jedynéın źródłem informacyj naszych pozostaje ogłoszone przez Malinowskiego „Zdanie sprawy przed królem Janem III“ etc.; tu jednak najważniejszy ustęp 6-go rozhoworu jest w zbyt krótkich wyrazach podany: „znowu nastąpiła długa dysputa, po któréj zniósłszy się z sobą, a widząc, że inaczéj być nie mogło, deklarowaliśmy Kijowa ustąpić, byleśmy wiedzieli, że sojusz będzie szczery i że rzeczywiście Krym wojować będziecie i nam w nagrodę straconych prowincyj do nabycia inszych (!) od nieprzyjaciela pomogą“ (1). Król odbiérał „obszerne rozhowory w dyaryuszu“ (2), ale nieszczęściem dyaryusz ten do dziś dnia podobno nie został odkryty i wydrukowany. O ile więc Grzymułtowski w układach zawinił lub zasłużył się, orzec z pożądaną ścisłością niepodobna. Przy charakterze jego obłudnym i przewrotnym żadnéj wiary, naturalnie, znaleść u nas nie mogą dwukrotne zapewnienia jego „pod słowem senatorskiém“ i pod przysięgą, że prócz 1.250 czer. złotych otrzymanych na równi z innymi senatorami poselstwa i „darów ladajakich“ nic więcéj od carów nie wziął (3). Nawet i mowa we Lwowie r. 1686 miana, w któréj przecięż naprawdę czuć niezwykłe w Grzymułtowskim i szczere oburzenie na „pokątne fałszywe poszepty“, na listy „po Trybunałach Radomskich i Piotrkowskich latające a honor jego szczypiące“ (4) nie rozbroiłaby nas z podejrzeń. Świadectwa Załuskiego co do uczciwości Grz. w zawiadywaniu groszem publicznym, przytoczonego w „Wiadomości Malinowskiego,“ nie mogliśmy sprawdzić; stosuje się ono zresztą do rachunku „summ z Moskwy przywiezionych,“ t. j. owych 2-ch milionów wypłaconych dla Rzeczypospolitéj (5). Ale dowodu, żeby się Grzymułtowski dał bojarom przekupić, nie ma. Nie przypuszczamy nawet, żeby sam fakt przekupstwa miał miejsce. Wojewoda poznański ładował sobie kieszenie i przy téj sprawie, ale kosztem króla oraz skarbu koronnego (6). Uskarża się, że zjadł w Smoleńsku kil-

(1) M. Malinowski. Źródła Dz. II, str. 20.

(2) Ibid. str. 3.

(3) Ibid. str. 26, 27, 35.

(4) Swada Danejkowicza, str. 130—131.

(5) M. Malinowski, l. c. str. 80.

(6) Ib. s. 4. W rachunkach Skarbu Kor. 1683—85, ks. Nr. 68, znaleźliśmy wykaz bardzo grubych sum na poselstwo Grz., ale podczas dawniejszéj jego podróży do Kadzynia: Sam Grz. 20.000 złł., zięć jego Gembicki 4.000, inni posłowie koronni po 16, 10, 8 i 4 tysiące, razem wszyscy 133.000—suma kolosalna, gdy zważymy, że wtedy na buławę wielką wypłacał skarb tylko 6.900 złł. rocznie, a pisarz polny i strażnik koronny pobierali około 1.000 złł.

kanaście tysięcy, czekając na wypłatę umówionéj w traktacie sumy, ponieważ jednak żył w Moskwie kosztem skarbu carskiego, a sama podróż nie mogła bardzo drogo kosztować jeśli aż do Persyi goniec mógł dojechać za 2.580 złł., więc zapewne Grzymułtowski odwiózł do domu okrągłą sumkę z pieniędzy rzeczypospolitéj.

Powodzenie poselstwa zależało w znacznéj mierze od zręczności dyplomatycznéj posła. Pod tym względem nie powzięliśmy wysokiego wyobrażenia o czynnościach Grzymułtowskiego. Oskarża on kolegów-Litwinów o spóźnienie się i podkanclerzego Gnińskiego o zwłokę w nadesłaniu plenipotencyi, bo ta mu przeszkodziła ukończyć układy w Lutym, przed przybyciem posła tatarskiego do Moskwy. To przybycie było faktem nieprzewidzianym i rachubie niepodlegającym, podkanclerzemu przeto ewentualności takiéj za winę poczytać nie godzi się; a co się tyczé pośpiechu toć i sam Grzymułtowski podróżował rzemiennym dyszlem: otrzymawszy bowiem zawiadomienie od króla d. 28 Września, wybrał się z domu dopiéro 18 Października, z Żółkwi zaś do Mohilewa jechał blisko miesiąc (od 19 Listopada do 13 Grudnia), nareszcie, doczekawszy już wszystkich kolegów, jechał z nadgranicznego Kadzynia do Moskwy trzy tygodnie (od 31 Stycznia do 19 Lutego). Za studenckich czasów myśmy przebywali większą przestrzeń, mianowicie od Mińska do Moskwy traktem smoleńskim we cztery doby, a jadąc powolniéj z noclegami krótkiemi stawaliśmy na szósty dzień po wyjeździe. Względne położenie Polski i Moskwy podówczas było dosyć dla niego korzystne, przybywał bowiem od króla otoczonego chwałą świéżych zwycięztw nad Turkami do państwa, które miało dwóch nieletnich carów na tronie i atmosferę brzemienną zaburzeniami sekciarzy oraz strelców w swojéj stolicy. Ale instrukcya nakazywała mu podobno „kupić sojusz wiecznym pokojem i prowincyami.“ Szkoda, że téj instrukcyi nie posiadamy dla sprawdzenia; cytował ją wszakże Grz. z naciskiem na radzie senatu. Twierdził nawet, że była ona znaną w Moskwie przed przybyciem poselstwa, co nie koniecznie jest wiarogodném, ponieważ opiérał swoje twierdzenie na mowie bojarów, o któréj przecięż w „zdaniu sprawy“ nie wspomniał ani słówkiem. Jeśli nawet bojarowie coś podobnego mówili, mógł to być fortel dyplomatyczny. Gdyby nam wolno było domyślać się, rzeklibyśmy, że ważniejszy powód niepowodzenia upatrujemy w małodusznem mniemaniu Grzymułtowskiego, że jednocześnie Polska dwóch wojen prowadzić nie jest w stanie i że albo z Turcyą, albo z Moskwą trzeba zawrzéć niekorzystny, ale konieczny pokój. To mniemanie przebijało się niewątpliwie i w jego działaniach dyplomatycznych widzimy bowiem ze sprawozdania, że w czwartym roz-

howorze wygadał się niebacznie z tém, jak „ciężka nam jest tak długa wojna“ (turecka) (1). Tymczasem bojarowie mówili mu, że zawsze gotowi są oddać życie za carów. Brakło mu też odpowiedniéj cierpliwości i baczności. Sam przyznaje się do błędu, że uronił Zasoże, ponieważ nie wziął od bojarów aktu we właściwym czasie. Niepotrzebnie też dbał tak bardzo o wynagrodzenie pieniężne. Chociaż więc nie mamy prawa pomawiać Grz. o złą wiarę w układach, chociaż o dobrych jego intencyach świadczy trzykrotne żądanie „listów rozjezdnych,“ zrywanie układów i stanowcza pożegnalna audyencya u carów, to jednak niekorzystne dla Polski warunki traktatu w znacznéj części muszą być przypisane ujemnym przymiotom jego umysłu. Jego zręczność dyplomatyczna i gorliwość nie dorównała zręczności i gorliwości bojarów moskiewskich.

Ostatnim znanym wypadkiem jego biografii był przelew starostwa kościańskiego na jego zięcia Gembickiego, oczywiście za przywilejem królewskim z d. 15 Maja 1687 roku. Umarł, jak żył, z troską o prywatne swoje interesa i mienie.

Pozostaje nam już tylko sprawdzić ostateczne twierdzenie pana J. jakoby „Grz. nie był gorszym od innych.“

Zbiór niniejszy okazuje, że gorszym był bodaj od tych wszystkich, którzy do niego pisywali, bo uczucia obywatelskie, obce jego sercu, przebijają się widocznie w listach prymasa Leszczyńskiego (N-ry VII, IX), biskupa Trzebickiego (N. XII i XX), zapewne też biskupa Wojnickiego, o ile się domyśléć można z odpowiedzi Nr. XIV, nie mówiąc już o dwóch wyżéj wzmiankowanych listach króla Jana III. Czyż gdziekolwiek, chociażby jeden raz w życiu zdobył się Grz. na takie słowo: „Za największe i najmilsze rozumiejąc dziedzictwo za wiarę świętą i kościoły, za miłą ojczyznę i rzeczpospolitą stawać tu z ofiarą, ani pozwalać aby wnętrzności jéj deptać i szarpać miał nieprzyjaciel“? (Nr. XLII, str. 68). Albo na takie szlachetne a czyste poczucie wolności obywatelskiéj, jakie wygłosił z tronu Sobieski w r. 1688 w senacie (2).

---

(1) Malinowski, l. c. Zdanie sprawy etc. str. 13, rozhowor 4-ty.

(2) Swada Danejkowicza, Polska str. 129—130 Zakończenie: „...to tylko język wymówić pozwala i te zanieść protestacye przed Bogiem, światem i całą Rzecząpospolitą, że téj wolności niwczém nie naruszę nic, tak jakom ją odebrał dotrzymam i dotrzymać chcę; ani mię od niéj żadna rzecz oderwać nie może, ani śmierć, ani życie, ani obecność ani przyszłość, na ostatek i sam potwór natury—niewdzięczność. Poniosę oto i teraz na dowód tego ochotnie zdrowie moje na zaszczyt wiary świętéj, świątnie Pańskich

Porównywając Grzymułtowskiego z głośniejszemi imionami epoki podług ogólnych wskazówek historyi, można powiedzieć, że nie był gorszym chyba od strasznego zdrajcy Radziejowskiego, którego zresztą nazywa „wielkim człowiekiem" (s. 114), jakby na sprawdzenie przysłowia: similis simili gaudet. Zresztą gorszym był od Lubomirskiego Jerzego, który był wprawdzie głównym sprawcą rokoszu, ale miał po za sobą zasługi wojny szwedzkiéj i Siedmiogrodu oraz bitwy pod Cudnowem, a i w saméj sprawie rokoszowéj mógł obudzić sympatyą ku sobie Odyńca, Szajnochy, Szujskiego w znanych dramatach. Był gorszym nawet od wynarodowionego Morsztyna podskarbiego, bo ten służył przynajmniéj jednéj Francyi ze stałością niezmienną i zdolnym był tworzyć poezye, cenione w historyi literatury naszéj.

Nareszcie gorszym był Grz. od większości sejmowych i od ogółu szlachty, jak widzimy z własnych słów jego: „A któżby się nie zdumiał wspomniawszy sobie, jak ogromne sumy rzeczpospolita na przeszłym sejmie pozwoliła i wydała" (s. 92), jużci wbrew jego wnioskom i mowom. „Kiedy jednak wglądam w niedostatki nasze, widzę wielkie: nie dla braku wodzów, bo w tych zaopatrzyła nas dobrze Opatrzność i JKMość; podał hetmanów, mężów mądrych, wspaniałomyślnych, oględnych i walecznych; nie dla braku ochoty wojskowéj, bo mamy wojsko lwie, pod dowództwem lwów, których odwaga JKM. wszelkich nauczyła dzielności." Konkluzyą jego o jaki to niedostatek idzie? odgadnąć łatwo: „A my w naszéj nędzy, nie mamy pieniędzy!" (str. 83). Wiemy zresztą i bez niego, że naród owoczesny, pomimo wszczynającego się zepsucia nie jest jeszcze narodem z czasów saskich, że pomimo strasznych ciosów Rzeczpospolita nie upadła wtedy, że szlachta zdolną była jeszcze rozwinąć zdumiéwające bohatérstwo wojenne, że Jan III, jakkolwiek p. Jabłonowski sądzić może o wyprawie wiedeńskiéj, napełnił Europę sławą imienia swojego.

Ergo, Grzymułtowski był gorszym od innych, kto wié, czy nie najgorszym ze wszystkich spółczesnych, wyjąwszy Radziejowskiego. Pan J., chcąc rehabilitować złego człowieka, wyrządził krzywdę dobrym, a przynajmniéj lepszym; podnosząc jednę poziomą naturę, poniżył całe społeczeństwo, cały naród. I to właśnie zmusiło mię do podniesienia tak długiego i uporczywego z nim sporu.

Ale, wykłóciwszy się z panem Jabłonowskim, jako autorem

---

i ojczystych swobód; wszakże majorem dilectionem charitate nemo potest habere, jako gdy kto duszę za lud swój oddaje."

rozprawy, czujemy się w obowiązku podziękować mu jako wydawcy za wynalezienie i ogłoszenie ciekawego i pouczającego z wielu względów zbioru dokumentów nieznanych (1). Błędy w imionach i datach są sprostowane, szkoda że bez wykazania podstawy, bo uczony będzie musiał w razie potrzeby powtórną sobie pracę sprawdzania zadawać. Tekst drukowany jest w oryginalnéj postaci, nastrzępiony łacińskiemi wyrazami w stylu makaronistycznym. Dla uczonych to jest dobre, ale mając na względzie szersze koło czytelników, trafniejszą byłaby może metoda M. Malinowskiego podawania dokumentu w czystéj polszczyznie i umieszczania makaronizmów w odsyłaczach. Zresztą p. J., biorąc teksty do swéj rozprawy, tłómaczył je także—naturalnie niewszystkie. (Mimojazdem zauważymy, że na str. LLI przypisał Grzymułtowskiemu słowa kanclerza Leszczyńskiego ze str. 55). Niektóre wyrażenia nie zostały odczytane i wyrozumiane np. „buńczucznego Sewirskiego“ (s. 66) „Meliszków testament“ (s. 82) „Nesterycy“ (s. 40); quod non fecit, faciat, lucta trium marc. (s. 60). Mowa in visitando Izbę poselska na Górę (s. 147). Kilku błędów druku nie sprostowano, ale takich usterek uchronić się prawie niepodobna.

Tadeusz Korzon.

---

2. *Polens Auflösung*. Kulturgeschichtliche Skizzen aus den letzten Jahrzenten der polnischen Selbständigkeit von Freiherrn Ernst von der Brüggen. Leipzig. 1878, str. 417.

Najbliżsi sąsiedzi nasi z zachodu coraz to częściéj do dziejów naszych zaglądają, z rozmaitych stron je rozpatrując; to téż z każdym niemal rokiem przybywa do bibliografii nowe dotychczas nam nieznane nazwisko, z którém zapoznać się musimy. Po takich uczonych, jak Roepell, Caro, Grünhagen, Hüppe, Beer, Zeissberg; po feljetonistach takich, jak Goldbaum, Lubrański; po pamfleciarzach, jak Sacher-Masoch, Franzos i t. p.; ostatnie miesiące przyniosły nam nazwiska Rafała Loewenfelda, który o poezyach łacińskich Jana Kochanowskiego rozprawę napisał i barona Ernesta von der Brüggen, który się zajął badaniem dziejów „rozkładu“ Polski. Zdaje się,

---

(1) Mowy Nr. LXI z r. 1683 (?) i Nr. LXVIII z 1685 znajdują się w Swadzie Danejkowicza pod tytułem „pewnego senatora“ (str. 22, 24 nast.), ale poopuszczane tam są przez grzeczność imiona własne ze szkodą dla historyi; powtórzenie więc ich przez P. J. jest pożyteczne, bo imiona własne zostały przywrócone:

że niemałe dziejowe znaczenie Polski zaczyna się dla sąsiadów naszych wyjaśniać, chociaż tego wyraźnie wyznać jeszcze nie chcą, pozorując zajęcie swoje jéj historyą rozmaitemi mniéj więcéj ważnemi powodami. Czysto przedmiotowa pobudka, t. j. badanie faktów, dlatego tylko, że istniały lub istnieją, już z tego względu u historyków niemieckich przypuścić się nie da, że w ich pracach rzadko kiedy napotkać można istotną bezstronność. Wyraz ten *bezstronność* pojawia się wprawdzie ustawicznie pod ich piórem, stanowiąc nieraz jeden z najfatelniejszych warunków, jakie robią dziejopisom polskim; w rzeczywistości atoli Niemcy, czując zawsze swą ogromną wyższość nad Polakami, zarówno pod względem oświaty jak i potęgi, dają się unieść narodowéj dumie i zawsze z pewném lekceważeniem, jeżeli nie pogardą, na nas spoglądają.

Ale dobrze jest nauczyć się czegoś nawet od nieprzyjaciela. Jego oko najprędzéj wyśledzi słabe strony, jego ucho najdokładniéj posłyszy moralny lub umysłowy dyssonans, a jego słowo wypowie bez ogródki i z pewnym humorem wszystko, coby miłość własna rada najstaranniéj zataić.

Baron Ernest von der Brüggen, z inflanckiéj zdaje się rodziny pochodzący, i jak z kilku wzmianek wnieść można, znający nieźle nasze dzisiejsze stosunki z własnéj obserwacyi, chciał w 17 szkicach przedstawić obraz rozstroju Polski, śledząc starannie te wewnętrzne momenta, tkwiące w społeczeństwie, które rozsadziły budowę państwową. Starał się obraz ten nakreślić zajmująco i „zupełnie bezstronnie," według swego własnego zeznania. Znając język polski i rosyjski dość dobrze, korzystał nietylko ze źródeł niemieckich, francuskich i angielskich, lecz uwzględniał nadto bardzo szczegółowo prace Polaków i Rosyan. Oprócz pamiętników Ochockiego, Karpińskiego, Kitowicza, Koźmiana, posiłkował się dziełami Kraszewskiego (Polska w czasie trzech rozbiorów), Kalinki (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta), Sołowjewa (Padienije Polszi) i Kostomarowa (Poślednije gody Rjecziipospolitoj). Obok tych, wszystkim przystępnych źródeł, korzystał nadto z następujących niedrukowanych: 1) z pamiętników po francusku pisanych barona K. von Heyking, posła kurlandzkiego w Warszawie, które obejmują czas od roku niewymienionego przez autora aż do 1792; 2) z listów i sprawozdań rozmaitych pełnomocników i ajentów, jakie się znajdują w archiwum rycerzy inflanckich, muzeum kurlandzkiego i w tajném archiwum pruskiém. O ile jednak wnosić wolno ze sposobu, w jaki baron von der Brüggen materyały z owych niedrukowanych źródeł zużytkował, niewiele mu one pomogły do nakreślenia obrazu, dostarczywszy zaledwie kilka drobnych szczegółów, które, o ile się da,

w dalszym ciągu wymienię. Można nawet powiedziéć, że gdyby nie dzieła polskie, baron von der Brüggen nie mógłby był swego „Rozkładu Polski“ napisać w takim przynajmniéj kształcie, w jakim dzieło to obecnie widzimy.

Wstęp zawiera ogólny pogląd na rozwój dziejowy ustroju państwowego w Polsce. Pogląd ten napisał baron von der Brüggen, jak sam ostrzega, na podstawie dzieł Roepella i Cara; to téż nic w nim nie znajdujemy nowego, coby na szczególne zaznaczenie zasługiwało. Stanowisko króla, szlachty, kościoła, mieszczaństwa, chłopów i t. p. określa krótko, bez żadnych specyalnych dowodów w sposób dogmatyczny, dlatego téż nie daje pobudki do sporu; jeżeliby bowiem znalazło się w określeniu owém coś niezgodnego z istotnym stanem rzeczy, to należałoby rozpocząć dyskusyą nie z Brüggen'em, ale z Roepell'em i Car'em. Z rozdziału więc tego zwrócę jedynie uwagę na przedmiot, który w naszych krajowych pracach bywa albo starannie omijany, albo téż pochlebnemi zbywany ogólnikami. Mówię tu o określeniu *charakteru* narodowego. Według Brügge'na Polak, podobnie jak Słowianin, w ogóle odznacza się przewagą zmysłowości nad umysłowością, łatwo ulega powabowi wrażeń zewnętrznych, łatwo się modeluje pod wpływem oka, ucha, uczucia; i tym sposobem staje się niewolnikiem zmiennych potęg świata. Wrażliwość jego jest nagła i żywa; a ulegając ustawicznym zmianom, pochłania całkowicie jego osobistość. Dobroduszny, spółczujący, pełny zaufania, gotów jest zawsze czynić dobrze, ilekroć *bezpośredni* widok nieszczęścia do tego go pobudza. Z drugiéj zaś strony, ruchliwéj fantazyi jego wydaje się łatwém do osiągnięcia wszystko, do czego tylko serce go ciągnie. Temperament ognisty, szybka pojętność i wielki talent do *reprodukcyi*, delikatna ale nietrwała uczuciowość, prędkie ale płytkie myślenie: oto warunki stwarzające wybornego towarzysza w pożyciu domowém, ale niewielkiego myśliciela lub polityka. Stąd pochodzi jego gościnność, chęć używania, łatwe zapominanie o troskach przy stole wśród tańca, w więzach miłości...

Chociaż wielce utalentowany, z trudnością przecięż zagłębia się w samo wnętrze sztuki; mając delikatne ucho dla muzyki a żywy zmysł dla sztuk plastycznych, posiada jednak bardzo mało siły twórczéj. Stąd wielka łatwość w wyuczeniu się języków cudzoziemskich i wielki dar mowy. Blask retoryki, jaśniejący na sejmach polskich, równie dobrze jest znany jak i szkody przez retorykę tę państwu wyrządzone. Dla popisu marnowano czas najdroższy, zdradzano sprawy najpoważniejsze; frazes i napuszone kłamstwo dusiły politykę i prawdę. Wszystkie środki aktorskie były znane Polakowi,

który z największą starannością baczył na swoję postawę i pantominę. Niezmierna bowiem próżność, połączona z ową namiętną zmianą wrażliwości czynią Polaka już to bohatérem męztwa, już to karłem rozpaczy, już to każą mu wybujać w patryotyzmie i cnocie, już to spadać w przepaść zbrodni.

Skupienie ducha, spokojne myślenie, abstrakcya filozoficzna, milczące zachowanie się wśród powodzi zjawisk i praca ciągła w zakresie indywidualnym i idealnym: to są przymioty wprost przeciwne naturze Polaka. Stąd téż brak mu stałych, na przezornéni zbadaniu rzeczy opartych norm postępowania; brak mu ogólnych punktów widzenia, z którychby mógł rozpatrzéć się jednostajnie we wszystkich dziedzinach działalności ludzkiéj; brak mu zasad, które wydobywa sobie człowiek głębiéj myślący z doświadczeń osobistych, ażeby się niemi następnie kierować systematycznie: Polak nie sprowadza swych myśli do zasad takich; dlatego téż myśli jego idą luzem, przenosząc się z jednego przedmiotu na drugi bez żadnego planu; dlatego uważa dzisiaj za słuszne to, co wczoraj za fałsz poczytywał, a jutro dobrém nazwie to, co dzisiaj złém mu się wydaje. Łatwo téż daje się pociągnąć zwrotom oratorskim i obrazom obudzonych namiętności. Pod wpływem uczucia znika z przed jego oczu wszelkie niebezpieczeństwo a skrupuły moralne milkną, co więcéj nawet najwstrętniejsze występki nie odstraszają go od szturmowania do zamierzonego celu. Chwila *obecna* zupełnie opanowuje Polaka. Ani ręki, ani serca nie zamyka on w obec żebraka, który przemawia do niego w łachmanach; ale w obec całych mas stutysięcznych, co to w rzeczypospolitéj szlacheckiéj miały nie mniéj punktów do wzbudzenia litości, ucho szlachcica było głuche, gdyż on uległ jedynie wrażeniu chwili i nie umiał wyobrażać sobie tego, czego w danym momencie własnemi oczyma nie widział. Ten sam brak uczynił Polaka niezdolnym do istotnego odróżniania potrzeb jednostkowych od potrzeb ogólnych państwowych, uczynił go niezdolnym do pojmowania istoty spraw państwowych. Co stanowiło bezpośrednie jego otoczenie, co mógł pochwycić okiem, uchem lub ręką, to stanowiło zakrés jego spostrzeżeń i trosk politycznych; a co było po za tém: ogół, państwo, rząd, prawo, kościół, obrona państwa: o tém szlachcic, zrodzony do korony, nie miał żadnego wyobrażenia, to téż się takiemi rzeczami nie interesował.

Polak uwielbia swoję ojczyznę, wolność, naród, tak jak uwielbia piękność kobiety, albo świetność paryską, jak się entuzyazmuje w obec znakomitéj mowy lub w obec wspaniałego śpiewu. Fantazya, uczucie, duma, wrażliwość narodowa, oto są części składowe jego patryotycznego idealizmu. Zauważyć tylko należy, w jakich formach

idea ojczyzny przedstawia mu się praktycznie i na jakiéj drodze dąży do jéj urzeczywistnienia: ażeby spostrzedz, jak mały mają udział w patryotyzmie polskim abstrakcye polityczne, wynikające z przedmiotowéj refleksyi, z połączenia jasnego poglądu na świat i poważnéj nauki doświadczenia: w patryotyzmie tym znać idealizm uczucia a nie rozumu.

Z przewagi zmysłowości w naturze słowiańskiéj wypływa najprzód małe uzdolnienie do pojęcia idealnych podstaw państwowych a potém *bierność*. Charakter Słowianina wymaga takiéj formy państwowéj, którab y mu jedność państwa w zmysłowych przedstawiała kształtach. Obywatel Stanów Zjednoczonych, lub Anglik, nosi w sobie, chociażby bezwiednie, pojęcie państwa; to też myśli i działa zgodnie z tém pojęciem; Słowianin traci takie pojęcie, skoro tylko nie widzi go przed sobą ucieleśnionem; to też mimowoli, nieświadomie działa przeciwko jedności państwowéj, kiedy owładnie nim jakieś uczucie chwilowe, które mu się patryotycznem wydaje. Uczucie to jest szczytem jego polityki; a skoro ono spełni swoje szkodliwe dla niewidzialnéj jedności państwa działanie, to dostaje usprawiedliwiającą nazwę poczucia wolności. To też najlepszém ucieleśnieniem jedności państwowéj dla Słowianina, a więc i dla Polaka, jest monarchia absolutna. Pomimo wszystkich fajerwerków spalonych na cześć rewolucyi francuskiéj i jéj frazesów o równości i wolności, nigdy nie był Polak rzeczywiście demokratą a nawet republikaninem. Wczasach największego rozpasania tak zwanéj republikańskiéj wolności, w czasach najpłomienistszego uwielbienia dla konwentu wielkiéj rewolucyi francuskiéj, nie przyszło Polakowi na myśl usunięcie króla, chociaż ten był tylko cieniem władcy; owszem okazał mu on takie uszanowanie, jakiegoby w ściśle monarchicznych państwach w obec *podobnych* panujących może nie okazano. Podczas kiedy uwielbiano bohatérów Girondy, miano najgłębszą cześć dla króla Fryderyka Wilhelma II, i przez krótką chwilę dobrego z nim porozumienia nie wątpiono o jego zapewnieniu, że chce być najuczciwszym człowiekiem w swojém państwie. Jeszcze w r. 1793, kiedy idee francuskie pozornie zdemokratyzowały w sposób najniebezpieczniejszy umysły Polaków, wołał poseł Kimbar na sejmie grodzieńskim do króla: „Pokaż teraz światu, że Bóg sam królem cię naznaczył.“ I to boskie pochodzenie królewskości zawsze przy elekcyi było przytomne umysłom Polaków, chociaż równocześnie wolność swoję nadewszystko wynosili. Przy całém zamieszaniu, przy najburzliwszych walkach stronnictw, w obec osoby królewskiéj, nigdy się nie znalazł Jacob Clément, ani Catilina, ani Brutus. Przywiązanie do dynastyi spostrzegamy

zawsze u Polaków czy to będą Piastowie, czy Jagiellonowie, czy nawet i Sasi.

Nie *z powodu* republikańskiego, ale *pomimo* monarchicznego charakteru narodowego wytworzyła się w Polsce rzeczpospolita. nosząca naturalnie na sobie piętno tego tworzenia się. Czasy świetności Polski łączą się z imionami silnych władców. Potężni samowładcy, nawet despoci, większy mir u Sławian znajdują, niż słabe chuchraki. Dzieje Rzeczypospolitéj wykazują tak zatrważający brak zdolności politycznych, jaki chyba u najdzikszych napotyka się ludów. Polak nie umié ani tworzyć ustaw, ani ich szanować i zachowywać, ani rozwijać prawa, ani go sobie przyswajać, ani organizować, ani udoskonalać i spożytkowywać tego, co już zorganizowano; łudzi sam siebie pod względem zdolności swoich i zamiarów; nie posiada najmniejszéj przenikliwości co do stosunków politycznych w państwach sąsiednich, uważa siebie za urodzonego dyplomatę, którego zewnętrzność umié sobie przyswoić; sądzi zawsze, że zwodzi, a tymczasem bywa ciągle zwodzonym; widzi jedynie szczegóły, osobistości a nie pojmuje wcale ogółu, sprawy publicznéj. Ledwieby dał się w dziejach odnaleść taki długi szereg omyłek politycznych, jakich się dopuściło owe zgromadzenie przemądrych dyplomatów i wymownych polityków na sejmie czteroletnim. Ledwie odszukaćby można jakąś władzę prawodawczą, któraby tak była zaślepioną względem istotnych potrzeb kraju, jak sejmy polskie. Ledwie pomyśléć sobie można rząd, któryby tak był napiętnowany cechą nieudolności jak rząd szlachty. Polacy posiadali dar intuicyjnego odgadywania błędów swoich i umieli na chwilę, przy sposobności, wyrazić je bardzo dobitnie; stąd też charakterystycznie i prawdziwie powiedzieli, że „Polska nierządem stoi.“ Przekonanie to atoli nie mogło im nadać przymiotów, któreby do zaprowadzenia „rządu“ doprowadzić mogły (1).

Korzystając ze spostrzeżenia Kraszewskiego, że Franciszek Ksawery Branicki przedstawia charakter a raczéj temperament czysto-polski (*Polska*, II, 42), odmalował go von der Brüggen w całéj jego etycznéj potworności i zawnioskował, że takim był ogół szlachty, a nawet ogół narodu. Z puharem w ręku, powiada, mógł taki mąż jak on zdobyć sobie urzędy, bogactwa, koronę. Szło tylko o pociągnięcie za sobą szlachty. Branicki był wiarołomny, zdradliwy, nieokrzesany, gwałtowny, rozpustny; okradał kasę wojskową, rabował prywatne i publiczne pieniądze, zawsze dbał wyłącznie o ko·

---

(1) Streszczone tu poglądy znajdują się na str. 29—40.

rzyść własną: a jednak nigdy mu przyjaciół nie zabrakło, on sam uchodził powszechnie za człowieka, któremu o nic w świecie nie chodziło tyle, ile o cześć, o „*honor*“ (str. 182). Istotnie—ciągnie daléj von der Brüggen—potęga świetnéj zewnętrznie osobistości dziś jeszcze uniemożliwia Polakom zdrowy sąd o jéj istotném znaczeniu. Dosyć się przyjrzéć dokładnie, ażeby dostrzedz, że najniegodziwsi szalbierze posiadają w ich towarzystwie wysokie poważanie; jeżeli zewnętrzny *polor* i *honor* tak utrzymywać umieją, jak je utrzymywał Branicki. Etyka narodowa stoi tu na tak niskim stopniu, jak może nigdzie indziéj. Panowie z brzmiącemi nazwiskami, którzy codziennie najbiedniejszego żyda oszukują, obdzierają, którzy powszechnie są znani z zupełnéj bezczelności, z jaką traktują zarówno osobiste jak rzeczowe, zarówno prywatne jak publiczne stosunki, panują bezwarunkowo nad opinią publiczną, jeżeli mają dosyć odwagi, ażeby każdy jawny zarzut pomścić osobiście, skradziony majątek przemarnować ostentacyjnie i wynieść się zuchwale ponad wszelkie wymagania moralne (183).

Zmysł porządku i czystości; zamiłowanie prawdziwéj wygody w pożyciu domowém: są to rzeczy Polakom mało znane. Tylko dla pokazania się światu przybiérają siebie i swoje otoczenie w szaty świąteczne; ale nawet wśród najwspanialszéj i najwykwintniejszéj zabawy daje się czuć pierwotna surowość i dziczyzna narodowa. *Polor* był najprzedniejszą, jeżeli nie najwyższą cnotą Polaków (122); ale i w tym polorze, tj. w ogładzie towarzyskiéj, znać było brak godności osobistéj, albo też pychę zamaskowaną. Złe pożywienie, złe gospodarstwo, niechędóstwo, nieporządek, ignorancya, oto główniejsze cechy szlacheckiego tłumu (130).

Tak się przedstawia charakter nasz baronowi von der Brüggen. Zarzuty, które nam porobił, nie są oczywiście nowością; zarówno cudzoziemcy, jak i krajowcy (Partya reformatorska XVIII stulecia Ropelewski, Rzewuski, Stańczycy itp.) nieraz je uwydatniali; ale po większéj części w formie aforystycznéj, *a' propos* jakiegoś faktu, nie zaś systematycznie w charakterystyce ogólnéj narodu. Baron von der Brüggen kreśli swoje rysy rozważnie, z namysłem i z wszystkiemi pozorami bezstronności; postępuje jednakże niezupełnie naukowo.

W charakterystyce swéj uważa on Polaków za rasę zupełnie jednolitą, zapominając, że naród polski składał się z rozmaitych szczepów, nieraz bardzo wybitnie od siebie się różniących. Chcąc dać prawdziwie naukowe a więc bezstronne pojęcie o temperamencie i charakterze narodowym, potrzeba było właśnie rozmaite te szczepy rozważyć najprzód osobno, a późniéj dopiéro wykazać ich ścieranie się w pochodzie dziejowym. Baron v. d. Brüggen zaś za-

poznawszy się głównie z małą cząstką dziejów polskich, bo z połową tylko wieku XVIII-go, ówczesne wydatniejsze typy i stosunki bierze za przedstawicieli narodowego charakteru bez względu na to, że te typy i stosunki już to w Wielko już w Małopolsce, już to na Litwie, już téż na Rusi powstały i wyrobiły się. Tym sposobem popełnił błąd zasadniczy, który go może mimowoli popchnął w stronę niesprawiedliwości względem naszego narodu. Po szczególe niepodobna mi tu zastanawiać się nad pojedyńczemi rysami charakteru Polaków; muszę się więc ograniczyć na ogólnéj wzmiance, że przewaga zmysłowości i nadmierna wrażliwość na pojawy zewnętrzne, tudzież wypływająca stąd bierność (brak inicyatywy) i niedostatek głębszego zmysłu politycznego dają się istotnie odnaléść w naturze Polaków, tak że już Szymon Marycki w połowie XVI stulecia powiedział: „hac una re inferiores sumus aliis nationibus, quod majorem curam in corpore curando, quam animo exercendo collocamus" (De Scholis, C. I sub fui). Ponieważ jednak przewagę zmysłowości spostrzegamy u wszystkich narodów, szłoby więc o oznaczenie dokładne stosunku téj przewagi u Polaków, do innych narodów, czego v. d. Brüggen nie dokonał. Co się tyczy braku poczucia moralnego, to nazbyt wielką jest przesadą utożsamienia takiéj epoki, w jakiéj żył Branicki, z całością rozwoju dziejowego; bo gdyby moralność publiczna zawsze w Polsce na takim stała stopniu, jak w wieku XVIII, to prawdopodobnie rozkład jéj wewnętrzny dalekoby wcześniéj nastąpił. Jeżeli tedy przytępienie poczucia moralnego tłómaczy nam wiele objawów z czasów ostatnich rozstroju, to brak jego, jak to v. d. Brüggen przypuszcza, nie wyjaśniłby nam epoki potęgi i świetności.

W rozdziale II von der Brüggen przedstawia ogólny pogląd na *kraj*, *ludność* i *położenie chłopów*. Zarysowawszy w kilku dosadnych zdaniach spustoszenia kraju za Sasów, kreśli następnie podług pamiętników smutny widok, jaki okazywała Polska w drugiéj połowie XVIII stulecia. Uderza go przedewszystkiém straszna dzikość, polegająca przeważnie na jaskrawym kontraście bogactwa i nędzy, przerafinowanéj kultury i zwierzęcego upodlenia, błyskotliwych idei nowoczesnéj mądrości państwowéj i wstrętnéj zgnilizny w życiu publiczném. Mówi następnie o lasach zalegających Polskę i o żyzności Rusi Czerwonéj, Wołynia, Podola, Ukrainy i, słowami znanego podróżnika Coze'a, maluje niekorzystne wrażenia, jakich się doznawało, jadąc do Warszawy. Wiadomo, że według Coze'a Polska była najuboższym krajem w Europie, a chłop najuboższym mieszkańcem tego kraju. Wystawiając położenie chłopa w Polsce, Brüggen powołuje się na dzieła Grevenitz'a (Der Bauer in Polen), Les Paradoxes.

L'horoscope politique de la Pologne i Kraszewskiego, z którego najwięcéj korzysta. Opierając się na zdaniu tych dzieł i autorów, wypowiada przekonanie, że chociaż stan wieśniaków nigdzie nie był do pozazdroszczenia, w Polsce jednakże doszedł do najwyższego stopnia cielesnéj i duchowéj nędzy.

W rozdziale III jest obraz mieszczaństwa, przyczém naturalnie dostaje się pochwała Niemcom a srogie wyrzuty żydom. Powtarza tu znowu z dzieła Kraszewskiego szczegóły, podając tylko z tajnego archiwum pruskiego następne interesujące cyfry. Odnoszą się one do roku 1784, bardzo szczęśliwego pod względem popytu na zboże. Do portu gdańskiego przybyło w tym roku okrętów 839, a mianowicie z Anglii 272, z Danii 166, ze Szwecyi 149, z Holandyi 113 (reszty nie podaje autor). Z tych okrętów przybyło z balastem 534, ze spiżem 103, ze śledziami 71, z solą 28. Wypłynęło zaś z Gdańska okrętów 831, a mianowicie ze zbożem do Anglii 520, do Danii 125, do Szwecyi 119, do Hollandyi 47;—z drzewem wypłynęło 205, ze spiżem 40, z popiołem 35. Wwóz ogólny zboża z prowincyj do Gdańska wynosił w owym roku: pszenicy łasztów 15.112, żyta 21.071, jęczmienia—4.049, owsa—1.049. Zboże to w bezwarunkowéj większości przyszło Wisłą na 1.308 polskich statkach. Ceny w tym roku z powodu wielkiego popytu były cokolwiek wyższe od zwyczajnych. I tak za łaszt pszenicy płacono 400 do 460 florenów gdańskich, za łaszt żyta—205 do 220 fl., za jęczmień—200 fl., za groch—280 do 300 fl., za owies—140 do 150 fl. Przytém kurs wekslu na Londyn z terminem dwumiesięcznym wynosił 25 $^{1}/_{8}$ florenów za funt sterling. Głównemi artykułami wywozowemi było zboże i potaż. Potaż szedł po większéj części do Anglii i Francyi.

Jeżeli zważymy, że liczba okrętów przypływających z balastem była bardzo wielka i od lat kilku wzrastała, to przekonamy się, że handel towarami przewozowemi podupadał. Zjawisko to tłómaczy się częścią zakwitnięciem portu elbląskiego, częścią tém, że w roku 1784 dawał się uczuć wzrost Warszawy pod względem przemysłu i handlu, w końcu tém, że uznano naówczas w kraju potrzebę ograniczania swych potrzeb, co zresztą trwało niedługo...

W rozdziale IV zastanawia się autor nad *finansami*, *wojskiem*, *sprawiedliwością* i *kościołem*. Tu przedewszystkiém oblicza ogólną wartość rocznéj produkcyi według *Büsching*'a na sumę 552 miliony marek (1). Jeżeli liczbę mieszkańców ustanowimy na 8 milionów,

---

(1) Suma ta jest zgodna z podaną w „Pamiętniku historyczno-politycznym na r. 1783 a przytoczoną przez p. Korzona „Ateneum," 1877, IV, 652,

śleniu ich większą część książki swojéj poświęcił, tak że zaledwie trzy rozdziały obrócił na zestawienie rysów jaśniejszych, które zresztą dlatego jaśniejszemi się wydają, że stoją obok piekielnie czarnych. W dwu ustępach (XII i XIII) znajdujemy zarys Stanisława Poniatowskiego i młodéj Polski, do któréj autor policzył bez wyboru zarówno poetów i uczonych, rówieśników króla, jak i młodsze pokolenie, co na sejmie czteroletnim ważne zasługi dla kraju położyło. W charakterystyce króla Stanisława, będąc zmuszonym walczyć z tak wybornym szkicem, jaki dał ks. Waleryan Kalinka, baron von der Brüggen starał się zaakcentować lekko przez swego spółzawodnika dotkniętą stronę *artyzmu* królewskiego. Stanisław August był według niego epikurejczykiem delikatnego smaku; co stworzył stawało się przedmiotem jego użycia; nietylko otoczenie swoje upiększał zapośrednictwem sztuki i nauki; ale nawet rozmaite ulepszenia, jakie poczynił w dziedzinie nauczania, w wojsku, przemyśle, rolnictwie, były nie tyle wypływem przedmiotowéj samowiedzy obowiązku państwowego, ile zaspokojeniem zupełnie osobistéj potrzeby. Lubował się po prostu w zakładaniu korpusu kadetu, obserwatoryum, biblioteki, w odnowieniu akademii krakowskiéj i wileńskiéj, w zaprowadzaniu fabryk pod Grodnem; lubował się tak samo, jak w upiększaniu Warszawy, w kształceniu młodych talentów, w pięknym stylu lub w przysmakach swéj kuchni. Nawet w spełnieniu obowiązków państwa można dostrzedz tego rysu estetycznéj uciechy, która się objawiała w zamiłowaniu harmonijnego spokoju. Z tego estetycznego rysu jego natury można wytłómaczyć główną cechę jego politycznéj działalności. Skłonność do zgody, do przejednania była najwyższém jego prawem; gwałtowne przeciwieństwa, zażarta walka, niezgodne były z jego charakterem a nienawiści osobistéj lękał się. Jasny jego rozum oceniał stosunki nieraz daleko lepiéj aniżeli rozum otaczających go polityków; ale działał nieraz wbrew swoim poglądom, ponieważ nigdy nie umiał podmiotowego wrażenia przynieść na ofiarę przedmiotowéj konieczności, ponieważ walczyć nie chciał. W najpraktyczniejszych dniach swego życia, kiedy widział walące się mury swojéj budowy, kiedy się przed nim przepaść otwiérała, która wszystko miała pochłonąć; wówczas nie potrafił inaczéj z posępnym losem się spotkać, jak uciekając się do ideałów piękna, co całe jego życie oświecały. Podpisawszy akta Targowicy, zamknął się w swoim pokoju i rozpamiętywał Plutarcha, którego bohatérów zawsze uwielbiał, ale nigdy nie naśladował... Możnaby tu podziwiać stoicką wielkość, gdybyśmy nie wiedzieli, że mamy przed sobą słabość, do czynu niezdolną.

Sylwetka Stanisława Augusta jest może najlepszym ustępem

z całego dzieła barona von der Brüggen; żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi na rozszerzenie jego poglądów. Tak zwana przez autora „młoda Polską“ stosunkowo do szeroko traktowanych „magnatów“ zbyt szczupłe zajęła w jego książce miejsce, ażeby można ją było należycie przedstawić i ocenić. To też przesuwają się tu, jak cienie, takie postaci jak Albertrandi, Naruszewicz, Krasicki, Trembecki, Węgierski i inni; trochę jaśniéj rysują się Ignacy Potocki, Piotoli, Hugo Kołłątaj, Kazimierz Nestor Sapieha, Stanisław Małachowski. Charakterystykę Potockiego, Piotolego i Kołłątaja nakreślił autor prawie wyłącznie słowami Schultza (w dziele: „Reise eines Liefländers“), ujmując się jedynie za podkanclerzym. Z listów Schultza do Beitlera (przechowanych w kurlandzkiém prowincyonalném muzeum) przytacza szczegół, że Kołłątaj przyjął z rąk sprawozdawcy kosztowny pierścień, dany w imieniu „Unii mieszczańskiéj“ dla poparcia jéj użaleń przeciwko szlachcie kurlandzkiéj i że Unia mimo to przegrała sprawę. Broni atoli Kołłątaja od zarzutu hołdowania wyłącznie mamonie tą okolicznością, że po r. 1794 wszechwładny niemal pan położenia mógł był przecięż z pełniejszym workiem wyjechać zagranicę, gdyby złoto było jedynéem jego bożyszczem.

Historya pierwszego podziału zajmuje rozdział XV, a jakkolwiek autor powołuje się tu na pamiętniki barona von Heyking, zapewniając, że w nich znajdują się zajmujące opowiadania z czasów konfederacyi barskiéj i późniejszych, w gruncie jednak trzyma się relacyi Kostomarowa i Sołowjewa, tak że ani faktów nowych, ani nowego ich oświetlenia nie mogłem się tu dopatrzéć. Podobnie rzecz się ma i z rozdziałem następnym, w którym baron von der Brüggen opowiada o sejmie czteroletnim. Wiemy już, że w ogóle niekorzystnie o nim sądzi, jakkolwiek konstytucyi 3-go Maja przyznaje niektóre zalety. „W okresie burz ustawowych europejskich zajmuje ona, powiada, nietylko pod względem czasu pierwsze miejsce, ale zasługuje również na uwagę z powodu właściwego jéj ducha. Jakkolwiek niedoskonałą jest względnie do dzisiejszych wymagań, nie można jéj odmówić ani pewnéj oryginalności, ani przeoczyć umiarkowania, jakie zachowuje w obec istniejących stosunków, umiarkowania, które zadziwia wśród powikłanych spraw narodu, z natury namiętnego i politycznie niedojrzałego. Spostrzegamy w niéj łatwo idee nowéj epoki, ducha rewolucyi francuskiéj w jéj umiarkowańszych, lepszych kształtach, lecz duch ten przenikają koniecznie względy na naturę Polaków i jej rozwój dotychczasowy. Z konstytucyi polskiéj przegląda niewątpliwie przenikliwość, dojrzałość, rozwaga i swoboda ducha, które świetnym jaśnieją blaskiem wśród

tłumu politycznéj nieudolności, jakiéj dowody tak często w dziejach i społeczeństwie polskiém odnajdujemy. Zawiéra ona pewne luki, dwuznaczności, staje częstokroć wpół drogi; lecz nie są to braki utworu tego, ale braki stosunków ówczesnych, występujących w nim na jaw i świadczących o przenikliwości tych, co nie chcieli tworzyć *ideału* ustawy, tylko formę rządu zastosowaną do natury ludu, mając na względzie opór sejmujących. Była ona lepszém dziełem niż ustawy francuskie, gdyż była względnie dobrą, niezarażoną tchnieniem nowoczesnego doktrynerstwa, które jest ostentacyjnie poważném sowizdrzalstwem państwowém.

W zakończeniu mówi baron v. d. Brüggen o dziejach naszego już stulecia (podług Edwards'a) a patrząc się na położenie krajów dawnéj Polski nie z sympatyą, co prawda, ale z pewném uczuciem litościwéj niemocy, wypowiada zarazem zdanie, że pojęcie narodowości nie jest pojęciem najwyższém i że musi ustąpić wymaganiom „wyższéj kultury.“ Polacy zaniechali poważnéj pracy narodowéj, stracili grunt moralny wewnętrznego samopoznania, wewnętrznéj twórczości na polu duchowego i materyalnego dobrobytu. Wśród wiekowego ciężkiego doświadczenia nie umieli się jeszcze pozbyć swoich wad głównych, a mówiąc o swoich prawach zewnętrznych, zapomnieli o prawie wewnętrzném, o prawie wyższéj kultury. Dopóki taki stan rzeczy istniéć będzie, dopóty i ich pretensye będą nieuprawnione.

Nie zaprzeczając ani jedném słowem potrzeby pracy we wszystkich dziedzinach, jeżeli jakiś naród pragnie zachować nazwę cywilizowanego; niepodobna zgodzić się na sofistyczną zasadę autora o prawie „wyższéj kultury,“ mającém mieć etyczną przewagę nad pojęciem narodowości. W imię téj „wyższéj kultury“ usprawiedliwiano niewolnictwo, poddaństwo, handel murzynami, tępienie czerwonoskórych i t. p., to jest popełniano czyny dziś wstrętne dla nas pod względem moralnym; w imię wyższéj kultury istnieje obecnie smutny stosunek pracowników do pracodawców; w imię téż wyższéj kultury możnaby powrócić do nadużyć feudalnych. Prawo więc „wyższéj kultury,“ jako takiéj, nie może być ideałem na przyszłość, gdyż ma w sobie ciemne punkta, które już dziś dostrzegamy. Możemy o niém mówić jako o rzeczy obecnie istniejącéj i po części władającéj umysłami; ale niepodobna o niém rozprawiać jako o najwyższéj wskazówce postępowania etycznego. Baron von der Brüggen, przeniknięty potęgę materyalną i umysłową swego kraju, mógł był się obejść bez sofistycznego usprawiedliwiania istniejącego porządku rzeczy, bez palenia mu kadzideł. O etyczném uprawnieniu Prus do Poznańskiego mógł był przynajmniéj przemilczeć.....

Rozstając się z książką barona von der Brüggen, wyznać winniśmy, że pisana jest żywo, zajmująco, a niekiedy obrazowo. Autor umiał się ustrzedz zarówno rozwlekłéj gadaniny jak i suchego zestawiania mdłych frazesów; umiał skupić rozproszone promienie światła dziejowego w pewne ogniska, ażeby przy nich rozpatrzéć osoby i zdarzenia z ubiegłego stulecia. Zapowiedziawszy z góry, że mówić będzie o patologii narodu polskiego, stanął wprawdzie na stanowisku jednostronném, przesłonił sobie widok niezamącony na jego fizyologią, ale w zakresie swoich badań patologicznych wiele okazał trzeźwości i głębszego na rzeczy poglądu. Ośmieliłbym się tylko zauważyć w imię „wyższéj kultury," że baron v. d. Brüggen mógłby był łatwo uniknąć kilku grubych omyłek takich np. jak ta, że biskup krakowski był zarazem *rektorem* (zam. kanclerzem) akademii jagiellońskiéj (str. 98) lub że komisya edukacyjna ustanowiona została r. 1768 (str. 97); dwu omyłek z dziedziny historyi oświaty, o któréj tyle niebacznych wypowiedział twierdzeń... Jakkolwiek autor zna język polski, łatwo mu jednak o nieporozumienie, jak tego dowodzi przekład napisu poematu Koźmiana „Ziemiaństwo," który v. d. Brüggen, nie wiedząc należycie o jego treści, nazwał „szlachtą wiejską" (Landadel! str. 211). Sądziłbym także, że można się było obejść bez téj lekkiéj fanfaronady, jaką okazał baron v. d. B. cytując broszury polskie z końca XVIII wieku: „Myśli patrzącego przez okno na ulicę," „Polak w czui" i „Dzwon staropolskiéj fabryki;" gdy widoczną jest rzeczą, że ich sam nie czytał, wszystkie bowiem jego cytaty z tych broszur znajdują się w dziele Kraszewskiego (np. v. d. Brüggen str. 65, u Krasz. III, 62; v. de Br. str. 83, u Kr. III, 55; v. d. Br. str. 90, u Kr. III, 46). Zdaje się, że tak samo postąpił sobie z niektóremi innemi źródłami, np. z dziełem Francuza *Mehée*, z *Paradoksami* z *Horoskopem*; nie twierdzę jednak tego stanowczo, gdyż nie mając pod ręką wszystkich tomów dzieła Kraszewskiego, niektóre tylko cytaty Brüggen'a z pism wymienionych w niém odnalazłem. W każdym razie i to, co odszukałem, świadczy wymownie, że baron von der Brüggen zawdzięcza Kraszewskiemu więcéj, niż się otwarcie przyznaje....

Piotr Chmielowski.

Od autora rozprawy p. t. „*Kwestya domu zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju*"—słówko objaśnienia na recenzyą téj pracy, zamieszczoną w zeszycie Styczniowym *Ateneum* z r. b. (str. 161—163). (1)

Winienem przedewszystkiém dzięki za zaszczytnie przychylną w głównéj rzeczy ocenę méj pracy. Obok tego jednak, nie mogąc lekceważyć wyrzeczeniami i pełnemi dobréj woli wymaganiami tak poważnego jak „Ateneum" organu naszego piśmiennictwa, w tyle żywotnéj sprawie społecznéj, czuję się w obowiązku dać objaśnienie na niektóre dość ważne zarzuty i wątpliwości recenzyą objęte.

Szanowny recenzent wytyka raz zbytek argumentów teoretycznych, czyli przytoczeń z różnych autorów, i znów zbytek wdawania się w szczegóły samego wykonania rzeczy, czyli organizacyi przyszłéj instytucyi zarobkowéj Staszica. Tłómaczę się, że z pomiędzy licznych rozmaitych zdań w dziennikarstwie o zapisie Staszica byli przeciwnicy tego zapisu, którzy, nie znając dokładnie przedmiotu, książkowo tylko ogólnikami walczyli, a znów inni, dla zrozumienia praktyczności, żądali projektu szczegółowego do zamierzonego z owego zapisu domu, czyli sal zarobkowych dla ludności ubogiéj; trzeba więc było dać historyą przedmiotu i odpowiednio tak jednym jak drugim w miarę możności zadośćuczynić. O to téż starałem się, broniąc na obu polach legalności i wykonalności zapisu wielkiego dobroczyńcy ludzkości. Wyłuszczyłem projekt dawniejszy przez b. Radę Główną Opiekuńczą Z. D. w królestwie uchwalony i obecnie dodatkowo z méj strony rozwinięty. Relacya przeszłości i projekt przyszłości dla czytelników i nawet dla władzy, która sprawę pod dyskusyą publiczną oddała, mniemałem, że nie powinna być w czémśkolwiek nieprzydatną.

Daléj dziwi się Szan. recenzent, dlaczego wdałem się w cyfry statystyczne ubogich i to w cyfry dowolne „bez żadnego znaczenia," kiedy potrzebneby tu były wiadomości nie o żebrakach i włóczęgach, ale o liczbie ludzi zdolnych do pracy, im brakującéj, zebraniém których to cyfr mógłby zająć się jedynie Zarząd miasta, przystępując już do urzeczywistnienia zapisu. Na to odpowiadam:

Cyfry, jak we wszystkiém najwymówniejsze, tak i tu były tém potrzebniejsze, że niektórzy zapamiętale twierdzili (czego już teraz nie twierdzą), że jakoby u nas nie ma braku pracy, lecz raczéj tylko

---

(1) Na żądanie szanownego autora zamieszczamy nadesłane nam przezeń uwagi nad krytyką, w zesz. styczniowym „Ateneum" zamieszczoną, dodając od siebie, iż uwagi te zdania naszego o dziele samém nie zmieniły. (P. R.)

brak rąk do pracy. A że wiadomo, iż wszelka u nas statystyka jest uboga, a wszczególności statystyka ubóstwa jest prawie żadną, należało więc dla rozjaśnienia zdań i ułatwienia każdemu pojęcia zwiększającéj się biedy i stopnia potrzeby urzeczywistnienia zapisu Staszica, jako jednego ze środków zaradzenia nędzy, wynaléść cyfry przynajmniéj zbliżone, co téż dopełnić starałem się bez pretensyi do nieomylności, a mianowicie co do cyfr porównawczych ogółu ubogich z obudwu epok, Staszicowskiéj i teraźniejszéj: biorąc (z czasów ostatnich, rok 1869, z którego mamy urzędowe ad hoc przydatne cyfry) kombinacyą cyfr ubogich z jałmużny i w szpitalach utrzymujących się, z cyfrą ubogich wszelkich kategoryj w różnych instytucyach dobroczynnych publicznych i prywatnych rozmaitéj pomocy doznających a w sprawozdaniach urzędowych wzmiankowanych, i przecięciowo to wszystko z pewnemi uwzględnieniami zestawiając. Cyfra zatém moja ubogich w Warszawie (około 20.000 czyli $^1/_{15}$ ogółu ludności) stosunkowo daleko większa niż dawniéj, nie wyszła z imaginacyi, lecz z przybliżonego rachunku, szczegółowo wyrażonego na str. 56—59, dawniejszéj méj pracy w r. 1875 drukowanéj p. t. „Myśl Stanisława Staszica“ itd., jako téż w skróceniu na str. 19—21 rozprawy z r. 1877. *Zarazem* tamże przytoczyłem, że z liczby ubogich w r. 1869 przez policyą m. Warszawy jako jéj znanych podanych (3.326), było ubogich niemających pracy 1.029 (rzemieślników, sług i przeważnie wyrobników i innych robotników), a to nie licząc żebraków (214). Głównie więc cyfra dotyczyła nie żebraków i włóczęgów, ale właśnie ubogich bez pracy, do rzeczy potrzebna. Dopóki zarząd miasta, lub kto inny, nie wynajdzie i nie poda cyfr lepszych, rzeczywistych, piszący poprzestać musi na takich, jakie we własném z niektórych urzędowych danych przybliżoném wyrachowaniu mieć może. W chwili przystąpienia zresztą do wykonania zapisu, które od tak dawna jest oczekiwane, ma się rozumiéć, nowe cyfry statystyczne urzędowe tém bardziéj potrzebne, żądane i niewątpliwie zebrane będą.

W zakończeniu recenzyi i mianowicie co do ogólnego rozdziału méj rozprawy „O środkach zaradzenia żebractwu i ubóstwu w kraju,“ jest mowa prawie wyłącznie o żebrakach, chociaż u mnie traktuje się wielostronnie rzecz o ogóle ubogich wszelkich kategoryj (str. 56 i dalsze).

Trafnie wywnioskował Szan. recenzent, że zwiększanie się liczby żebractwa pochodzi głównie z niewykonywania licznych co do nich oddawna przepisów. Ale mniéj trafnie, zdaniem mojem, wyraził się, że „przepisy są zbyt ogólnikowo zredagowane i dlatego do wykonania trudne.“ Owszem, że przepisy są wyraźne, dość przeczy-

tać w tekstach te artykuły różnych postanowień i osnowę całą rozporządzeń, które w méj rozprawie powołałem. Nie przeczę, że udoskonalone być mogą, ale idzie głównie o wykonywanie.

Powiada nareszcie Szan. recenzent, że jedynym środkiem dla zaradzenia żebractwu „byłoby pożądane ściśle określenie prawne, na kim leży obowiązek opatrzenia biednych“ (Czy w gminie czy w parafii?) „Jeżeliby zaś (zamiast wyprawiania nędzarzy z gminy) gmina była obowiązana opatrywać biednych, toby znalazł się praktyczny sposób przeciwko nadmiernemu szerzeniu się ubóstwa.“

Że są ściśle określone przepisy prawa co do obowiązku opatrywania ubogich, że gmina (niezależnie od parafii o ile gdzie są domy parafialne schronienia) jest wyraźnie obowiązaną opatrywać swych biednych, tak było w r. 1817 i dawniéj, że tak jest tém bardziéj w teraźniejszéj epoce samorządu gmin, raczy się o tém przekonać Szan. recenzent z uważnego odczytania méj rozprawy str. 56. 58. 59, 60 i nast., gdzie także mowa o dalszych pożądanych ulepszeniach w tak ważnéj, ciężkiéj i nigdy niewyczerpanéj kwestyi zaradzenia ubóstwu.

Co do środków ulgi losu nieszczęśliwych od samego urodzenia istot i mianowicie dzieci opuszczonych, oraz co do drugiego znakomitego na ten cel w takiéjże jak na dom zarobkowy dla ubogich dorosłych ilości (zł. 200.000) zapisu Staszica, odwołuję się do jednocześnie w r. 1877 wydanéj przezemnie oddzielnéj broszury p. t. „O polepszeniu losu podrzutków przy Szpitalu Dzieciątka Jezus.“

J. Wojewódzki.

Ś. P.

ALEXANDER HR. WIELOPOLSKI.

W przedostatnim dniu skończonego 1877 roku zmarł w Dreźnie Alexander hr. Wielopolski, margrabia myszkowski, były naczelnik rządu cywilnego w Królestwie Polskiém. Wszystkie pisma krajowe uczciły pamięć męża, który z niepospolitą energią i odwagą podjął się był dzieła trudnego, ale zapewniającego wedle jego przekonania szczęśliwszą przyszłość krajowi, a chociaż nie udało mu się nadać trwałego życia swym planom i dziełu, wszyscy uznać dziś muszą, że szczerze pragnął służyć swemu społeczeństwu. Łącząc głos nasz z głosem całéj prasy, powtarzamy tu dosłownie wspomnienie pośmiertne, poświęcone margrabiemu w jedném z najpopularniejszych pism naszych, w „Gazecie Warszawskiéj."

„Przez kilkunastomiesięczny udział naczelny w życiu politycznem naszego kraju, ś. p. margrabia zajął stanowisko dziejowego człowieka. Żywot więc jego i czyny, o ile zwłaszcza zaliczają się do tego stosunkowo krótkiego, a tak ważnego peryodu, ważnego zarówno ze względu na kraj jak i dla zmarłego, należą do historyi. W krótkiéj wzmiance o śmierci tego znakomitego męża nie możemy wkraczać w dziedzinę dziejów. Pragnęlibyśmy wprawdzie zrobić to późniéj, i chociaż pobieżnie, chociażby tylko na podstawie tego co sami wiemy lub czego byliśmy świadkami, wypowiedzieć tytuły, jakie ś. p. margrabia posiada do zajmowania owéj karty w naszéj historyi, która to karta zdaniem naszém należy mu się, a którą mu potomność przyzna. Czy będziemy mogli zadość temu życzeniu naszemu uczynić? Nie wiemy, chociaż starać się będziemy. Dla ś. p. margrabie-

go działalność historyi już się od lat czternastu zaczęła, a każdy rok mijający wybitniéj uwydatniał i głębokość myśli jego i jego zamiarów praktyczność i nieposzlakowane do kraju przywiązanie. Nieprzyjaciół i niechętnych miał on mnóstwo; na t e ich szeregi składały się strony najprzeciwniejsze i najbardziéj sobie wrogie. To zwykła dola ludzi wielkiego umysłu, wielkiego ducha, wielkiego talentu... nie śmiemy iść daléj... Aby o mężach dziejowych wolno było użyć wyrazu „geniusz,“ trzeba przy nim postawić wyraz „powodzenie.“ Tego powodzenia margrabiemu brakło. Paraliżowany w swéj działalności z dwóch stron wrogich między sobą, ale kojarzących się mimowolnie w działaniach przeciw niemu, jedna z wiedzą swego celu, druga w zaślepieniu namiętności,—runął on wirem wypadków powalony. Szkalowań wszelakich i oszczerstw z tych dwóch stron sypały się na niego grady. Milczał, zostawiając odpowiedź historyi. Milczał w części przez dumę, bo dumny był bardzo, dumny jak mało dziś się spotkać daje, dumny tą dumą rzeczywistą, która szanować się każe, opartą będąc na wierze w siebie, w swe zamiary, w swą siłę. Milczał w części przez wiarę w owo dziejowe światło, które prędzéj czy późniéj oczyszcza i wynosi lub druzgocze i potępia, wedle czynów, wedle sprawiedliwości rzeczywistéj. Nim jeszcze historya przemówiła, u narodu jego za Wielopolskim przemówiło.... doświadczenie, ta ciężka szkoła przez ciernistę ścieżki do dojrzałości prowadząca. O ile wiemy, nie cieszyło go to wczesne narodu ku niemu nawrócenie, bo okupione było zbyt ciężko przez tych, których kochał, kochał prawdziwie, ale nie sentymentalną, jeno krzepką, męzką miłością. Był on bowiem wrogiem nieprzebłaganym wszelkiéj czułostkowości, uważał ją za zgubę naszą, ale doskonale rozumiał i cenił poświęcenie prawdziwe.

Trudno nam w téj chwili wyrażać się jaśniéj, ale przekonani jesteśmy, że *właśnie w téj chwili* ocenienie sumienne, spokojne, ale gruntowne działań i celów margrabiego, byłoby nader pożyteczne, przydałoby się *wszystkim*. Byłaby to dobroczynna pozagrobowa spuścizna po tym mężu stanu, równie głębokim w ocenianiu rzeczy bieżącéj, jak daleko sięgającym w poglądzie. Nie idziemy daléj, nie chcemy, nie możemy; chodziło nam tylko o kilka wyrazów wspomnienia, które uzupełnimy z czasem, jeżeli się da, jeżeli będą mogły być uzupełnione tak, jak być powinny. Gdy my nie zdołamy, znajdą się inni. Nie płaczemy nad tym grobem, oddajemy mu tylko cześć. Ś. p. Wielopolski umarł, syt lat (urodzony 1803 r.), może syt już życia. Cierpienie moralne z lat ostatnich złamało podobno tę żelazną naturę, żelaznego margrabiego, jak go kiedyś tutaj nazywaliśmy.

Umierając zresztą mógł on zawołać: *Non omnis moriar*. Zaiste nie umarł, żyć będzie w historyi.“

Dodać tu od siebie możemy, że ocenienie działań i celów margrabiego byłoby rzeczywiście jedną z największych przysług, jaką publicysta mógłby wyświadczyć społeczeństwu. Zbyt mało obchodziły nas dotąd charakter, usposobienia, przekonania ludzi, którzy zajmowali naczelne w narodzie stanowiska, samo ich działanie, pobudki które nimi powodowały, przyczyny chwilowych powodzeń i prędkiego zowodu, uchodziły dotąd baczności naszéj, albo tłómaczyły się rzadko fizycznemi formułami. Wszak dotąd ani Hugo Kołłątaj, ani X. Ad. Czartoryski, nie mówiąc już o wielu innych, nie są dokładnie znani narodowi, z którego wyrośli i któremu służyli. Najpraktyczniejszy w Europie naród Angielski, oddawna już ma we zwyczaju, zaraz po zgonie ludzi, którzy zajmowali wybitniejsze stanowisko, zbiérać wszelkie po nich pozostałe pamiątki, korespondencye, urywki pamiętników, notatki nawet; układają się z tego bijografie tłómaczące zarówno psychiczne pobudki, które ludźmi tymi kierowały, jak i wpływ okoliczności zewnętrznych na nich oddziaływających; z takich biografij czerpać można naukę, którąbyśmy nazwać mogli nauką życia, mogącą silnie wpływać na jaśniejsze wśród narodu pojmowanie historycznych faktów, ich znaczenia i doniosłości, i pozwalającą wyciągać korzyść prawdziwą z historyi, która jeżeli nie zawsze może nas nauczyć jak stawać się mamy lepszymi, zawsze jednak wskazywać powinna jak być możemy mędrszymi.

KRONIKA NAUKOWA.

Kilka nowych wiadomości o telefonie.

Graham Bell w opisie swego telefonu, odczytanym na posiedzeniu członków Związku inżynierów telegraficznych w Londynie, wspomniał o kilku osobliwościach, które zapewne będą punktem wyjścia do nowych udoskonaleń. Oto niektóre z nich.

Zdaje się, iż zupełne izolowanie przewodników telefonowych nie jest koniecznėm. Bell przepuszczał tony przez linią szyn kolejowych, które przecież z ziemią się stykają. Jak to wytłómaczyć? Wynalazca przyznaje się, że nie wié. Co dziwniejsza, choć głos telefonowy przezwycięża takie niedokładności przewodnika, jednakże mąci go i zagłusza depesza telegraficzna, biegnąca po drucie o czterdzieści stóp od szyn oddalonym!

Inny przykład nadzwyczajnėj czułości telefonu zauważył prof. Channing w Providence, Rhode Island. Gdy porozumiewał się ze swoim asystentem za pomocą telefonu przez milowy drut, łączący jego mieszkanie z uniwersytetem, usłyszał śpiew, który też jednocześnie wpadał do ucha asystenta. Po śpiewie, nastąpiła gra na fortepianie. Tony przechodziły przez telefon tak wyraźnie, że Channing spisał sobie regestr słyszanych utworów muzycznych. Nazajutrz ogłosił we wszystkich gazetach miasta, prosząc o zawiadomienie, w którym domu grano takie a takie utwory, aby mógł bliżėj zbadać przyczynę wpadania ich w telefon. Jaki był skutek tych poszukiwań, nie wiemy, gdyż list o tėm zjawisku wysłał Channing do Bella wprzód, aniżeli otrzymał żądaną wiadomość.

Ciekawe są także szczegóły dotyczące błony drgającéj. Z początku sądzono, że można używać tylko bardzo cienkich blaszek żelaznych—ale Bell przesyłał z równą łatwością tony, używając blachy kotłowéj mającéj $^3/_8$ cala grubości i 12 cali średnicy. Z tego zadziwiającego zjawiska Bell wnosi, iż blaszka nie drga całą masą i że ruch w niéj wzbudzony jest molekularnym. Okoliczność ta otwiéra szerokie pole uwagom, nietylko dotyczącym telefonu, ale i natury dźwięku.

Modyfikacyą telefonu Bella, złożonego z magnesu stałego, stanowi telefon z kawałkiem miękkiego żelaza, który się umieszcza w płaszczyznie południka magnetycznego, pod odpowiednim kątem. Magnetyzm ziemski magnetyzuje wtedy miękkie żelazo i tym sposobem telefon jest gotowy. Zdaje się, że jest to piérwsze zastosowanie magnetyzmu ziemskiego. Jestto jednak więcéj ciekawą zabawką naukową aniżeli przyrządem praktycznym, bo użycie magnesu stałego jest prostsze i łatwiejsze.

Wielce ważną będzie, jeśli się sprawdzi, obserwacya dotycząca zorzy północnéj. Bell wspomniał w swoim odczycie, iż podczas tego zjawiska dały się słyszéć szczególne tony w telefonie, przyczepionym do drutu telegraficznego.

Zasługuje téż na uwagę przykład złudzenia wyobraźni, jakiego doświadczył Bell ze swoim asystentem. Wykonawszy pierwszy swój niedokładny instrument, gdy sądził że będzie już dokładnie głos przenosił, zapytał się za pomocą niego swego asystenta: „czy pan słyszysz?"

Odpowiedź, którą Bell usłyszał, brzmiała: „doskonale." Lecz potém, gdy porównano zanotowane z obu stron pytania i odpowiedni, przekonano się, że żaden z nich nie słyszał tego, co na przeciwnéj stacyi mówiono; czyli innemi słowy, że każdy z nich słyszał to, co spodziéwał się usłyszéć, nie zaś to, co powiedziano.

Na pytanie, jak daleko mogą być przenoszone dźwięki przez telefon, Bell odpowiada co następuje. Ściśle jeszcze nie oznaczono długości drutu, przez jaki może przejść depesza dźwiękowa, aby być jeszcze na końcu słyszaną. Największa długość drutu, przez który Bell przesyłał dźwięki, wynosiła 250 mil angiel. Głos przechodził łatwo dopóki linie równoległe nie były czynne. Wybrano więc do doświadczeń niedzielę, jako dzień, w którym prawdopodobnie inne druty telegraficzne nie będą zajęte. Rozmowa była prowadzona pomiędzy Bellem w Nowym Yorku a Watsonem w Bostonie. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zaczęto przesyłać depesz telegraficznych po innych drutach. Gdy to nastąpiło, głosy znacznie osłabły i podobne były do mowy podczas burzy. Rozmowa choć była możliwą

przedstawiała jednak wielką trudność—do tego stopnia strumienie elektryczne, biegnące po drutach sąsiednich, sprawiały zaburzenia w telefonie.

Bell próbował także siły telefonu na sztucznéj linie telegraficznéj podmorskiéj. Gdy użyto oporu równoważnego 120 milom liny podmorskiéj, rozmowa szła łatwo. Nawet i wtedy jeszcze słyszano głosy, gdy strumień telefonowy musiał przezwyciężyć opór równoważny całkowitéj linie atlantyckiéj; były one jednak tak słabe, że okazała się niemożliwość prowadzenia ciągłéj rozmowy. Przytém tony muzyki nie traciły nic a nic na swéj wysokości i były słyszane tak samo, jakby je powietrze przenosiło.

Bądź co bądź, telefon Bella może dotychczas mieć zastosowanie tylko na dość krótkich liniach telegraficznych.

Oprócz tego możemy się z czytelnikami podzielić kilku innemi wiadomościami odnoszącemi się do telefonu.

Trouvé, fabrykant paryski, dla powiększenia siły jego prądów zmodyfikował telefon Bella w sposób następujący. Zamiast blaszki żelaznéj drgającéj, używa sześcianu z blachy żelaznéj, pozbawionego jednéj ścianki. Obok każdéj z pięciu pozostałych ścianek znajduje się taki sam magnes stały jak w telefonie Bella. Gdy się mówi przed sześcianem, każda z blaszek drga i wzbudza strumienie w odpowiednim sobie magnesie. Jeśli te strumienie połączymy, to otrzymamy strumień wypadkowy, proporcyonalny do liczby magnesów. Strumień taki wywoła na stacyi odbierającéj, naturalnie, daleko silniejszy efekt, aniżeli pochodzący od jednego magnesu.

Zamiast sześcianu, powiada Trouvé, możnaby użyć wielościanu o dowolnéj liczbie blaszek drgających. Zdaje się jednak, że z podobnym telefonem nie czynił jeszcze doświadczeń. Co się zaś tyczy telefonu z sześcianem blaszek drgających, to Trouvé zapewnia, iż okazał się on najlepszym i najpośpieszniejszym ze wszystkich telegrafów.

Jeszcze bardziéj zdumiewającym, jeszcze cudowniejszym wynalazkiem od telefonu Bella, jest wynalazek utrwalania głosu, o którym donosi „Engineer.“ Według tego czasopisma, miał p. Edison, amerykanin, wynaléść środek rysowania głosu telefonowego w ten sposób, że za pomocą tego rysunku można po wielu latach odtworzyć nietylko wymówione wyrazy, ale nadto i ton głosu... Słowo tedy nie będzie już ulotném.

Metoda, za pomocą któréj Edison swoj cel osiągnął, ma być następująca.

Rura odpowiedniego kształtu jest zamknięta z jednego końca przeponą metalową, która silnie drga pod wpływem głosu ludzkiego.

Na środku przepony znajduje się kolec zwrócony ku paskowi papiérowemu, odwijanemu przez przyrząd zegarowy, podobnie jak w telegrafie Morse'a. Podczas mówienia, gdy przyrząd jest czynny, kolec uderza o papiér i przerywa go w odpowiednich miejscach. Gdy następnie tak porysowany papiér umieścimy w podobnym mniéj więcéj instrumencie, w którym bardzo delikatna błona, nosząca na sobie kolec, jest połączona z telefonem, i jeśli papiér ów będziemy przesuwali po kolcu, to błonka na któréj jest umieszczony będzie takie same drgania odbywała, jak tamta, któréj kolec porysował pasek papiérowy, czyli że telefon będzie wydawał głos podobny do pierwotnego, który wprawiał w drganie błonkę powyższéj rury. Jeśli więc pasek podobny przechowamy, to dopóki on się nie zniszczy, będzie można ciągle reprodukować słowa raz wymówione.

Ze stron wiarogodnych zapewniają, że Edison osiągnął swój cel prawie całkowicie, i że pozostaje mu praca tylko nad odtwarzaniem delikatniejszych odcieni głosu.

Sposoby badań psychofizycznych.

Na ostatnim kongresie Stowarzyszenia Brytańskiego postępu nauk w Plymouth, mówił F. Galton o środkach, jakiemiby się dały osiągnąć postępy w psychofizyce, nauce, któréj początek datuje się dopiéro od ostatnich dziesiątków lat. Nauka ta, jak sama nazwa wskazuje, ma za cel wprowadzenie fizycznych sposobów badania do psychologii. Rzecz naturalna iż, raz z powodu młodości nauki, a powtóre z powodu trudności zadania, niewiele na tém polu uczyniono, nie mniéj jednak spodziéwać się należy obfitego plonu w przyszłości: czytelnicy dojdą do tego przekonania, przeczytawszy poniżéj streszczoną prelekcyą Galtona.

Tematem tego odczytu są ścisłe naukowe metody badania rozmaitych grup ludzi, zbliżonych do siebie pod względem cech intelektualnych, lub podobieństwa fizyognomii, albo téż pod obu temi względami jednocześnie, dla wprowadzenia pewnéj klasyfikacyi. Grupy te odpowiadają typom opisanym przez Teofrasta, La Bruyére'a, napotykanym również w utworach beletrystyki współczesnéj, które u rozmaitych pisarzy, pomimo pewnych różnic, mają zasadnicze cechy wspólne, powszechnie znane. Za największych mistrzów w malowaniu tych typów uważa Galton powieściopisarzy i autorów dramatycznych, uganiających się ciągle za nowemi modyfikacyami charakterów, które artystycznie opisywać umieją. Byłoby wielką, według niego, zasługą dla antropologii, gdyby ktoś, obeznany z literaturą piękną, ułożył z wyjątków z powieści i sztuk teatralnych zbiór

głównych temperamentów i charakterów ludzkich. Za główne swe zadania uważa Galton wykazanie, iż możliwą jest rzeczą zbadanie pewnych zasadniczych właściwości takich typów, a więc w ogóle ducha ludzkiego, za pomocą ścisłéj, dokładnéj miary. Nie mówiąc już o dawniéj znanych odkryciach z psychofizyki, a mianowicie o prawie Fechnera, Galton zwraca tylko uwagę na kilka przykładów mierzenia aktów duchowych, wykazujących, że nawet w tym dziale objawów, choć to długi czas uważane było za nieprawdopodobne, można z wielką korzyścią posługiwać się jednostkami długości i czasu.

Weźmy naprzykład, powiada, prędkość z którą wrażenie lub wola przebiega po nerwach. Dowiedziono już, że ta prędkość nie jest nieskończenie wielką, gdyż nie przechodzi prędkości pociągu pośpiesznego. Ta powolność wytłómaczyła, dlaczego zwierzęta małe są daleko żywsze, zwinniejsze, gdy chodzi o uniknięcie nagłego ciosu, od wielkich, i dlaczego oczy i uszy są umieszczone w głowie, najbliżéj organu nerwowego centralnego, tak aby jak najmniéj czasu potrzeba było do przesłania wrażenia do mózgu. Sąto rzeczy dobrze znane i wielokrotnie brane za przedmiot uwagi. Ale nikt dotąd nie zajął się na seryo porównaniem prędkości przebiegu wrażenia i woli po nerwie u osób różniących się temperamentem, a badanie podobne byłoby bardzo ważném Galton więc wskazuje kilka prostych sposobów badania, mogących służyć do wykazania różnicy téj prędkości u rozmaitych indywiduów, oraz stosunku zachodzącego pomiędzy nią a temperamentem oraz zewnętrznemi cechami fizycznemi.

Przed przystąpieniem do rzeczy wypada wytłómaczyć co znaczy tylokrotnie przez astronomów używane wyrażenie: „równanie osobiste.“ Astronom powinien zaznaczyć ściśle czas, w którym gwiazda obserwowana przechodzi przez cienką nitkę, przeciągniętą pionowo przez pole lunety. Przekonano się, że oznaczenia podane przez dwóch astronomów nigdy nie są zupełnie zgodne. Jedni są zanadto prędcy i uprzedzają chwilę przejścia gwiazdy, inni przeciwnie zbyt powolni i znaczą dopiéro wtedy, gdy gwiazda przejdzie. I nie jestto wcale skutek niezręczności lub braku doświadczenia, przeciwnie, błąd ten bez względu na wprawę i stopień uwagi jest nieodłączną właściwością każdego obserwatora.

Różnica pomiędzy chwilą, w któréj człowiek zaznaczył zjawisko, a chwilą, w któréj ono rzeczywiście zaszło, nazywa się właśnie równaniem osobistém danego człowieka. Równanie to pozostaje niezmiennem przez długi czas, w każdym przypadku obserwacyi i oznacza się starannie dla każdego z astronomów pracujących w obserwatoryum. Przy ogłaszaniu spostrzeżeń dodaje każdy swe równa-

nie osobiste, według którego wprowadza się poprawki do liczb zapisanych. Jedném słowem, dzieje się tak samo, jak gdyby ktoś używał metra mniejszego lub większego od normalnego i przy każdym pomiarze podawał, o jaką ilość jest za krótki lub za długi. Ponieważ równanie osobiste jest podstawową właściwością natury człowieka, więc Galton proponuje, aby porównano wiek, rozmiary, wagę, barwę włosów i oczu, oraz, o ile to podobna, temperament wszystkich obserwatorów, z ich równaniem osobistém. Toby nas nauczyło, w jakim stopniu najbardziéj uderzające cechy fizyczne odpowiadają pewnym właściwościom intelektualnym, i tym sposobem możebyśmy osiągnęli skalę temperamentów dokładniejszą od téj, którą posiadamy.

Do dokładnego zmierzenia kwalifikuje się także czas, potrzebny do utworzenia się prostego sądu. Dałoby się to uskutecznić w sposób następujący. Jeżeli człowiek ma się dotknąć przyrządu, natychmiast po zobaczeniu pewnego sygnału, to pomiędzy sygnałem a znakiem, który przyrząd odbije, upłynie pewien czas, który będzie sumą czasu potrzebnego do przejścia wrażenia i woli po nerwach, oraz czasu działania samego aparatu mechanicznego. Oznaczywszy ten czas, powiadamy osobie użytéj do doświadczenia, że pokazane będą dwa sygnały jeden biały a drugi czarny. Jeśli się okaże pierwszy, powinna uderzyć w guzik aparatu prawą ręką, jeśli drugi—lewą. Naturalnie osoba ta nie wié, który z sygnałów najprzód będzie podany.

Z doświadczeń tych wypadnie, że pomiędzy ukazaniem się sygnału niepewnego, a skonstatowaniem jego koloru i zreflektowaniem się, którą ręką należy guzik aparatu uderzyć, upłynie pewien czas, daleko dłuższy niż wtedy, kiedy sygnał był pewnym, t. j. gdy, jak w pierwszym razie, osoba poddana doświadczeniu wié, że będzie jeden tylko sygnał, w chwili okazania się którego powinna ręką uderzyć w aparat. Jedném słowem, przy sygnale niepewnym, następuje wahanie się i strata czasu, co dowodzi, że najprostszy sąd wymaga dającéj się ocenić ilości czasu.

Przez porównanie czasu potrzebnego różnym osobom do wyrobienia sobie podobnego prostego sądu, moglibyśmy dojść do pewnéj klasyfikacyi pod tym względem. Porównawszy zaś te czasy z fizycznemi cechami wyżéj wspomnianemi, możebyśmy doszli do jakichś szerszych wniosków.

Możnaby przeprowadzić jeszcze wiele innych doświadczeń tego rodzaju. Profesor Jevons proponuje np. następujące: danéj osobie pokazuje się otwarte pudełko, zawiérające nieokreśloną ilość ziarek grochu, i każe się jéj ocenić natychmiast, z największą o ile po-

dobna dokładnością, ile jest mniéj więcéj tych ziarek. Następnie porównywa się liczbę podaną z rzeczywistą. Wypadki wielu doświadczeń tego rodzaju dały bardzo ciekawą skalę dokładności tych ocen, które przedstawiają naturalnie różnice, względnie do różnych osób i dlatego mogą także służyć za cechę klasyfikacyjną.

Słusznie twierdzi Galton, że wielceby się zasłużył antropologii ten, ktoby zebrał wszystkie podobne doświadczenia, mające na celu mierzenie władz umysłowych. Należałoby z nich utworzyć pewien systemat badania, i spopularyzować go dostatecznie, aby nauka posiłkować się mogła jak najobszerniejszym materyałem faktycznym.

Zdawaćby się mogło, że doświadczenia powyższe nie mają żadnego związku z miarą właściwości umysłowych. Lecz jeżeli tylko za pomocą porównania możemy znaléść w czémkolwiekbądź różnice, to należy się spodziéwać, że z biegiem czasu znajdziemy także jednostkę miary. Dowodzi tego na licznych przykładach historya nauk. Galton przytacza z nich jeden: podziałkę termometru. Przed dwustu jeszcze laty termometry nie miały ani punktów stałych, odpowiadających temperaturze topienia się lodu i wrzenia wody, ani téż równych stopni, i dokładne porozumienie się pomiędzy dwoma uczonemi o pewnym stopniu temperatury było niemożliwe. Teraz zaś możemy z największą dokładnością podawać wysokość temperatury. Prawdopodobnie stanie się tak samo z kwestyą nas interesującą.

I być może, iż wynaleziony zostanie przyrząd do studyów psychofizycznych, równie prosty i równie tani jak termometr. Wtedy postęp na tém polu będzie łatwy. Obecnie jednak używane aparaty są bardzo delikatne i kosztowne, tak, że nie można myśléć o wciągnięciu większéj liczby osób inteligentnych do studyów tego rodzaju.

Po zbadaniu pewnéj liczby indywiduów metodami wspomnianemi, lub podobnemi, i po rozsegregowaniu ich na grupy, odznaczające się wspólnością pewnych właściwości umysłowych, należałoby zbadać charaktery fizyczne tych grup oraz rysy ich fizyognomij. W tym celu posługiwaćby się naturalnie należało pomiarami antropometrycznemi oraz fotografią. Co się tyczé téj ostatniéj, to Galton proponuje fotografowanie osób badanych pomiędzy trzema zwierciadłami, tak aby za jednén zdjęciem można było otrzymać obraz głowy z przodu, z boku, oraz z góry. Że fotografie takie dawałyby bardzo cenne wskazówki, możemy już mieć miarę z tego, że Galton znalazł w profilach twarzy zbrodniarzy, osadzonych w więzieniu Pentonville, pewien rys stale się powtarzający. Dałyby one przedewszystkiém ważny materyał do kontrolowania wszelkich wniosków ogól-

nych, jak np. twierdzenia profesora wiedeńskiego uniwersytetu Benedict'a, który na zasadzie swych badań utrzymuje, iż u zbrodniarza tylna część głowy jest nadzwyczaj mało rozwinięta.

Po zbadaniu charakterów i fizyognomij różnych, dobrze określonych odmian ludzi, powiada Galton, antropolog powinienby się zająć poznaniem historyi życia tych odmian, a głównie ich dążnością do utrwalenia się lub wygaśnięcia. Weźmy naprzykład najwyraźniejszą może klasę zbrodniarzy. Utrwalanie się téj klasy przez dziedziczność jest kwestyą nadzwyczaj ważną, ze stanowiska teoretycznego i praktycznego, godną badań staranniejszych, aniżeli te które dotychczas przedsiębrano. Prawda, że poszukiwaniom tym stają na przeszkodzie rozliczne właściwości zbrodniarzy; ich włóczęgostwo, związki nieprawe i kłamstwo, ale bądź co bądź nie są one niemożliwe.

Łatwo jest naprzykład wykazać (według Galtona), że charakter zbrodniczy ma dążność do przechodzenia z ojca na syna. Wprawdzie zbrodniarki, które najlepszą część swego życia przepędziły w więzieniu nie wiele się przyczynić mogą do powiększenia ludności zbrodniczéj, ale za to, jak się przekonano, klasa zbrodniarzy odżywia się świeżą krwią klasy ludzi, którzy nie będąc zbrodniarzami nie są jednak zdolni do grania pewnéj roli w dziele naszéj cywilizacyi i, pędząc życie na wpół dzikie, są skłonni do wszelkiego złego, jeżeli się po temu okazya wydarzy. Kobiéty do téj niewyraźnéj klasy należące łączą się ze zbrodniarzami i dają życie nowym latoroślom zbrodniczym.

Uderzający przykład dziedziczności charakteru zbrodniczego, daje nam historya niecnéj rodziny Jukes w Ameryce. Genealogia jéj została zbadana z największą dokładnością aż do siódméj generacyi. Jest ona przedmiotem wyczerpującego studyum, pomieszczonego w 31 raporcie Towarzystwa więziennego w New-Yorku za rok 1876. Genealogia ta zawiéra nie mniéj jak 540 członków familii Jukes, pomiędzy którymi znajdujemy prawdziwie przestraszającą ilość tych, którzy się oddawali zbrodni lub żebractwu, oraz tych, którzy się stali pastwą chorób.

Trudno jest streścić te rezultaty w kilku liczbach, więc Galton podaje tylko odnoszące się do piątéj generacyi pochodzącéj od najstarszéj z pięciu płodnych córek człowieka, który był głową téj rasy. Całkowita liczba członków téj generacyi wynosiła 123, z których trzydzieści ośm było potomkami wnuczki nieprawéj, a ośmdziesiąt pięć pochodziło od dzieci prawych. Z owych trzydziestu ośmiu, 16 zostało skazanych na więzienie, a z nich 6 za najcięższe przestępstwa; jeden z ostatnich figurował dziewięć razy na ławie oskarżo-

nych. Jedenastu członków zajmowało się żebractwem lub nierządem, a czterech innych oddawało się nałogowemu pijaństwu. Historya trzech członków tego pokolenia nie jest znaną—a wreszcie, czteréj tylko pozostali wiedli życie porządne. Większość kobiét tego pokolenia połączyła się z kryminalistami. Ośmdziesiąt pięć potomków prawych odznaczało się mniejszém zepsuciem, gdyż tylko pięciu z pomiędzy nich uległo karze więzienia, a trzynastu oddawało się żebractwu.

Przodek téj niecnéj rodziny, urodzony około roku 1730, był myśliwym i rybakiem, wesołym towarzyszem nienawidzącym wszelkiego dłuższego zajęcia, pracującym tylko podczas jakichś rzadkich napadów pracowitości, po których znowu oddawał się lenistwu. Był on ojcem licznych dzieci nieprawych, o których historyi niewiadomo nic pewnego. Słowem, byłto niezły okaz pół-dzikiego człowieka, bez żadnego wyraźnego instynktu zbrodniczego. Córki jego, prawdopodobnie powabne, wyszły młodo za mąż, niektóre dość dobrze, ale włóczęgostwo wpojone w ich rasę nie mogło się pogodzić z życiem cywilizowanym. Dlatego téż potomkowie ich przechylili się ku złemu, i niemoralność, nie napotykając żadnéj przeciwwagi, czyniła wśród nich przerażające postępy, pogrążając ich coraz głębiéj w otchłań nieszczęścia. Łącząc się z zbrodniarzami, utworzyli wkrótce familią z przeszło pięciuset członków złożoną, u któréj przeważał typ kryminalny. Obecnie, pod wpływem chorób i niewstrzemięźliwości, rasa ich niknie w szybkim postępie: śmiertelność dzieci stała się u nich w ostatnich czasach prawdziwie straszną. Na szczęście jednak kobiéty obecnéj generacyi rodzą nieliczne tylko potomstwo, a nawet wiele jest pomiędzy niemi zupełnie bezpłodnych.

Historya familii Jukes okazuje jak zajmującém i jak ważném jest badanie tego rodzaju, jak doniosły materyał zawiérają akta więzienne. Uczy nas ona zresztą, iż historya familij przynoszących zakałę ludzkości, nie mniéj dla niéj jest ważną, jak dzieje rodzin będących dla niéj zaszczytém. O ileż nauka płynąca z dziejów tak pierwszéj jak i drugiéj gruppy ludzi byłaby dokładniejszą, obszerniejszą, pożyteczniejszą, gdyby indywidua do nich należące były badane za pomocą metod psychofizycznych!

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Po długim szeregu artykułów „W sprawie upadających posiadłości większych,“ które z początku budziły najżywszy interes, następnie stały się nieco jałowe, a w końcu poszły w przysłowie, *Niwa* zajęła się sprawami własności mniejszéj. Nowa ta rubryka zasługuje na bezwzględną pochwałę, śledzić za nią i streszczać ją będziemy stale i dlatego dziś pozwolimy sobie kilku uwag ogólnych.

Pierwszą wybitną charakterystykę nowéj rubryki stanowi tytuł: kiedy bowiem własności większe były tylko *upadającemi*, mniejsze są *rozwijającemi się*, stoi wyraźnie: „W sprawie rozwoju małéj własności ziemskiéj.“ Dlaczego ta różnica, skoro oba typy gniecie bieda jednakowa i skoro każdy z nich na swój sposób wykształca się czy przekształca? Dlaczego włościanin pozbawiony kredytu, dręczony przez rozrzucone grunta i demoralizowany przez serwituty, rozwija się, podczas gdy właściciel większy dzięki temu samemu brakowi kredytu i serwitutom upada?

Drugą cechą rubryki jest to, że gdy w sprawie upadających posiadłości większych, pismo przedstawiało obfity materyał i cieszyło się znakomitą cyfrą współpracowników, w sprawie własności mniejszéj, zabrał głos jak dotychczas jeden tylko autor i to z powołania obowiązany zajmować się tym rodzajem naszych gospodarstw. Gdyby nie on „sprawa“ mogłaby się nie urodzić.

Daléj zarzucićby można brak systemu i wypływający ztąd chaos w planie. Redakcya bowiem obiecuje pomieścić artykuły o tém: a) W jakich warunkach znajduje się własność mniejsza; b) Jakie usługi oddała kulturze ziemi (chyba te, że ją wyjałowiła?); c) W jaki sposób przyczynia się do ogólnéj produkcyi? d) Czy jéj

gospodarstwo odpowiada wymaganiom ekonomii? e) Czy gospodarstwo to było wsparte dostatecznemi środkami kredytowemi? f) Jakie reformy są potrzebne.

Tymczasem nie wyjaśniwszy wcale w jakich warunkach znajduje się u nas własność mniejsza, czy jéj gospodarstwo odpowiada wymaganiom ekonomii i jakie reformy są potrzebne, redakcya zamierza rzecz rozpocząć od artykułu o tém: jak się u nas mała własność zagospodarowywać powinna?

Oryginalnym wypadkiem w świeżéj rubryce jest i to, że autor piszący w sprawie własności mniejszéj, p. K., reprezentuje poglądy wprost przeciwne p. W., autorowi, który pisał o „Gminie w obecnym i możliwym ustroju.“ P. K. bez ogródki i po dwakroć twierdzi, że należy wybiérać między nim lub p. W. „Jeżeli redakcya,“ mówi w jedném miejscu p. K., „przedstawiła program reformy gminy, mający służyć za podstawę takiego jéj przekształcenia, jakiego wy Panowie i czytelnicy waszego pisma dla gminy pragniecie, to dziwném byłoby z méj strony, gdybym pracą moją przyjmował udział w piśmie, które w danéj kwestyi dąży do celów zupełnie mojemu zdaniu przeciwnych.“ Jak na początek „sprawy“ to dosyć. Zachodzi teraz kwestya czy w dalszym jéj przebiegu p. W. będzie miał głos, czy równie energicznie przeciw poglądom p. K. zaprotestuje, i czy *Niwa* nowy ten protest pokryje znowu milczeniem?

Zadziwia nas niemało ten zamęt w obrabianiu programu i sprzeczne opinie wyrażone w piśmie, które mianuje się organem stronnictwa „świadomego swych celów.“

Ale pomimo tych zarzutów, przyznać należy, że zasługę *Niwy* stanowi to, iż kwestyą podniosła i że pierwszy artykuł mający z nią bezpośredni związek wyprowadza na jaw niezmiernie pouczające szczegóły z życia włościan, których w ogóle nie znamy. Autor pracy „O wpływie kredytu ludowego na ustrój małéj własności ziemskiéj w Królestwie Polskiem“ p. Aleksander Kostromitinów jest komisarzem włościańskim, stykał się więc z ludem bezpośrednio. W ciągu swéj urzędowéj działalności odseperował 6.000 osad włościańskich w gub. Radomskiéj i kilkaset w Kaliskiéj, przedewszystkiém więc faktycznie zasłużył się społeczeństwu. Dziś zbliżył się do dziennikarstwa, aby za jego pośrednictwem przedstawić ogółowi swoje poglądy na sprawę ważną i kłopotliwą. Wykład p. Kostromitinowa jest jasny, objektywny i zdradza człowieka wyższego duchowego pokroju. Społeczeństwo nasze zawsze uszanuje zasługi takich pracowników i uczci w nich bezstronność i poczciwe chęci, które dla wielu ludzi zdają się być nieprzystępnemi wyżynami.

W artykule swym p. Kostromitinów wyświetla następne rzeczy: 1) że ważną przeszkodę zniesienia służebności stanowi szkodliwy sam przez się fakt istnienia t. z. szachownic, to jest rozczłonkowanie i pomięszanie ze sobą gruntów włościańskich; 2) że istnienie szachownic paraliżujących wszelkie porządne gospodarstwo włościańskie zależy w pewnym stopniu od wytworzenia się lichwiarzy w klasie włościańskiéj; 3) że kasy zaliczkowe, a więc tani kredyt, kładąc kres lichwiarstwu, wpłynąć mogą na zniesienie szachownic i służebności.

Przed uwłaszczeniem istniało w kraju dwie kategorye lichwiarzy, których nazwijmy rolniczymi. Jedni z nich wyzyskiwali obywateli ziemskich, drudzy—mieszczan rolników; ci zaś i tamci dawali pieniądze na zastaw gruntu. Wielu z nich tym sposobem zaokrąglili swoje posiadłości, innym ukaz przysądził grunta, których poprzednio nie mieli.

Po uwłaszczeniu powstał nowy typ lichwiarzy z pośród majętniejszych włościan, którzy ssali swych ubogich sąsiadów. W kraju znajduje się około 200.000 osad mających 15 lub więcéj morgów ziemi, 280.000 posiadających od 3 do 15 morgów i 210.000 z ilością gruntu niższą od 3 morgów. Lichwiarze więc mieli i mają materyał wystarczający do swoich operacyj. Obdarowany gruntem włościanin potrzebował i dziś często potrzebuje pieniędzy na budynki, odzież, narzędzia, inwentarz, ziarno na siew, a jak dawniéj i na wykup syna z wojska. Żądających pieniędzy było bardzo wielu, a posiadających je mało, wieśniak przytém rachować nie umié, łatwo więc pojąć, że w takich warunkach lichwa powstać musiała. Ponieważ zaś jedyną pewność zwrotu pożyczki dawał grunt, ziemia zatém dłużników poszła w zastaw do wierzycieli, którzy wielkie zyski poczęli ciągnąć. Pierwszym owocem stanu tego było wywłaszczenie dłużników, niemogących żadną miarą zwrócić pożyczki, i wzrost terytoryów wierzycieli.

Lichwiarze bardzo prędko zmiarkowali korzyści położenia i poczęli nietylko wyzyskiwać je, ale i starać się o utrwalenie takowego. Pojawiły się w życiu gmin fakta dziwne, mogące doprowadzić do rozpaczy ludzi nieobeznanych z tajemnemi ich sprężynami. W niektórych miejscach włościanie nie zgadzali się na uregulowanie służebności, choć akt ten przynosił bijące w oczy zyski. W innych zniesiono szachownice, urządzono osady, lecz w parę lat potém chciano zwalić umowę i wrócić do dawnego stanu rzeczy. Gdzieindziéj znowu, gmina nie chciała *przyjmować zapomogi od rządu na założenie kasy zaliczkowéj.* W obec tego rodzaju objawów widz ze stra-

chem pytać musiał, czy natura nie pozbawiła włościan naszych zdrowego rozsądku?

Tymczasem rzecz była nader prosta. We wsi znajdował się jeden lub kilku włościan lichwiarzy, biorących grunta w zastaw i posiadających wpływ na urzędników gminy. Lichwiarze ci rozumieli, że zniesienie serwitutów i szachownic przyczyni się do wzbogacenia ogółu i zmniejszy ich zarobki, że kasa zaliczkowa zrobi to samo. Używali więc wszelkich środków, aby żadnéj reformy nie dopuścić i w wielu razach udawało im się. Dopiéro, gdy wśród zebrania gminnego znalazł się człowiek, który wytłómaczył korzyści reform, gdy między lichwiarzami i ich dłużnikami przyszło do wymówek i gdy rybakom z mętnéj wody publicznie, wytknięto ich niegodziwe plany, opór słabnął, a zmiana została zaprowadzoną.

Zbytecznėm byłoby nadmieniać, że niekiedy na podskarbiego kasy zaliczkowéj dostawał się lichwiarz i pod jéj zasłoną a nawet jéj środkami niemy swój fach prowadził.

Taką jest treść uwag p. Kostromitinowa, z których wnioski leżą jak na dłoni. Kraj musi się postarać o kasy zaliczkowe a losem ich powinna się zająć inteligencya wiejska: nietylko bowiem potrzeba pieniędzy, ale i kasyerów uczciwych. W sprawie téj posiadacze więksi bezpośrednio są zainteresowani, od rozstrzygnięcia jéj bowiem zależy w pewnym stopniu regulacya serwitutów. Inny wniosek jest nie mniej ważny, oto: że lichwiarstwo nie stanowi wynalazku żydowskiego, ale jest chorobą z ogólnéj wypływającą biedy. Trapi ona zarówno miasta, jak i wsie, a posługuje się równie dobrze żydami jak i katolikami. Czy zatém w obec tego godzi się występek lichwy składać wyłącznie na żydów i proceder ten robić cechą charakteryzującą tę mianowicie klasę mieszkańców naszego kraju?...

W końcu p. Kostromitinow sądzi, że kasy zaliczkowe wiejskie do upowszechnienia się u nas wymagają prywatnego komitetu na wzór istniejących w Petersburgu i na Kaukazie. Uznajemy pożyteczność a nawet niezbędność podobnego organu, lecz zarazem prosimy autora o wskazanie: na jakiéj drodze uzyskaćby można odnośną koncesyą? Stowarzyszeń takich, jak Komitet kas zaliczkowych wiejskich, kraj potrzebuje bardzo wiele i w rozmaitych sferach życia społecznego. Na nieszczęście jednak nie znalazł się nikt dotychczas, któryby nauczył nas sposobu uzyskiwania koncesyi i przez to zakładania najpierwszych fundamentów dla tych budowli. Ponieważ jednak p. Kostromitinów obiecuje więcéj artykułów w tym przedmiocie, nie wątpimy zatém, że zechce w nich uwzględnić i tę najsłabszą stronę każdego naszego projektu.

Od Października roku zeszłego w ratuszu warszawskim spe-

cyalny komitet obradował nad sposobami przyjścia z pomocą klasie robotniczéj. Korzystając z łaskawie udzielonéj nam notatki przez osobę bliżéj obeznaną z historyą narad, przedstawimy ich przebieg i zawadzimy o podawane projekta.

Początkowo miano zamiar utworzyć jednę instytucyą p. t. „Warszawskie towarzystwo wzajemnéj pomocy,“ któreby łączyło w sobie: kasę dla wspierania chorych, kasę wkładowo-zaliczkową i kasę emerytalną. Plan ten jednak odrzucono z powodu nieuniknionych trudności technicznych. Istotnie każda z owych kas wymagałaby (ze względu na wielką liczbę stowarzyszonych) mnóstwa urzędników i znacznych kosztów, całość zaś funkcyonowałaby powoli i ciężko. Upadłego projektu nie żałujemy, wszelka bowiem centralizacya tworzy instytucye odsunięte od życia, nagromadzanie zaś zbyt wielkich kapitałów z natury rzeczy do ogółu należących, jak wiémy z praktyki, niezawsze na pożytek ogółu wychodzi.

Umyślono więc trzy kasy rozdzielić i zastanawiano się nad tém czyby nie należało pierwszéj z nich, to jest kasy dla chorych, urządzić na centralistycznych zasadach, jednéj dla wszystkich. Lecz i tu znowu zwrócono uwagę na trudności techniczne, z powodu których projekt upadł. Obawiano się naprzykład, że przy wielkiéj liczbie uczestników kontrola będzie niemożliwa, pomoc niedość szybka a pociągnięcia wszystkich stowarzyszonych do wnoszenia jednakowéj składki niewykonalne itd.

Sądzimy, że zarzuty te mają podrzędne znaczenie. Główném powinno być unikanie centralizacyi tam gdzie jéj nie potrzeba i na odwrót. Kasa emerytalna, opiérająca byt swój na rachunku prawdopodobieństwa, na bardzo wielkiéj liczbie stowarzyszonych, potrzebuje być instytucyąześrodkowaną, bez względu na koszta administracyi, trudność kontroli, niemożność narzucenia wszystkim jednéj opłaty i wielu innych szkopułów, które się pokonywają dość łatwo. Ze stowarzyszeniem jednak dla chorych rzecz dzieje się przeciwnie. Tam składki i ryzyko są mniejsze, a liczba członków może być bardzo niewielka, owszem—jest nawet lepiéj, gdy się wszyscy znają i mogą wspólnie obradować.

Bądź co bądź, idea kasy uniwersalnéj została pogrzebana, a nowy projekt oparto na następnych zasadach:

a. Dozwolić rzemieślnikom, aby stowarzyszali się w celu tworzenia kas dla chorych.

b. Każda kasa mieć będzie swój własny zarząd.

c. Rzemieślnicy pracujący w fabrykach, gdzie kasy podobne już istnieją, z obowiązku muszą być ich członkami.

d. Wysokość składek i wsparć tudzież administracyą wewnętrzną pozostawić stowarzyszonym. Każda grupa wypracować powinna pod tym względem przepisy najlepiéj odpowiadające jéj interesom.

e. Ustawa normalna ma być podana do zatwierdzenia władzy i obecnie jest już opracowywaną przez komitet.

Postanowiono również przygotować projekt kasy pożyczkowo-wkładowéj, po zatwierdzeniu zaś obu instytucyj, ma być wzięty pod rozwagę plan kasy emerytalnéj.

Taki tryb postępowania komitetu jest bardzo rozumny i zasługuje na uznanie. Pewni też jesteśmy, że układający ustawę ogólną dla kas wspomagania chorych, tudzież—wkładowo-zaliczkowych nie zapomną o tém, że w Warszawie obok 25.000 rzemieślników i robotników istnieje prawie taka sama liczba handlujących, że już nie wspomnimy o ogromnéj masie osób, które w statystykach miast figurują pod nazwą: utrzymujący się z posług osobistych. Jeżeli możliwém będzie obmyślenie ustaw, któreby wszystkie te kategorye ogarnęły, tem lepiéj; w przeciwnym jednak razie, dwie pozostałe klasy będą musiały pomyśléć same o sobie, chociaż droga dla nich zostanie już utorowaną.

Wyobraźmy sobie teraz różne potrzeby jakiéjkolwiek klasy pracowników. Przedewszystkiém potrzebują oni jeść, odziewać się, mieszkać i zaspokoić wiele innych zasadniczych wymagań natury ludzkiéj. Daléj, potrzebują kapitału zakładowego na narzędzia pracy i obrotowego na materyały. Wreszcie—pomocy w razie nieszczęść losowych, zabezpieczenia bytu rodzinie w razie śmierci i emerytury na starość.

O utworzenie kapitału zakładowego w rzemiosłach wymagających mniejszego nakładu obrotowego, o pomoc w nieszczęściu, a nawet o emeryturę troszczy się obecnie komitet. Przypuśćmy, że szlachetnych celów swoich dopnie, lecz nie sądźmy, aby już wszystko zrobił. Obmyślając ustawy i wyjednywając ich zatwierdzenie, komitet utworzy zbiorniki dla kapitałów, których źródłem i ujściem mają być zarobki i całe zresztą życie klas pracujących. Zarobki te przecież są i dziś, ale się gdzieś rozchodzą tak, że aż wynikła potrzeba zajęcia się bliżéj kwestyą pomocy. Któż zaręczy, że robotnik, który nie odkładał nic dotychczas, zechce odkładać późniéj? Wielu z nich niewątpliwie ledwie wyżyją z owoców swéj pracy, lecz wielu też zarabia więcéj niż najpierwsze potrzeby wymagają. Co więc pochłania owę przewyżkę i czy samo istnienie kasy wkładowéj lub emerytalnéj potrafi ściągnąć pieniądze w kierunku żądanym? Zresztą wszakże ustanawiając normę dla składek emery-

talnych lub zapomogi w chorobie, trzeba znać średnią długość życia rzemieślników, szansę choroby i wskazać uczestnikom: jakie to zależne od ludzi przyczyny zwiększają prawdopodobieństwo nieszczęścia i cyfrę składki?

Nie śmiem twierdzić, lecz zdaje mi się, że na kwestye te nawet autorowie rozstrząsanych projektów nie zwrócili uwagi, a oto dowody.

W jednym z projektów (powtarzam na odpowiedzialność „Gazety Polskiéj“) powiedziano, że: każdy robotnik płacić ma do kasy chorych 15 kop. tygodniowo (60 kop. miesięcznie), a za to on, żona i dzieci dostaną lekarza i lekarstwa w razie choroby i prócz tego, jeżeli on sam będzie chorym 3 rs. zapomogi tygodniowo, czyli prawie 43 kop. dziennie.

Tymczasem w podobnychże stowarzyszeniach we Francyi, robotnik w razie choroby dostaje tyle zapomogi dziennie, ile płaci składki miesięcznéj. Według więc téj zasady, nasz powinienby otrzymywać nie 43 kop., ale 60 kop. dziennie.

Zasada francuska opiéra się na wykazach statystycznych. Tam wiadomo, że średnio na robotnika przypada rocznie 6 dni choroby, że zaś składkę płaci w 12 miesięcznych ratach, wpływy więc z jednego półrocza idą na zapomogę, a z drugiego na lekarza i lekarstwa. Radbym jednak wiedziéć: na czém opiéra się nasza zasada? Prawdopodobne jest, że nasz robotnik choruje przecięciowo dłużéj, ale gdzież na to dowód? Wypada go przytoczyć i odpowiednią cyfrę średnią w praktyce zastosować, gdyż inaczéj stanie się krzywda kasie, albo robotnikowi, a prędzéj temu ostatniemu.

Nierównie dziwniéj wygląda fakt następny.

W projekcie dotyczącym kasy emerytalnéj między innemi powiedziano.

Kto przez 35 lat płacić będzie po 7 rs. 20 kop. rocznie, ten dostanie emerytury 120 rs.

Zatrzymajmy się na téj cyfrze, chociaż podano ich więcéj i zobaczmy o ile jest możliwą. Mam przed sobą tabelki trzech towarzystw ubezpieczeń na życie: krakowskiego, ruskiego i petersburskiego, z których ostatnie pobiéra składki nieco mniejsze od innych. Biorę więc ostatnie. Przypuśćmy, że człowiek 20 letni składa rocznie po 7 rs. 20 kop. przez 35 lat, w takim razie jeżeli emeryturę zastrzegł tylko dla siebie, otrzyma w 55-ym roku życia jednorazowo 700 rs. Może je wprawdzie podzielić na 120 rublowe raty roczne, a wówczas pobiérać je będzie prawie przez lat 6; że zaś w 55 roku ma prawdopodobieństwo żyć jeszcze lat 13, przez 7 więc lat ostatnich

albo nic nie dostanie, albo kasa musi mu dołożyć. Za co? z jakich funduszów?

Jeżeli jednak ów 20 letni człowiek zechce w razie śmierci przekazać komuś swoję emeryturę, wówczas za owe 7 rs. 20 kop. rocznéj składki, on lub jego spadkobiercy dostaną tylko 300 rs. w cyfrach okrągłych. Jest to naturalne, w tym bowiem wypadku kasa ma większe prawdopodobieństwo zapłacenia niż w pierwszym.

Ponieważ cyfry ogłoszone przez towarzystwa ubezpieczeń sam sprawdzałem, stosując do nich tablice śmiertelności (nb. nie nasze) i procenta składane, jestem więc najmocniéj przekonany, że kasa emerytalna niemająca znakomitych dopływów z zewnątrz, lecz oparta na takich jak wyżéj składkach członków, zbankrutowaćby musiała. Sądzę téż, że zupełnie niewłaściwie cyfry tak wątpliwéj wartości ogłoszone zostały w piśmie czytywaném przez rzemieślników, którzy oparłszy się na nich mogą roić sobie najniesprawiedliwsze nadzieje.

W tym więc punkcie stanowczo nie podzielam zdania szanownego p. Al. Makowieckiego, którego słowa, jak najsłuszniéj, w innych wypadkach dla rozsądnych rzemieślników stanowią powagę.

Dwa błędy, które zacytowaliśmy, jeden dotyczący kasy chorych, drugi emerytalnéj, świadczą że projektodawcy nie posiadają dostatecznéj ilości materyałów niezbędnych do roztrząsania a co ważniejsza wyrokowania w podobnych kwestyach. To téż nie dziw, że wiele pięknych ustaw na takiéj drodze powstałych albo nie weszły w życie, albo gwałtem przystosowane do niego nie wydały oczekiwanych rezultatów.

Dla uniknięcia na przyszłość odskoków między idealnemi wymaganiami ustaw a realnemi prawami rzeczywistości, należałoby przedewszystkiém *zbadać obecny stan naszych klas pracujących* i rezultat tego ogłosić. Ciekawe bo są i nauczające pytania: jak mieszkają, czém się żywią, jakie potrzeby duchowe zaspakajają, co oszczędzić mogą rzemieślnicy? Kto wié, czy zbadawszy bliżéj ich nałogi nie odkrylibyśmy owéj fatalnéj szczeliny, przez którą uciekają ich zarobki a wdziera się lichwa, nędza i występek? Kto wié, czy znając przyczyny nie potrafilibyśmy choć w części ich wpływ osłabić? Alboż sama kwestya żywienia się klas pracujących nie stanowi jednego z najważniejszych zagadnień społecznych. Czyliż mało pożywne pokarmy nie są przyczyną lenistwa i pijaństwa tak upowszechnionego u nas? Kto wié, czy ścisły rachunek nie wskazałby możności zastąpienia materyałów odżywczych gorszych lepszemi i... kto wié (niech mi wybaczą idealiści!), czy w dalszém następstwie tego nie podniósłby się poziom cnót i rozwagi?

Zdaje się, że postawiliśmy sprawę jasno i że nie popełnimy błędu, odwołując się do istniejącego komitetu. Członkowie jego nietylko mają możność zaspokoić w tym kierunku ciekawość publiczną, ale co ważniejsza mają wolę dobrą, której dowody złożyli. Niech więc posuną się krok naprzód i uchwalą niezbędność dokładnego poznania bytu klas pracujących, niech zresztą pozwolą uczynić to innym w zakresie ich osobistych wpływów, a zrobią rzecz dobrą. Pytania podobne od dawna już roztrząsano na zachodzie, tak że dziś łatwiéjby nam było powiedzieć, jaki procent robotników amerykańskich w mieszkaniach swych posiada fortepiany i dywany, aniżeli ile funtów mięsa i kartofli zjada i ile kufli piwa wypija rocznie nasz rzemieślnik?

Z początkiem roku bieżącego ukazały się dwa pisma, nie powiemy: specyalne, bo wyraz ten odstrasza zazwyczaj czytelników ale posiadające pewien ściśléj oznaczony program. Pismami tem, są: *Ekonomista* i *Zdrowie.*

Odkładając wzmiankę o *Ekonomiście* do następnego numeru, wspomnimy teraz o *Zdrowiu.* Jestto dwutygodnik, kosztujący w Warszawie i na prowincyi rs. 5 a poświęcony higienie i naukom przyrodniczym. Z działu pierwszego znaleźliśmy dotychczas dwa artykuły: O wodzie w studniach warszawskich i o zachowaniu się na stacyach klimatycznych, oba wyższe nad dziennikarskie uwagi, jakiebyśmy wypowiedzieć mieli obowiązek. Z działu drugiego znajduje się artykuł o kolibrach i o ruchu gwiazd stałych. Prócz tego wprowadzono rubrykę przeglądów piśmienniczych i kronikę naukową zapisującą nowe odkrycia i spostrzeżenia z zakresu astronomii, fizyki, fizyologii itd.

Dziwną wydać się może nasza pochopność do udzielania rad pismu z natury rzeczy wymykającemu się z pod krytyki niespecyalisty, popełnimy jednak tę niedyskrecyą, rozumiejąc jak ważnym jest dla nas podobny organ i szczerze pragnąc, aby swój program rozwinął i wśród publiczności znalazł dobre przyjęcie. Otóż sądzimy, że *Zdrowie* dobrze zrobi, gdy najprzód z zakresu nauk przyrodniczych unikać będzie artykułów zbyt ogólnych i zbyt specyalnych. Prawda, że między jedną i drugą ostatecznością niezmiernie trudno oznaczyć granicę, nie mniéj jednak istnieje ona. O ileśmy uważali po sobie i innych, średnio ukształcony czytelnik na artykuły przyrodnicze zwraca uwagę wówczas, gdy one dotykają jakiejś strony życia praktycznego, gdy zaspakajają ciekawość, albo poruszają inne uczucia np. zachwytu, podziwu itd. Rozumié się, że zasadniczy warunek skierowania myśli ku pewnemu punktowi musi być ten, aby czytelnik znał i interesował się opisywaném zjawiskiem lub jakąś częścią jego, po

któréj to nitce autor, czy redakcya przesłać mu może wiadomości zupełnie nowe. Jeszcze raz powtarzam, że odnalezienie nitek podobnych wcale nie jest łatwe, lecz od tego niestety! zależy byt pism specyalnych.

Powtóre, redakcya w artykule naczelnym obiecuje zajmować się tylko higieną, nie dotykając medycyny. Zgadzamy się na to w ogóle, przypuszczając jednak, że od prawidła powyższego dałoby się zrobić wyjątki. Istnieją choroby dość częste i groźne, które w początkach można osłabić nie tyle może lekami, ile zachowaniem się odpowiedniém. Otóż o takich chorobach i sposobach zachowywania się w obec nich, czytelnicy dowiedzieliby się chętnie, tém chętniéj, że w kraju naszym niewszędzie można mieć na każdą chwilę lekarza, a czas wiele znaczy. Tyle o higienie w stanie choroby, co zaś do higieny w stanie zdrowia, niecierpliwie oczekujemy artykułów z téj sfery. Pokarm, odzież, mieszkanie, równowaga między pracą nerwową i muskularną, sen, zabawa i tysiące innych rzeczy, sąto kwestye u nas nie znane lub najfałszywiéj rozumiane. Roztrząsając je w sposób zajmujący, popiérając przykład faktami z praktyki lekarskiéj czerpanemi, redakcya odda publiczności niezaprzeczone usługi.

Ścisły związek ze sprawą szerzenia oświaty mają odczyty, odbywające się w naszém Muzeum przemysłu i rolnictwa. Właśnie w Grudniu i Styczniu urządzono ich dwie serye: p. Gerson mówił o rysunku ornamentacyjnym, a p. Jankowski o ogrodnictwie. Zbyteczném byłoby dodawać, że prelekcye te wypowiadane przez ludzi fachowych posiadały wysoką wartość, lecz, o ile wiemy, natłoku słuchaczy nie było. Wprawdzie Muzeum na lekcye p. Gersona rozesłało do warsztatów 50 biletów bezpłatnych, sprawozdawcy jednak zdają się wątpić o tém, czy wszyscy obdarowani z uprzejmości téj skorzystali.

Już to wyznać potrzeba, że ciemnota w nasze klasy rzemieślnicze silne zapuściła korzenie i trzyma się ich nie żartem. W Warszawie rzemieślnicy nie dobijają się do odczytów fachowych, w Lublinie cechy swarzą się o fundusze na podtrzymanie szkoły rysunkowéj, a w Kaliszu wprost odmawiają pieniędzy na otworzenie szkoły rzemieślniczéj niedzielnéj. W innych miastach kraju (za wyjątkiem Płocka, który w tych czasach zdobył się na szkołę rzemieślniczą), dla tego chyba o wybrykach podobnych nie słyszymy, że nikt o nowościach nie myśli.

Jestto przecięż dopiéro połowa sprawy, do któréj dołączyć potrzeba małą znajomość klas niższych w osobach pragnących je oświecać. Powodowani najzacniejszemi uczuciami ludzie ci pragnęliby

korcem lać wiedzę w głowy do niéj nieprzywykłe, chociaż doświadczenie uczy, że po operacyi zdjęcia katarakty chorych bardzo ostrożnie przyzwyczajać trzeba do światła!

Czyby to oftalmologiczne spostrzeżenie nie dało się zastosować do nauki? Pamiętajmy bowiem, iż ci sami rzemieślnicy, których dziś ledwie dziesiątki uszczęszczają na lekcye specyalne, setkami wdzieraliby się na odczyty treści ogólniejszéj, osobliwie wsparte przez latarnię czarnoksięzką. Nie owijając rzeczy w bawełnę, powiedzmy sobie wprost, iż rzemieślnik nasz to straszny biédak umysłowy. Nie rozumié on mnóstwa wyrazów, nie posiada większéj części pojęć, które dla klas średnio nawet ukształconych stały się zdawkową monetą, nie umié słuchać i pragnie się zabawić. Czyżby więc nie należało zacząć pracy od fundamentów i zamiast kilkogodzinnych odczytów mających na celu zaznajomienie słuchacza z nauką, czy nie lepiéj byłoby wprowadzić odczyty jednogodzinne, których rezultatem jest zrozumienie przez słuchacza kilku nowych wyrazów i nabranie ochoty do umysłowéj rozrywki.

Odczyt taki niezbędnie wspiérać się musi na okazach, przyczém ważne usługi oddać może tani a wyborny instrument *scioptykon*, rodzaj latarni czarnoksięzkiéj. Do przyrządu tego fabryki wyrabiają mnóstwo wizerunków z zakrésu najrozmaitszych gałęzi wiedzy. Jest tam zoologia i geografia, mineralogia i astronomia, sztuka starożytna, a bodaj czy nie technika dzisiejsza. Każdy się chyba zgodzi, że odczyt nie drogi a pięknemi obrazami ozdobiony ściągnie licznych słuchaczy, a cały szereg ich musi wywrzéć wpływ na umysłowość klas pracujących. Kto nie zobaczy własnemi oczyma cudów nauki, ten usłyszy o nich od szczęśliwszego kolegi, reszty zaś dopełni książka. Myślę, że gdyby Muzeum dostarczyło lokalu i instrumentu, chętni prelegenci łatwoby się znaleźli.

Praktyczném uzupełnieniem odczytów p. Gersona jest otwarcie sali rysunkowéj w Muzeum, które prócz wzorów ma dostarczać uczniom materyałów rysunkowych. Kursa rysunków dla kobiét urządza pastelista p. Maleszewski we własném mieszkaniu. Kto uznaje wpływ nauki rysunku na rozwój gustu i wié jak dalece ogół rzemieślników naszych przymiotu tego jest pozbawiony, ten zgodzić się musi, że dwie nowe instytucye są wcale pocieszającemi objawami postępu, byle się tylko przyjęły!

Rok bieżący przynosi nam uroczystość, która, ze względu na zajęcie jakie dziś już obudziła, dorasta wysokości narodowego święta. Józef Ignacy Kraszewski obchodzi jubileusz 5o-cio letniéj działalności literackiéj w kole rodziny, któréj członkiem jest prawie każdy, kto umié czytać po polsku.

Już nie jednostki, ale prowincye i klasy społeczne radzą nad tém w jakiby sposób uczcić zasługi znakomitego męża. Wołynianki szyją dywan, Podlasie zamierza na gmachu szkoły Bialskiéj umieścić pamiątkową tablicę, Lwów bije medal, Żmudź wysyła deputacyą z darami, Wilno wieńce, a Płock pióro złote. Literaci układają zbiorową książkę a malarze i rysownicy chcą wspólnemi siłami ilustrować *Starą Baśń*, jednę z najnowszych prac Kraszewskiego, na których potomkowie nasi uczyć się będą własnéj historyi.

Zkąd pochodzi ten zapał ogólny społeczeństwa, którego synom trudniéj podobno zostać prorokami u siebie niż komukolwiekbądź innemu gdzieindziéj? Oto działalność Kraszewskiego wielce się przyczyniła do wzbogacenia umysłowych zasobów narodu i wzniosła się o wiele wyżéj nad poziom, do którego sięgają zawiści współzawodnictwa, pociski zbyt wymagającéj krytyki i inne siły, z takiém powodzeniem ściągające ludzi z piedestału znakomitości.

Kraszewski próbował nieledwie wszystkich dróg, na które wdziera się duch ludzki. Pisał poezye i dramata, jest dziennikarzem, zajmował się historyą i filozofią. Ale niezrównana giętkość jego umysłu, pamięć, dar obserwacyi, zdolność obejmowania szerokich horyzontów i nadludzkie siły najpłodniejsze wydały owoce i zamanifestowały się najświetniéj w powieści. W niéj przedstawiał on wszystkie klasy społeczne, począwszy od pańszczyźnianych chłopów, żydów i cyganów, skończywszy na marszałkach, książętach, królach i ich ulubieńcach. Przedstawiał tworzenie się narodu, czyny bohatérskie czasów ubiegłych, niepokoje zakochanych, finansowe walki współczesne i powolne zwyrodnienie klasy, która stanowiła niegdyś kwiat narodu, wskazując jednocześnie drogę, na któréj podnieść się może z upadku.

Inny znakomity nasz pracownik, bibliograf K. Estrejcher, ogłosił statystykę prac Kraszewskiego. Według niéj Kraszewski napisał (a wszystko *własnoręcznie!*) 230 dzieł w 440 tomach i 50 tomów korespondencyi. Z dzieł jego przedrukowano 63 w 133 tomach. Rachując, że każde dzieło rozchodziło się w 700 egzemplarzach, otrzymamy prawie pół *miliona* tomów, które rozeszły się wśród społeczeństwa. Nie dziw, że imię autora dobrze znane jest u nas, lecz o to mniejsza. Spytajmy raczéj ile jego myśli i poglądów wsiąkło w ogół i o ile różną byłaby umysłowość nasza, gdyby Kraszewski nie pracował? Nie należy przytém zapominać, że intencye jego zawsze były najuczciwsze, że poglądy nie zamącały głów, a opisy i intrygi nie rozstrajały nerwów. To téż w naszéj epoce hałaśliwych reklam i apoteozujących bijografij, na pomniku jubileuszowym, który sam sobie wystawił kraj, dopisać może tylko to proste, lecz wymowne

zdanie: „dobrze zasłużył się społeczeństwu!“, jakiém sprawiedliwa historya nie każdą wieńczy działalność.

Zbytecznėm byłoby nadmieniać, że imię Kraszewskiego oddawna zyskało europejski rozgłos, z dzieł bowiem jego 44 przetłómaczono na języki: francuski, niemiecki, rosyjski, włoski, czeski, a nawet holenderski.

W owacyach na cześć Kraszewskiego, Warszawie przypadło miejsce najwydatniejsze, właśnie jak być powinno. W mieście naszém przygotowywują się dwa wydawnictwa. Jedno obejmie obszerny życiorys jubilata, tudzież przegląd i ocenę jego prac we wszelkich kierunkach. Dzieło to niewątpliwie rozejdzie się w wielkiéj ilości egzemplarzy: pominąwszy bowiem cenę z natury rzeczy niewysoką, kupi je każdy, kto czytał prace Kraszewskiego i o całości ich zechce mieć dokładniejsze wyobrażenie. Będzie to książka zbiorowa.

Drugie wydawnictwo obejmą same dzieła jubilata, a oto ich tytuły:

Rzym za Nerona.—Półdyable weneckie.—Dziś i lat temu trzysta.—Historya o Jonaszu Korczaku i pięknéj cześnikównie.—Sfinks.—Powieść bez tytułu.—Dola i niedola.—Czarna perełka. — Szaławiła.—Jasełka.—Chata za wsią.—Dwa światy.—Pamiętnik Mroczka.—Starościna bełzka. Razem 15 dzieł w tyluż tomach. Cena oprócz kosztów przesyłki, którą oddzielnie zapłacić wypada, wynosi rs. 7 kop. 5o.

Wybór dzieł był bardzo trudny, należało bowiem nieustannie wkraczać w czasowe prawa różnych firm i unikać rzeczy niezbyt dawno przedrukowywanych. Słyszeliśmy zarzuty, że niektóre z wymienionych książek nie jeden już posiada w swéj bibliotece, lecz rady na to nie ma, a właściwie jest ta, aby posiadacz dwu jednakowych egzemplarzy zrobił podarunek tym, dla których nawet obecna cena wydawnictwa okazać się może zbyt wielką.

Na wydawnictwo to kładziemy nacisk, fundusz bowiem jaki się zbierze po strąceniu kosztów ma być własnością jubilata. Rzym weteranów swoich nagradzał ziemią, czasy nowsze zamieniły zwyczaj ten na ofiarę pieniężną, która jako od narodu pochodząca nietylko nikomu nie uwłacza, ale stanowi najwyższy objaw uznania zasług. Rzeczy te wypada wziąć pod dojrzałą rozwagę i nie lękać się hojnych naddatków, aby świat i potomni wiedzieli, że najuboższe społeczeństwo jest dość bogate i szczodre, tam gdzie chodzi o wynagrodzenie uczciwéj pracy wiernego syna. Lista przedpłacicieli w podobnym wypadku nie stanowi jednego ze środeczków popisu, lecz ma historyczną doniosłość i dlatego wydrukowaną powinna być w samém wydawnictwie.

Wypowiadanie jakichś obszerniejszych, czy tkliwszych słów zachęty, uważalibyśmy za obrazę czytelników, kończymy więc przytoczeniem adresu: *Redakcya Tygodnika Ilustrowanego Ul. Nowolipki, Nr. 3.*

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że Komitet wydawniczy obowiązany jest we właściwym czasie odnośne rachunki ogłosić. Zresztą stara firma Ungra i nazwiska członków Komitetu pod względem dopilnowania tego rodzaju formalności dają dostateczne rękojmie.

Aleksander Głowacki.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**